

PRZEKŁADKA V PREMOST V

dreszcz czytelniczy, dreszcz translatorski
bralski srh, prevajalski srh



Bielsko-Biała, Vnanje Gorice 2010

REDAKTOR NACZELNY WYD. ATH: Jarosław Janicki
GLAVNI UREDNIK ZALOŽBE ATH:

REDAKTOR NACZELNA WYD.
KUD IM. POLICE DUBOVE: Tatjana Jamnik
ZA ZALOŽBO KUD POLICE DUBOVE:

REDAKCJA NAUKOWA: Agnieszka Będkowska-Kopczyk
ZNANSTVENA UREDNICA:

RECENZJA NAUKOWA: Libor Pavera
ZNANSTVENA RECENZIJA:

REDAKCJA TOMU: Agnieszka Baran
UREDILI: Szymon Brandys
Marta Grubka
Piotr Szałaśny

PROJEKT OKŁADKI: Szymon Brandys
OBLIKOVANJE NASLOVNICE:

SKŁAD: Piotr Szałaśny
PRELOM:

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Piotr Baran
FOTOGRAFIJA NA OVITKU:

COPYRIGHT: Wydawnictwo Akademii Techniczno-Humanistycznej w
Bielsku-Białej & Kulturno-umetiško društvo Police Dubove,
2010

NAKŁAD: 150 egzemplarzy/izvodov
NAKLADA:

ISBN:

*Publikacja wydana dzięki wsparciu Publicznej Agencji Książki Republiki Słowenii.
Izdajo publikacije je subvencionirala Javna agencija za knjigo Republike Slovenije.*

JAK | JAVNA AGENCIJA ZA KNJIGO REPUBLIKE SLOVENIJE
SLOVENIAN BOOK AGENCY

*Współfinansowanie: Stowarzyszenie Triglav-Rysy
Sofinanciralo: Društvo Triglav-Rysy*



Adres Redakcji – Naslov uredništva – Editorial Office –
Adresse de redaction – Schriftleitungsadresse:
Wydawnictwo Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, 43-309 Bielsko-Biała, ul. Willowa 2,
tel./fax (033) 827 92 68 e-mail: wydawnictwa@ath.bielsko.pl

Kulturno-umetiško društvo Police Dubove, Vnanje Gorice, Nova pot 142, SI-1351 Brezovica pri Ljubljani
Slovenija/Słowenia
e-mail: polica.dubova@gmail.com

SPIS TREŚCI/KAZALO

SŁOWO WSTĘPNE / UVODNA BESEDA	5
POEZJA SŁOWEŃSKA / SLOVENSKA POEZIJA – LUCIJA STUPICA, MATEJ KRAJNC	9
LUCIJA STUPICA	
<i>Pesem o mizi</i>	10
<i>Wiersz o stole</i>	11
<i>Žrtvovanje</i>	12
<i>Ofiarowanie</i>	13
<i>Izgubljeni profesor</i>	14
<i>Zagubiony profesor</i>	15
MATEJ KRAJNC	
<i>Kot lipov bog</i>	16
<i>Jak stúp soli</i>	17
<i>Deževje nima besed</i>	18
<i>Deszcz nie powie już nic</i>	19
<i>Škržatova pesem</i>	20
<i>Pieśń cykad</i>	21
KOMENTARZE TRANSLATORSKIE / KOMENTARJI PREVAJALCEV	23
PROZA SŁOWEŃSKA / SLOVENSKA PROZA – DUŠAN MERC	25
<i>Razgovor z Aristonom</i>	26
<i>Rozmowa z Aristonem</i>	31
<i>Dva tisoč in nekaj</i>	36
<i>Dwa tysiące z czymś</i>	41
KOMENTARZE TRANSLATORSKIE / KOMENTARJI PREVAJALCEV	47
POEZJA CZESKA / ČEŠKA POEZIJA – BOGDAN TROJAK	49
<i>Bohu-míl</i>	50
<i>Bohu-míl</i>	51
<i>Čáry</i>	52
<i>Czary</i>	53
<i>Bez názvu</i>	54
<i>Bez nazwy</i>	55
<i>Bez tytułu</i>	55
<i>Sen</i>	56
<i>Sen</i>	57
<i>Let</i>	58
<i>Lot</i>	59
KOMENTARZE TRANSLATORSKIE / KOMENTARJI PREVAJALCEV	61

PROZA CZESKA / ČEŠKA PROZA – JUAN ZAMORA	65
<i>Zelená gorila</i>	66
<i>Zielona maľpa</i>	71
<i>Milenci na jednu noc</i>	77
<i>Kochankowie na jednu noc</i>	81
<i>Dopisy z modré obálky</i>	85
<i>Listy z niebieskiej koperty</i>	91
KOMENTARZE TRANSLATORSKIE / KOMENTARJI PREVAJALCEV	99
AUTORZY SŁOWEŃSCY / SLOVENSKI AVTORJI	105
AUTORZY CZESCY / ČEŠKI AVTORJI	106
TŁUMACZE Z JĘZYKA SŁOWEŃSKIEGO / PREVAJALCI IZ SLOVENŠČINE	108
TŁUMACZE Z JĘZYKA CZESKIEGO / PREVAJALCI IZ ČEŠČINE	110
ESEJ – RENATA PUTZLACHER	112
<i>Dreszcz czytelnicy, dreszcz translatorski</i>	113

Słowo wstępne

Niniejszy tom czy też miniantologia z serii „Przekładka”/”Premost” jest już piątą z kolei publikacją tłumaczeń literatury słoweńskiej i czeskiej oraz towarzyszących im komentarzy translatorskich. Jednakże tegoroczne wydanie ma charakter szczególny, bowiem po raz pierwszy powstało przy współpracy z wydawnictwem Stowarzyszenia Kulturalno-Artystycznego im. Policy Dubovej (*KUD Police Dubove*). Jako takie jest dowodem naszej wieloletniej współpracy i, śmiem twierdzić, wyjątkowej promocji literatury słoweńskiej wśród polskich slawistów (nie tylko słowenistów!).

Wyborowi tekstów, zebranych w tej publikacji, towarzyszyło hasło przewodnie „dreszcz czytelnicy, dreszcz translatorski”. I nie chodziło nam jedynie o wywołanie dreszczu grozy, który zapewniają ballady Mateja Krajnc *à la* Cave i kryminały Juana Zamory. Naszym celem było wywołanie dreszczu intelektualnego, związanego z interpretacją i tłumaczeniem tekstów, które tu prezentujemy. Kogóż więc tym razem tłumaczyli polscy studenci slawistyki i doktoranci?

Literaturę słoweńską reprezentuje trzech autorów. Lucija Stupica jest poetką wysublimowaną, łączącą talent słowny z wizualnym (z wykształcenia architektka) i organizacyjnym (założycielka festiwalu krytyków poetyckich „Pranger”). Matej Krajnc posiada z kolei potencjał literacki i muzyczny – jest poetą, autorem tekstów piosenek (które sam wykonuje), pisarzem, muzykologiem, a także tłumaczem. Dušan Merc to autor powieści i opowiadań oraz eseista (na co dzień dyrektorujący szkołą podstawową w Lublanie). Prezentujemy tu także tłumaczenia tekstów dwu autorów czeskich. Bogdan Trojak to pochodzący z Czeskiego Cieszyna poeta pogranicza polsko-czeskiego, prozaik, publicysta i tłumacz. Juan Zamora jest młodym (rocznik 1989), lecz płodnym autorem. Zadebiutował w roku 2004, a pierwszą samodzielną powieść kryminalną wydał w roku 2007 i – zachęcony pozytywnym odbiorem – opublikował następnie trzy zbiory opowiadań.

Czytaniu i tłumaczeniu tekstów oryginalnych towarzyszyły debaty wzbudzające różnego typu dreszcze (dominował jednak intelektualny). W debatach tych brali udział sami autorzy, tłumacze i osoby zajmujące się teorią lub praktyką przekładu. Tłumacze to studenci i absolwenci slawistik Uniwersytetu Gdańskiego, Jagiellońskiego, Wrocławskiego i Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej (dalej ATH). Wielu z nich debiutowało we wcześniejszych wydaniach „Przekładki”, niektórzy – tak jak Tomasz Łukaszewicz – mają za sobą książkowe debiuty translatorskie lub – tak jak Wanda Wojciechowska i Martyna Twardy – literackie. Tych ostatnich z kolei reprezentują (w kolejności alfabetycznej): Agnieszka Baran (tłumaczka, literaturoznawca, wykładowca ATH), pisząca te słowa Agnieszka Będkowska-Kopczyk (tłumaczka, językoznawca, wykładowca ATH), Tatjana Jamnik (poetka, pisarka, tłumaczka), Agata Knapik (tłumaczka, językoznawca, wykładowca ATH), Jiří Muryc (polonista, tłumacz, wykładowca Uniwersytetu w Ostrawie), Renata Putzlacher (poetka, tłumaczka, autorka tekstów piosenek, adaptacji i sztuk teatralnych, wykładowca Uniwersytetu Masaryka w Brnie), Katarina Šalamun Biedrzycka (tłumaczka i eseistka), Bojana Todorović (lektorka języka słoweńskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, tłumaczka), Regina Wojtoń (tłumaczka, literaturoznawca, wykładowca ATH) i Vítězslav Vilímek (rusycysta, tłumacz, wykładowca Uniwersytetu w Ostrawie).

Redagując teksty tłumaczeń, które zwiera to wydanie, i pamiętając wszystkie debaty, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że „Przekładka” (czy raczej już „Przekładka/Premost”) skupia osoby naprawdę zafascynowane literaturą i procesem tłumaczenia tejże. Świadczy o tym także wysoki poziom nadesłanych do druku tłumaczeń.

Na koniec za współpracę przy tym wydaniu pragnę podziękować Tatjanie Jamnik, reprezentującej współwydawcę, redaktorom tego tomu: Agnieszce Baran, Marcie Grubce

i Piotrowi Szałaśnemu, Szymonowi Brandysowi, który wspierał nas w pierwszej fazie przygotowywania tomu do druku, oraz recenzentowi – Liborovi Paverze. Podziękowanie składam także instytucjom, które oprócz Stowarzyszenia im. Policy Dubovej pomogły nam sfinansować to wydanie: Publicznej Agencji Książki Republiki Słowenii (*Javna agencija za knjigo Republike Slovenije*), Stowarzyszeniu Triglav-Rysy i Akademii Techniczno-Humanistycznej.

Agnieszka Będkowska-Kopczyk, ATH
redaktor naukowy

Uvodna beseda

Pričujoči zbornik oziroma miniantologija *Przekładka/Premost* je že peta objava prevodov slovenske in češke književnosti, ki so nastali v okviru študentske prevajalske delavnice, ki jo vsako leto (letos že sedmič zapored) organizira Tehnično-humanistična akademija v Bielsko-Biali na Poljskem v sodelovanju s Centrom za slovenščino kot drugi/tuji jezik na Univerzi v Ljubljani, Kulturno-umetniškim društvom Police Dubove, Literarnim društvom IA, Društvom Triglav-Rysy in drugimi soorganizatorji. Vendarle je letošnja izdaja posebne vrste, saj je prvič izdana v sozaložbi s KUD Police Dubove. Kot takšna je dokaz dolgotrajnega sodelovanja in, to zdaj že smem trditi, izredno uspešnega uveljavljanja slovenske književnosti med slavisti (in ne samo slovenisti!) na Poljskem.

Letošnja besedila smo izbirali v znamenju slogana »bralski srh, prevajalski srh«. Toda v mislih nismo imeli samo srha, ki nas spreleti ob baladah Mateja Krajncja *à la* Nick Cave ali kriminalkah Juana Zamore. Pri interpretiranju in prevajanju besedil, ki jih predstavljamo v petem letniku *Przekładke/Premosta*, smo želeli vzbuditi intelektualni srh. In koga so poljski študentje in doktorandi slavistike prevajali tokrat?

Slovensko književnost zastopajo trije avtorji. Lucija Stupica je pesnica pretanjenega izraza, pri kateri se nadarjenost za besede povezuje z nadarjenostjo za vizualno (po izobrazbi je arhitektka) in za organizacijo (je ustanoviteljica festivala za literarno kritiko Pranger). Matej Krajnc pa v eni osebi združuje literaturo in glasbo – je pesnik, kantavtor, pisatelj, muzikolog in tudi književni prevajalec. Dušan Merc je avtor romanov in kratkih zgodb ter esejist (v vsakdanjem življenju pa ravnatelj osnovne šole v Ljubljani). V tej knjigi predstavljamo tudi prevode besedil dveh čeških avtorjev. Bogdan Trojak je doma iz Češkega Tešina in tako pesnik poljsko-češkega obmejnega območja, znan pa je tudi kot prozaist, publicist in prevajalec. Juan Zamora je razmeroma mlad (rojen 1989), vendar plodovit avtor kriminalnih romanov – debitiral je leta 2007 in po spodbudnih kritikah kaj kmalu izdal še naslednje štiri knjige.

Branje in prevajanje besedil v izvorniku so spremljale debate, ob katerih so nas spreletavale različne vrste srha (prevladoval pa je intelektualni). V debatah so sodelovali avtorji, prevajalci in ljudje, ki se ukvarjajo s teorijo prevajanja oziroma so aktivni prevajalci. Besedila so prevajali študenti in absolventi oddelkov za slavistiko na Univerzi v Gdanku, Jagelonski univerzi v Krakovu, Univerzi v Vroclavu in Tehnično-humanistični akademiji v Bielsko-Biali (v nadaljevanju ATH). Številni izmed njih so prevajalsko že debitirali v prejšnjih letnikih zbornika *Przekładka*, nekateri pa so tudi že izdali knjižni prevod (na primer Tomasz Łukaszewicz) ali literarni prvenec (na primer Wanda Wojciechowska in Martyna Twardy). Sodelujoči mentorji pa so bili (po abecednem redu): Agnieszka Baran (prevajalka, literarna znanstvenica, predavateljica na ATH), avtorica tega uvodnika Agnieszka Będkowska-Kopczyk (prevajalka, jezikoslovka, predavateljica na ATH), Tatjana Jamnik (pesnica, pisateljica, prevajalka), Agata Knapik (prevajalka, jezikoslovka, predavateljica na ATH), Jiří Muryc (polonist, prevajalec, predavatelj na Univerzi v Ostravi), Renata Putzlacher (pesnica, prevajalka, avtorica popevk, gledaliških iger in priredb, predavateljica na Masarykovi univerzi v Brnu), Katarina Šalamun Biedrzycka (prevajalka in esejistka), Bojana Todorović (lektorica za slovenščino na Jagelonski univerzi, prevajalka), Regina Wojtoń (prevajalka, literarna znanstvenica, predavateljica na ATH) in Vítězslav Vilímek (rusist, prevajalec, predavatelj na Univerzi v Ostravi).

Ko sem urejala prevode, ki jih prinaša ta letnik zbornika, in se spominjala vseh debat, me je prešinilo, da *Przekładka/Premost* povezuje ljudi, ki so naravnost navdušeni nad literaturo in procesom prevajanja le-te. O tem priča tudi visoka kvaliteta poslanih prevodov.

Na koncu bi se za sodelovanje pri tem zborniku rada zahvalila Tatjani Jamnik, zastopnici sozaložnika Kulturno-umetniškega društva Police Dubove, urednikom zbornika: Agnieszki Baran, Marti Grubka in Piotru Szałaśnemu, Szymonu Brandysu, ki nas je podpiral v prvi fazi priprave zbornika za tisk, ter recenzentu knjige Liboru Paveri. Zahvaljujem se tudi drugim ustanovam, ki so finančno podprle to izdajo: Javni agenciji za knjigo Republike Slovenije, Društvu Triglav-Rysy in Tehnično-humanistični akademiji v Bielsko-Biafi.

*Agnieszka Będkowska-Kopczyk, ATH
znanstvena urednica*

POEZJA SŁOWEŃSKA
SLOVENSKA POEZIJA

Lucija Stupica

Matej Krajnc

Tłumacze
Prevalajci

Jacek Lenkiewicz

Bartosz Sowa

Martyna Twardy

Lucija Stupica *Pesem o mizi*

Z knjiške/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Sedela sta za isto mizo,
izbirala vedno podobne jedi,
si naročala isto vino,
prepoznavala nasmeh v besedah
in obratno besede v nasmehih,
dnevi so tekli skozi,
kasneje so tekla leta
in miza je postajala vse daljša
in jedi vedno bolj različne,
besede sta si podajala skozi natakarjeva usta,

na njenem krožniku je na koncu,
ko se nista več slišala in skoraj ne videla,
zrasla rukola – ta okusen plevel
v neizprosni enakomernosti časa.

Lucija Stupica *Wiersz o stole*

Z książki/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Siedzieli za tym samym stołem,
zawsze wybierali podobne potrawy,
zamawiali to samo wino,
rozpoznawali uśmiechy w słowach
i na odwrót słowa w uśmiechach
dni mijały,
później mijały lata
i stół stawał się coraz dłuższy
i potrawy coraz bardziej różne,
słowa podawali sobie
przez usta kelnera,

w końcu na jej talerzu,
gdy się już nie słyszeli i prawie nie widzieli,
wyrosła rukola – ten smaczny chwast
w nieubłaganej jednostajności czasu.

Tłumaczenie/Prevod: Martyna Twardy

Lucija Stupica *Žrtvovanje*

Z ksjazki/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Našla sem drevo.
V suhi pokrajini ptičev.
Na kamniti obali brez odtisov.
Posušeno in razrvano od vetra,
od pokrajine brez zavetja.
Obrušeno deblo in v gnezdo spletene veje,
ki sestavljajo stopnice v svoj objem.
Ne vem, kaj počnem tu, a je dobro.
Zabava se odvija nekje daleč.
Tarkovski je zažgal zadnji kader
in nobena kamera ni delovala,
to ni bilo zabavno in naslednji koraki
so se identificirali z naslovom filma.
Drevo je zalival deček in verjel v to
dovolj močno, da bo spoznal boga.

Lucija Stupica *Ofiarowanie*

Z książki/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Znalazłam drzewo.
W suchej krainie ptaków.
Na kamiennym brzegu bez śladów stóp.
Wysuszone i potargane przez wiatr,
przez krainę bez schronienia.
Zbutwiały pień i gałęzie splecione w gniazdo
tworzące stopnie do swoich objęć.
Nie wiem, co tu robię, ale jest dobrze.
Zabawa trwa gdzieś indziej.
Tarkowski spalił ostatni kadr
i ani jedna kamera nie filmowała,
to nie było śmieszne i następne kroki
utożsały się z tytułem filmu.
Chłopiec podlewał drzewo i wierzył
wystarczająco mocno, że pozna boga.

Tłumaczenie/Prevod: Jacek Lenkiewicz

Lucija Stupica *Izgubljeni profesor*

Z knjižki/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Izgubljen sem, pomisli, le kaj naj to pomeni:
Navzgor v mesto ali Navzdol v mesto, on pa si samo
želi v mesto. Še nekaj reči je izgubilo razsodnost.
Naj torej potuje po prečnici na zahod
in nazaj na vzhod ter se le ozira na mestno pokrajino,
enkrat na desno in drugič na levo,
v obratnem vrstnem redu bo leva desna
in desna leva. Spomni se želje štirinajstletnika,
da bi nekoč prehodil pokrajine ob polutniku.
Na njegovi šoli je lažje, že štirideset let ista pot
po hodniku, le študentje se menjavajo
kot zdaj potniki skozi drsna vrata kupeja.
In štirideset let je minilo kot ta neizpolnjena pot z vlakom,
ne da bi se zavedal, da se votlina znotraj krči
in zunaj razrašča kot vzpenjavka divje vinske trte.
Profesor zapre oči in začne preštovati
zvezke svojih raziskovanj in zave se,
da mu za enega vedno zmanjka časa.
Stoji na peronu, sam, ne da bi kdaj koli
stopil na vlak, obrne se s starimi novicami v roki
in začne hoditi željo mladostnika.

Lucija Stupica *Zagubiony profesor*

Z książki/Iz knjige: *Otok, mesto in drugi* (Ljubljana: Študentska založba, 2008).

Jestem zagubiony, myśli, tylko co to znaczy?
W górę do miasta albo w dół do miasta, a on
chce tylko do miasta. Jeszcze kilka spraw straciło sens.
Niech więc podróżuje na skróty na zachód
i z powrotem na wschód, rzucając tylko okiem na krajobraz miejski,
raz na prawo, raz na lewo,
w odwrotnej kolejności lewa będzie prawą,
a prawa lewą. Przypomina sobie marzenia czternastolatka,
żeby kiedyś zwiedzić świat idąc po równiku,
Na jego uczelni łatwiej, już od czterdziestu lat ta sama podróż
korytarzem, tylko studenci się zmieniają, przechodzą
jak teraz ci podróżni przez śliskie drzwi przedziału.
I czterdzieści lat minęło jak niezrealizowana podróż pociągiem
nie wiedział, że tunel się wewnątrz kurczy
i rozszerza na zewnątrz jak dzikie pnącza winorośli.
Profesor zamyka oczy i zaczyna przeliczać
zeszyty ze swoimi badaniami i uświadamia sobie,
że na jedno zawsze brakuje mu czasu.
Stoi na peronie, sam, nie wsiadając do pociągu.
Obraca się ze starą gazetą w ręce
i zaczyna chodzić jak w młodzieńczych marzeniach.

Tłumaczenie/Prevod: Bartosz Sowa

Matej Krajnc *Kot lipov bog*

CD *Likvidamber* (Celje: KUD Štepihar, 2004), z ksjazki/iz knjige *Preteklost* (Celje: KUD Štepihar, 2005).

Kot lipov bog stojim
na težkih vekah teme
in takšen, kakršen sem,
sem samemu sebi v breme.
Na temenu imam križ,
v žepu drobiž
in megla vstaja pred menoj.

Kot Judež zabingljam
na vrvi tridesetih let,
v mojem nabiralniku je sneg,
pardon – nekaj kep in znan portret
z navzgor obrnjenimi očmi
kot Marija Sedem žalosti
in megla vstaja pred menoj.

Vse ceste so zarisane,
vsi gobavci naličeni,
rad jih imam kot brate,
a bojim se njihovih oči.
Stare stopinje se ugrezajo,
razvajeni spomini drezajo
in megla vstaja pred menoj.

Matej Krajnc *Jak słup soli*

CD *Likvidamber* (Celje: KUD Štempihar, 2004), z książki/iz knjige: *Preteklost* (Celje: KUD Štempihar, 2005).

Jak słup soli trwam
na ciężkich mroku powiekach
wciąż jestem taki sam,
nic dobrego mnie już nie czeka.
Na ciemieniu mam krzyż,
w kieszeni prawie nic
i wszędzie wokół tylko mgła.

Jak Judasz dyndam wciąż
na stryczku mych trzydziestu lat,
w skrzynce listów brak,
tylko brudny śnieg i portret który dobrze znam,
Boleściwej Maryi smutna twarz
i wszędzie wokół tylko mgła.

Wszystkie drogi zasypane,
twarze trędowatych pod makijażem,
kocham ich jak braci,
lecz ich oczy budzą strach.
Stare schody już zbutwiały,
leniwe wspomnienia pozasypiały,
i wszędzie wokół tylko mgła.

Tłumaczenie/Prevod: Jacek Lenkiewicz

Matej Krajnc *Deževje nima besed*

Z knjižki/Iz knjige: *Nasvidenje, grof Monte Christo* (Ljubljana: VED, 2008), CD *Deževje nima besed* (Slušaj najglasnije!, 2010).

Čas išče dežurnega krivca
za zamolklo rohnenje rešilca –
običajen predmestni portret.
Za vse, kar kdo kdaj počel je,
Pilat je obtožil deževje,
a deževje nima besed.

Janez Krstnik je obglavljen
in prostor na dvoru pripravljen,
a dvorni bard noče več pet.
Kar hotel je, zdavnaj odpel je,
ne skriva, da čaka deževje,
a deževje nima besed.

Skrivam, kar rad bi povedal,
še dolgo me strah bo obsedal,
a drugače ne znam več živet.
Vidim, da nekdo zardel je,
zakaj, povprašujem deževje –
a deževje nima besed.

Matej Krajnc *Deszcz nie powie już nic*

Z książki/Iz knjige: *Nasvidenje, grof Monte Christo* (Ljubljana: VED, 2008), CD *Deževje nima besed* (Slišaj najglasnije!, 2010).

W przedmieścia spokoju mogilnym
czas pyta, czy znajdzie się winny.
Karetka przestała już wyć.
Za zło wyrządzone przez lata
deszcz zdano na łaskę Piłata,
lecz deszcz nie powie już nic.

Spadła już głowa Chrzciciela,
dwór cały na koncert się zbiera,
lecz bard obrócił go w wic.
Powiedział, że nic nie zaśpiewa,
niech głos zabierze ulewa
lecz deszcz nie powie już nic.

Chcę mówić, lecz milczę uparcie,
strach trzyma mocno mnie w garści,
lecz inaczej nie umiem już żyć.
Twarz czyjaś spłonęła rumieńcem,
deszcz mógłby powiedzieć coś więcej,
Lecz deszcz nie powie już nic.

Tłumaczenie/Prevod: Jacek Lenkiewicz

Matej Krajnc Škržatova pesem

Z kšiazki/Iz knjige: *Preteklost* (Celje: KUD Štempihar, 2005), CD *Deževje nima besed* (Slušaj najglasnije!, 2010).

Slišiš škržatovo pesem?
Udarja skozi srce.
Zapisal sem poudarjene tone
in njegovo neslišno ime.
Večer je kakor rešeto,
skozi drevesa bolšči
in v njegovem temnem naročju
razkrinkani rabelj leži.
Predstavlja si težko rezilo
iz starih angleških prigid.
Predstavlja si tiste posesti,
predstavlja zdesetkani rod.
Rezka pomlad se pripravlja
na dolg, večstoletni mandat
in v svoji neskončni samoti
med bori joka škržat.
Predstavlja si pesem. Eklogo.
Sešito iz najboljših tkanin.
Vsak šiv je droben, neznamen,
plašen kot Kosobrin.
In pesem rase in rase
in na koncu prerase v slovo.
Slišiš škržatovo pesem?
Odmeva, da nikoli tako!

Matej Krajnc *Pieśń cykad*

Z książki/Iz knjige: *Preteklost* (Celje: KUD Štempihar, 2005), CD *Deževje nima besed* (Sлуšaj najglasnije!, 2010).

Czy słyszysz pieśń cykad?
Chwyta za serce.
Zapisałem akcentowane tony
i jego głuche imię.
Wieczór jest jak sito,
błyszczący przez drzewa,
i w jego ciemnych objęciach
leży zdemaskowany kat.
Wyobraź sobie ciężką klingę
ze staroangielskich opowieści.
Wyobraź sobie tamte włości,
wyobraź zdziesiątkowany ród.
Przenikająca wiosna przygotowuje się
na długi, ponadstuletni mandat,
a w swojej nieskończonej samotności
między bitwami płacze cykada.
Wyobraź sobie pieśń. Eklogę.
Uszytą z najlepszych tkanin.
Każdy szew jest drobny, nieznaczny,
płochy niczym Kosobrin.
A pieśń rośnie i rośnie,
i w końcu przerośnie w słowo.
Czy słyszysz pieśń cykad?
Nigdy aż tak! – odbija się echem.

Tłumaczenie/Prevod: Bartosz Sowa

**KOMENTARZE TRANSLATORSKIE
PREVAJALSKI KOMENTARJI**

**POEZJA SŁOWEŃSKA
SLOVENSKA POEZIJA**

**Lucija Stupica
Matej Krajnc**

**Tłumacze
Prevajalci**

Jacek Lenkiewicz

Bartosz Sowa

Martyna Twardy

Jacek Lenkiewicz
Uniwersytet Jagielloński

Wiersz Luciji Stupicy *Žrtvovanje* „Ofiarowanie” charakteryzuje specyficzny, melancholijny nastrój, który niełatwo było mi oddać w tłumaczeniu. Sam materiał językowy wiersza nie nastroczał większych problemów przy przekładzie. W kilku miejscach odszedłem od dosłowności na rzecz lepszego wyrażenia sensu w języku polskim, np. oryginalne *brez odtisov* oddałem z dopowiedzeniem jako „bez śladów stóp”, podkreślając bezludność opisywanego krajobrazu, brak w nim drugiego człowieka, co potęguje poczucie samotności podmiotu lirycznego. *Nobena kamera ni delala* przełożyłem „Ani jedna kamera nie filmowała”, uznając, że lepiej niż „ani jedna kamera nie działała” wyraża to fakt, że kadr pieczołowicie przygotowany przez reżysera został zmarnowany. Tutaj potrzebny był szerszy kontekst kulturowy, jako że wiersz nawiązuje do filmu Andrieja Tarkowskiego „Ofiarowanie”, przy kręceniu którego podpalono budynek, lecz nie udało się go sfilmować. Ostatnie dwa wersy związane były z problemem interpretacyjnym, oryginalny tekst ze względu na budowę gramatyczną można bowiem rozumieć dwojako: chłopiec albo „wierzył wystarczająco mocno, że (kiedyś) pozna Boga”, albo „wierzył na tyle mocno, że poznał Boga”. Na pierwszy wariant zdecydowałem się po rozmowie z autorką, która powiedziała, że taki właśnie sens chciała zawrzeć w tych wersach.

Tłumaczenie wierszy Mateja Krajncja jest szczególnym wyzwaniem, przede wszystkim ze względu na to, że są to nie tylko utwory poetyckie, ale także teksty piosenek. Zadaniem tłumacza jest zatem nie tylko oddanie treści i rymów oryginału (co samo w sobie nie jest łatwe), ale także opracowanie przekładu, który pasowałby do melodii oryginału i dał się zaśpiewać. Dzięki obecności autora na warsztatach tłumaczeniowych miałem okazję posłuchać, jak brzmią jego piosenki, co ułatwiło mi wykonanie tego zadania – pracując nad przekładem cały czas miałem w głowie melodię, i pilnowałem, żeby mój tekst pasował do niej, na ile tylko było to możliwe. W związku z tymi ograniczeniami nie udało mi się w paru miejscach oddać dosłownie treści oryginału i zmuszony byłem w mniejszym lub większym stopniu ją zmienić, np. *takšen, kakršen sem, sem samemu sebi v breme* przełożyłem „wciąż jestem taki sam, nic dobrego mnie już nie czeka”. Stwierdziłem, że mimo innych słów mój wariant przekładu oddaje ten sam nastrój człowieka znużonego, rozczarowanego samym sobą, odczuwającego swój charakter jako nad nim samym ciężący ciężar. Największym problemem translatorskim w tych dwóch wierszach było oddanie tytułu pierwszego z nich, *Kot lipov bog*, który zawiera nieobecny w polszczyźnie frazeologizm *stati kot lipov bog* dosł. „stać jak bóg lipowy” mający znaczenie stać bez ruchu, bez woli działania. Najbliższym znaczeniowo polskim odpowiednikiem wydało mi się powiedzenie ‘stać jak słupek soli’ i na nie też się zdecydowałem.

Martyna Twardy

Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Wiersz Luciji Stupicy *Pesem o mizi* „Wiersz o stole” jest wierszem cichym, kameralnym, opowiadającym o samoistnym rozpadzie związku dwojga ludzi, który następuje, można powiedzieć, naturalnie po upływie jakiegoś czasu, kiedy ich drogi zaczynają się rozmiąć. Tłumacząc wiersz musiałam uchwycić emocje, które pod osłoną obojętności, pogodzenia się z tokiem wydarzeń, epatowały melancholią, zamierzchną złością, goryczą. Zadaniem było zawiesić czytelnika w pytaniu, czyja to była wina – kobiety, mężczyzny, kolei życia?

PROZA SŁOWEŃSKA SLOVENSKA PROZA

Dušan Merc

**Tłumacze
Prevajalci**

Jakub Kupracz

Tomasz Łukaszewicz

Alicja Wiśniewska

Dušan Merc *Razgovor z Aristonom*

Z knjižke/Iz knjige Akacijev drevored (Ljubljana: KUD Literatura. Zbirka Prišleki, 2006).

Še vedno se je udeleževala četrtkov. Kljub temu, da so ji šli problemi obeh prijateljic na živce, je prihajala. Skoraj prav ji je bilo, da je slišala, kaj je novega med znankami in znanci, v zakonskih odnosih bližnjih in daljnih, znanih in manj znanih, kaj je novega med zdravimi in bolnimi, katero bolezen ima kdo, kam je kdo odpotoval in za kakšno službo se kdo poteguje. Vse to jo je še vedno zanimalo, vendar ne več intenzivno, ni več spremljala dogajanja s tisto strastjo, kot sta jo še vedno poznali obe kolegici. Bilo bi za pričakovati, da bi jima lahko zaupala vse, kar je bilo zaupnega, in je to tudi počela nekoč, na začetku njihovega prijateljstva. Zdaj pa se ji je zazdelo, da tudi zanju ni vse več tako zanimivo. Da kimata in čakata na več podrobnosti, na pikantnosti. Z nasmeškom in s kretnjami, oh, saj razumeš, saj tako nima smisla, povsod je enako, so predelale marsikaj iz svojih zgodb, še več pa od tistih, ki niso bili prisotni.

Tako so si že v mnogih oblikah zaupale, kako je v njihovem partnerskem odnosu, kako so navezane na svoje može, vedno bolj in vedno na novo in kako se da tudi v teh poznih letih zaljubiti nazaj v svojega moža. Tega ni povsem razumela. Sama je skoraj pozabila, kako je že bilo in je težko verjela, da se lahko vse tisto, ki je že pozabljeno v osnovi, sploh ponovi. Bilo je res, ampak na poseben, nov, drugačen način. To je doživela pred leti, sedaj pa ni bilo več tako notranje prepričljivo. Vseeno je njen mož steber njenega življenja. Podrejala se je njegovemu egoizmu, celo vzpodbujala ga je, njegovo moško samozavest in nekakšno bahavost. Vedno je bil tak in njej je bil tak všeč. Takšni moški so jo privlačili. Lahko bi rekla kolegicama, da takšni, ki se zavedajo svoje moškosti. Najbolj na kratko in točno rečeno. In bilo je res, da se je kot ženska z njim v vseh teh dolgih letih realizirala, da ji je veliko pomenil tudi kot moški, ne samo kot partner za gibanje v družbi, za pranje gat in za skupno zidavo hiše. Ne, bil je dober in vztrajen ljubimec. Primerno samozadovoljen, primerno pozoren. Vse je bilo, kot mora biti. V tem je bila kot ženska gotovo srečnejša kot prijateljici. Če bi se že pogovarjale zelo odkrito. Pa se seveda niso.

Dobivale so se ob četrtkih, razen če ni bil praznik, v kavarni Slon, najprej zgoraj, potem pa spodaj, ko so lepo mestno kavarno zgoraj zaprli. Vedno enak obred, vedno enaka naročila natakarku. In vedno velika radost in tudi slast, da se srečajo, ker se bo govorilo in govorilo, ker se bo plavalo v mehki in udobni, sladki peni pogovora, opravljanja, vživljanja v družbeno dogajanje, od umetnikov, politikov, znancev in prijateljev. Vse govorjenje treh gospa, na zelo zgodnjem začetku starosti, je bilo pogosto začinjeno s šušljanjem o spolnosti, o tistih rečeh, o tistem pri moških, včasih kakšne podrobnosti, spomini, samo spomini.

Ni razlagala, kaj se dogaja z njo, prijateljicama je dala vedno s ponosom vedeti, da je z možem še vse v redu, da se razmerja niti ne rušijo niti se ne spreminjajo. Mož je pač tam, s svojimi muhami in posebnostmi, vedno manj jo potrebuje za nekatere stvari in vedno bolj za druge. Ampak to je vendar normalno. Nič mu ne pomeni, če je kdaj pa kdaj ni doma, na trenutke je najpomembnejše pranje in likanje in nekaj hrane in pospravljeno stanovanje. Tega ne zahteva, to se razume. To je malo v primeri s tem, kar je imela dela prejšnja leta. Razumljivo glede na leta, v katerih sta. Ni pa povedala vsega. Kar je rekla, je rekla nedoločljivo. Ni se hotela dati v zobe. Sicer pa ne bi razumeli.

Vedno bolj jo je preganjalo, da ni poštena do Aristona. Urejene je imela petke, ponedeljke in srede, ko ga je obiskovala. Dlaka se je svetila. Svetila se je v soju dnevne svetlobe, ki je padala skozi visoko okno. Žival je potrebovala to dolgo in dovolj trdo in odločno česanje. Potrebovala je čiščenje kopit, strganje umazanije izza tega edinega velikega nohta. Vsaj enkrat na teden. Ni hotela niti slišati, da bi ga kdaj dali v manežo ali na travnik. Ne, ni še čas. Ni še potrebno, potrebna je prava prehrana, higiena in stalno nagovarjanje.

Počasi mu je treba izbrisati spomin. Če je že zunaj, mora biti sam v ogradi, ker ne sme biti izpostavljen sovraštvu drugih konj.

Hrana, toplota, čistoča, veterinarski pregledi in oskrba. Čutila je, da jo potrebuje. Potrebuje njeno nego, njeno nežnost in njeno prisotnost in to, da se nekdo zavzame zanj.

Mož, spoznala sta se ravno zaradi ljubezni do konj, ji je odsvetoval nakup. Tudi vsi ostali

v klubu so jo čudno gledali, čutila je, da se ji posmehujejo, ker ga je kupila, ker pač zanje ni bil dober nakup. Konj je bil tako rekoč odpisan kljub dobremu rodovniku. Tudi mož je rekel, da dvomi, da bi se ga dalo prešolati v dobrega jezdnega konja. Ni se hotela prepirati z njim, čeprav je vedela, da se spozna in da ima lahko tudi prav. Tudi drugih ni hotela prepričevati, da nimajo prav, da ona čuti, da je konj plemenit in dober in da ji bo zvesto služil in da bo ona res pozorno, celo požrtvovalno skrbela zanj. Ni si znala razložiti, zakaj se je navezala prav na to žival. Bila pa je v svojem občutenju trmasta in odločena, da bo naredila tako, da bo prav za žival in zanj.

V klubskem hlevu se je začela prepirati, da se dela njeni živali krivico, da so drugi konji privilegirani, da se za Aristona preslabo skrbi. Čutila je nasprotovanje vseh v klubu, tako da ga je dala z vso skrbjo prepeljati v privatni hlev na drugi strani Ljubljane, pa je bilo tam še slabše, ker je bil, seveda, konkurenčni klub njenemu matičnemu in so jo s konjem vred gledali postrani, gostovala je z njim še v nekaj manjših hlevih. Vedno in povsod je bilo kaj narobe. Bilo je tudi tako, da so ji nagajali in so ga dajali v bokse blizu zelo hudobnim živalim, kar ga je delalo nervoznega. To se je kazalo tako, da je grizel leseno pregrado, če je ni bilo, si je drgnil zobe ob železo, ob kakšno rešetko, lahko pa tudi ob betonski rob svojega boksa. To jo je vedno najbolj razjezilo. Žival vendar ni nič kriva. Nazadnje sta pristala v hlevu na Gorenjskem, tik ob avtomobilski cesti.

Nič ji ni pomenilo, da se je morala tako daleč voziti. Imela je mir pred klubskimi ljudmi, pred možem, ki je ni mogel več nadzirati, kaj počne in ji neprestano soliti pameti, kaj je za konja dobro in kaj ne, mir pred tem, da so vsi vedeli, iz katerega hleva je v resnici in za kaj gre. V tem hlevu sta bila sama, vsaj v tem smislu, da ju ni nihče poznal. Oskrbniku oziroma konjušniku namenoma ni ničesar povedala, komunikacije je omejila na minimum. Ni povedala ne kje je bila prej ne natančno, kaj dela. Tudi ostalim ljudem v hlevu se je izogibala. Ni delila z njimi skrbi za živali, ni se pogovarjala, ni si sposojala ničesar, sama je klicala veterinarja, sama je prevzemala vso skrb.

Kadar je prišla, je najprej pregledala, če je vse čisto in urejeno, če je dovolj slame po tleh, če je korito čisto, če je hlev prezračen. To je bil daleč najboljši hlev. Vreden tistih petdesetih kilometrov. Aristonu je vedno pela, tiho in nežno kakor uspavanko, čutila je, kako ji je hvaležen za vse, kar stori zanj. Vse so ji lahko odvzeli, tega ji ne morejo, je njen, je samo njen, skrbi zanj, plačuje zanj in ga ima. Skrbi za njegove rane, preprečuje njegove bolezni s skrbjo in blago, dobrodejno odvisnostjo, z mislijo nanj.

Predstavljala si je njegovo prejšnjo usodo, preden ga je kupila. Seveda je vedela, da je konj delovna žival, da je potrebna človeku, da nekateri celo jedo konjsko meso, seveda, nič takega. Ampak njen Ariston je bil pred tem kasač. In to je najslabše, kar se lahko konju zgodi – biti kasač.

Imel je dva žiga na zadnjem boku, imel je odrgnine na mnogih mestih telesa. Takoj ko ga je zagledala, ko se je oglasila na oglas, prodajamo kasača, sedem let starega, takoj je vedela, da ga mora rešiti. Niti ni bil drag, zdel se ji je poceni. Imela ga bo seveda za jahanje, ko bo čas za to, celo življenje že jaha, imela je že konje, tako da jih pozna, da ve, kako z njimi. Seveda. Ujahal bi ga sicer njen mož, ker je imel zanj zlobne in neumestne pripombe, pa bo to prepustila jahalnemu učitelju, ki ga bo sama izbrala.

Prijateljicama v kavarni Slon ni mogla reči, vesta, kupila sem si konja, pravega konja, ki je bil prej kasač, ima nekaj odrgnin na telesu, vendar je moj, samo moj in jahala ga bom samo

jaz. Ni mogla biti vesela pred njima. Vedeli sta, da oba z možem jahata, pa o podrobnostih niso nikoli govorili. Njima se je to zdelo verjetno malo prismuknjeno, še bolj verjetno pa snobovsko.

Tako kakor z njima ni govorila o tem svojem odnosu, tako njemu ni na naglas govorila, ni aritkulirala besed, vsaj na začetku ne, potem pa, potem je z njim govorila kakor z možem, kakor

z otrokom ali s prijateljico, s sodelavko. Bila je nežna in ljubkujoča, nekoliko jezna, če se ni pravilno premaknil, karajoča, če se je ponečedil in stopil v svoje fige, čutilo pa se je, vsaj on naj bi to čutil, da mu je vse odpuščala.

Uporabljala je samo najboljšo kozmetiko za dlako in viher, za kopita, razčesavala mu je rep, komaj je čakala, da mu bo malo zrasel, ker so ga prejšnji lastniki prikrajšali za kakšnih petnajst centimetrov. To ni pošteno do živali, čeprav to mnogi naredijo.

Konj se je je navadil. Vedno je vzel jabolko ali polovico, potem pa je pustila, da jo je s ustnicami, nežnimi, kakor ni nežno nič na svetu, puhastimi in gibkimi, toplimi, nežno pobožal po vratu ali po roki. Čutila je mehke dlačice in topli zrak, ki je prihajal iz nozdrvi. Včasih jo je njegov gladek, topel in moker jezik pobožal po roki in obrazu.

Ko je bila zadnjič v hlevu, opravičevala se je sama pri sebi, res ni šlo drugače, kongres je trajal tri dni, pot tja in nazaj, avion, Oslo, in nazaj, da ga je pač zanemarila za skoraj cel teden. In to se je seveda poznalo. Ni mogla reči, da zanj niso skrbeli, so, dali so mu jesti in pil je lahko in sem in tja mu je kdo kaj rekel, slišal je človeške glasove, ni bil sam in osamljen, sploh ne, lahko pa so bili malo manj pozorni pri kidanju, gotovo niso pogledali njegovih iztrebkov, niso mu dali nobenega priboljška, gotovo ne, niti jabolka, imeli so ga tam kot običajnega prebivalca, nadziranca in oskrbovanca. To je bilo vse. Samo pogojno je bilo to dovolj.

Ariston potrebuje posebno pozornost, skorajda, malo smešno rečeno, ljubezen. Potrebuje ščetkanje in božanje, potrebuje govorjenje in gladenje. To ga pomiri. Ne more ga delati srečnega, ker konj ne more biti srečen, jasno, lahko pa ga, pošteno, kakor bi moralo biti do vseh živalih, dela v njegovem bivanju neobremenjenega. Ja, točno to. Da ne brca v ogrado, da ne buta s telesom v prepreko, ki mu omejuje gibanje, da ne grize železne rešetke na oknu, da je, kratka, omejeno rečeno, seveda, psihološko zdrav, v dobri kondiciji. To pa je pomembno.

Zgodilo se je, ni je pekla vest, ni pa ji bilo vseeno, da je morala peljati avto k mehaniku in je torej premaknila odhod k njemu za en dan. To se ji ni zdelo ravno prav, ker je vedela, da imajo konji izjemen spomin in da Ariston ve, kakšen je ritem njenega prihajanja. Mogoče ve. In je šla malo prej iz službe, končno si to lahko privoščiti, naslednji dan, da je popravila zamujeno.

Zelo zadovoljna je bila, da je imel Ariston za soseda v levem boksu mladega žrebca, videla je, da ga lastniki redno negujejo, v desnem boksu pa je bila mirna starejša kobilica, ki so jo redno jahali in je bila tako dobre čudi, da so jo dajali tudi otrokom. Čutila pa je, da je nastal problem, ker so mladega žrebca ob Aristonu dan prej skupili. To je bil zelo ponižujoč in boleč, krut postopek in tudi akt, saj so žival, pa ne da bi ona mislila, da je to za žival kakšna posebna dobrotica, prikrajšali za možnost razplojevanja, prikrajšali so jo za posebno rast. Gledala je tega mladega žrebca, kako je trpeče od bolečin stal, skorajda ponižan v svojem dostojanstvu v svojem boksu. Seveda so lepo skrbeli zanj, imel je zdravila in oskrbo, ker so se bali infekcije. Ampak, bolečina je morala biti neznosna.

Porajal se ji je nelagoden občutek krivde, da se zanima za drugega konja, da se ji smili in predvsem zato, ker je pomislila, kako je moralo to pred dobrimi petimi leti boleti Aristona. Do tega trenutka nanj ni pomislila, čeprav je natančno vedela, da je pastuh, se pravi, skopljenec, in da je to grozljiv poseg v bistvo živega bitja.

Ariston je moral vse to prenašati tako kakor ta njegov mladi sosed, da so ga potem lahko vpregli v gig in ga dneve in dneve gnali v tek v krogu. Kasaštva ni nikoli marala, ker je to, to je svojemu možu verjela, mučenje živali, da tudi kadar bi rada tekla hitreje, ne sme, ne sme v galop, pač pa mora zdržati v tej nenaravni obliki teka.

Mladi Aristonov sosed in njegova usoda, da so ga skupili, jo je pripeljala do misli, da je prvič pogledala svojega konja ne samo, ali je vse v redu okoli penisa, ki se je včasih dolg, črn, s svetlo belkasto in roza liso po celi dolžini, spustil skoraj do tal, ni pa se mogel z erekcijo dvigniti proti trebušni votlini, pač pa, kako je z rano, ki jo je pustila kastracija. Nežno ga je prijela tam spodaj in komaj še otipala brazgotino, ki jo je poseg pustil. Zazdelo se ji je, da bi bilo prav, da se to ne bi zgodilo. Ampak takrat te lepe in dobre živali še ni poznala. In gotovo je, da se ne bi razvila v tako blago in lepo naturo, pač pa bi ostala nekaj divjega, bistveno močnejšega, težjega, bolj mišičastega in za žensko težko obvladljivega. Morali so to narediti, to se pač naredi, da je konj uporaben, vodljiv in da se ga da jahati. Je pa žaljivo in ponižujoče. Tam, kjer naj bi bila moda, je bila grozljiva praznina.

Tako ga je vedno, ko je bila sredi nege, mimogrede pobožala tudi po brazgotini. Konj se je vedno malo premaknil, vedno se je ozrl nazaj in jo pogledal. Ni mogla določiti, ali ga dotik moti ali mu godi. Z rokami je otipala kakšnih deset centimetrov dolgo zarastlino. Čutila je, kako je s to gesto vedno bolj povezana z njim. Vedno se je morala dotakniti te njegove rane. Čutila jo je kakor zlo, kakor resnično egoistično dejanje bivših lastnikov.

V četrtek ob šestih popoldne bi morala na stalni domenek s kolegicama v kavarni Slon, pa si je premislila. Dovolj ima njenega opravljanja, dovolj čvekanja kar tako. Ne zanima je nič več v tem mestu, nobeni skupni znanci, nobeni umetniški dogodki, ne program filharmonije ne razstave, ne kdo je v bolnici in zakaj, kdo je odšel od koga in vse ostalo. Že zadnjič je gledala obe kolegici, ki sta govorili in govorili, se sklanjali zaupno naprej in se nasmihali. In njej je bilo vse to odveč. Ne, ne more poslušati njunih egoističnih komentarjev, ne more se vključiti v njun svet.

Sedla je v avto in se odpeljala k Aristonu. Zvečer bo nazaj v Ljubljani, samo malo bo poskrbela bo zanj. Prišla je že na podvečer. V hlevu so opravljali večerna opravila, pa vseeno ni nikogar videla.

Mladi konj, Aristonov sosed, je ležal ves miren, vdan v usodo, v golo življenje, medtem ko je Ariston stal in gledal v prazno. Vseeno ji je bilo za vse na svetu, samo da je prišla. Čutila je njegovo veliko toplo telo, čutila je njegov vonj, videla se je v njegovih velikih rjavih očeh. Prinesla mu je tri jabolka, čeprav je bilo to zelo nezaželeno, ker so se ostali konji v boksih vznemirili. Položila je svoje uho na njegovo podolgovato glavo in poslušala, kako melje jabolka. Bilo je zamolklo bobnenje v neki nejasni daljavi. Slinil se je od zadovoljstva, njegova slina, mehka in topla je ovlažila njeno roko. Nikoli si ni umila rok po hranjenju, da je lahko še na vožnji nazaj v Ljubljano doživljala stik z njim. Ni se ji zdelo, da je boks dovolj počiščen. Slama je bila sveža, mogoče celo preveč vlažna, kar bi lahko konju povzročilo težave.

Čutila ga je kakor zatočišče pred celim svetom, pred neumnim regljanjem dolgoletnih prijateljic, pred možem, ki se ji je posmehoval. Slišala je jahalnega mojstra in njegovo ženo, kako sta se zunaj pogovarjala. Po avtu sta natančno vedela, da je ona v hlevu, pri Aristonu, tega ni bilo moč skriti. Nezadovoljna bosta, ker je kršila hišni red, pa saj je vseeno.

Pobožala ga je po glavi, se naslonila na njegovo močno toplo telo, ki je bilo tako prijetno in varno, z roko je šla skozi grivo in ga pobožala po vihru. Šla je z levo roko po celem telesu, pobožala ga je po prsah, po trebuhu in se približala spodnjemu delu. Čutila je toploto v notranjem prostoru med nogama. Otipala je davno rano, ocvirke, ki so ostali od zarastline. Lice je imela naslonjeno na bok, bilo je res prijetno. Konj se je ozrl in jo pogledal. Nekaj človeškega je bilo v njegovem pogledu, nekaj žalostnega, obtožujočega, se ji je zazdelo in razumela je njegovo otožnost. Prešla je nanjo.

Nenadoma je konj dvignil nozdrvi, ki so se napele v kratek rilec, da so se pokazali mogočni dolgi zobje, to je še videla, slišala je pisk, glavo je sunkovito dvignil visoko, da je postal njegov vrat dolg, odrinil jo je z bokom, se postavil na prednje noge in jo najprej z obema zadnjima nogama silovito brcnil v prsi. Ko je padala, je že ponovil udarec, zadnji nogi sta se dvignili v zrak, kakor da bi bili na strašno hitro in močno vzmet, tako da jo je s kopitom zadel na sredino obraza in ji polomil vse obrazne kosti, zbil zobe in nekajkrat prelomil spodnjo čeljust.

Preden so uspeli priteči ljudje na pomoč, je bila kakor vreča krompirja zbrcana v kot boksa. Veliko poguma je bilo treba, da je konjušnik skočil v boks in Aristona odtrgal od nje, ker se je že sklonil z glavo k njej in jo poskušal gristi in dvigniti, da bi jo verjetno ponovno brcal.

Dušan Merc *Rozmowa z Aristonem*

Z książki/Iz knjige: *Akacijev drevored* (Ljubljana: KUD Literatura. Zbirka Prišleki, 2006).

Wciąż jeszcze brała udział w czwartkowych spotkaniach. Mimo że problemy obu przyjaciółek działały jej na nerwy, przychodziła. Właściwie odpowiadało jej słuchanie, co nowego u znajomych, w związkach małżeńskich bliższych i dalszych, znanych i mniej znanych, co nowego u zdrowych i chorych, kto na co choruje, dokąd wyjechał i o jakie stanowisko się kto ubiega. To wszystko ją jeszcze ciągle interesowało, choć już nie tak bardzo, już nie śledziła wydarzeń z taką pasją, jaką miały jeszcze obie jej przyjaciółki. Można by oczekiwać, że im mogłaby zwierzyć ze wszystkiego, co poufne, tak jak robiła to kiedyś, na początku ich przyjaźni. Teraz wydaje jej się, że nawet dla nich to wszystko nie już takie interesujące. Że potakują i czekają na więcej szczegółów i pikanterii. Z uśmiechem i gestem „no wiesz”, „rozumiesz”, „przecież to nie ma sensu”, „zawsze jest tak samo”, przerobiły mnóstwo swoich historii, a jeszcze więcej tych, którzy byli nieobecni.

I tak w wielu sprawach zwierzały się sobie, z tego, jak jest w ich związkach, jak są przywiązane do swoich mężów, coraz bardziej i ciągle na nowo i jak można się w tym późnym wieku na nowo zakochać we własnym mężu. Nie rozumiała tego do końca. Sama już prawie zapomniała jak to było i trudno jej było uwierzyć, że można wszystko to, co jest już w zasadzie zapomniane – powtórzyć. Było to prawdą, ale w szczególny, nowy, inny sposób. Doświadczyła tego przed laty, teraz nie było to już tak wewnętrznie przekonujące. W każdym razie mąż był podporą jej życia, podporządkowała się jego egoizmowi, nawet go pielęgnowała, jego pewność siebie i jakąś taką zarozumiałość. Zawsze taki był i taki się jej podobał. Tacy mężczyźni ją pociągali. Mogłaby powiedzieć koleżankom, że tacy, którzy są świadomi swojej męskości. Najkrócej mówiąc. I było prawdą, że przez te wszystkie długie lata realizowała się przy nim jako kobieta, że wiele dla niej znaczył, również jako mężczyzna, a nie tylko jako partner do obracania się w towarzystwie, prania skarpetek i wspólnego budowania domu. Nie, był dobrym i wytrzymałym kochankiem. Odpowiednio pewnym siebie i odpowiednio uważnym. Wszystko było tak, jak być powinno. W tej kwestii była, jako kobieta, na pewno dużo szczęśliwsza niż jej przyjaciółki. Gdyby rozmawiały bardzo otwarcie. Ale oczywiście nie robiły tego.

Spotykały się w czwartki, chyba, że wypadło święto, w kawiarni „Słoń”, najpierw u góry, a potem na dole, gdy ładną miejską kawiarnię na górze zamknęli.

Zawsze ten sam rytuał, zawsze takie same zamówienia u kelnera. I zawsze wielka radość, a także rozkosz, że się spotykają, bo będzie się mówić i mówić, bo będzie się pławić w miękkiej i przytulnej, słodkiej pianie rozmowy, plotkowania, wczucia w życie publiczne, artystów, polityków, znajomych i przyjaciół. Wszystkie rozmowy trzech pań, na bardzo wczesnym początku starości, były często przyprowadzone szeptaniem o seksualności, o tych rzeczach, o tym u mężczyzn, czasem jakieś szczegóły, wspomnienia, tylko wspomnienia.

Nie wyjaśniała, co się z nią dzieje, przyjaciółki zawsze z dumą informowała, że z mężem nadal wszystko w porządku, że ich relacje ani się nie pogorszyły, ani nie zmieniły. Mąż jest przecież tam, ze swoimi humorami i kapryсами, coraz mniej jej potrzebuje do pewnych spraw i coraz bardziej do innych. Ale to jest przecież normalne. Nic go nie obchodzi, że od czasu do czasu nie ma jej w domu, chwilowo najważniejsze jest pranie i prasowanie i jakieś jedzenie, i posprzątane mieszkanie. Tego nie żąda, to jest oczywiste. To mało w porównaniu z tym, ile pracy miała w poprzednich latach. To zrozumiałe biorąc pod uwagę w jakim są wieku. Nie mówiła jednak wszystkiego. To co mówiła, mówiła niejednoznacznie. Nie chciała dać się wziąć na języki. I tak by nie rozumiały.

Coraz bardziej dręczyło ją, że nie jest w porządku w stosunku do Aristona. Zajęte miała piątki, poniedziałki i środy, kiedy go odwiedzała. Sierść lśniła. Lśniła w promieniach dziennego światła, które wpadały przez wysokie okno. Zwierzę potrzebowało tego długiego

i dosyć silnego, zdecydowanego czesania. Potrzebowało czyszczenia kopyt, wyskrobywania brudu z za tego jedyne, wielkiego paznokcia. Przynajmniej raz na tydzień. Nie chciała nawet słyszeć, żeby go dali do ujeżdżalni lub na wybieg. Nie, jeszcze nie pora. Nie jest to jeszcze potrzebne, potrzebne jest dobre odżywianie, higiena i ciągle zachęcanie. Trzeba mu powoli wyczyścić pamięć. Gdy jest na dworze, musi być w zagrodzie sam, ponieważ nie może być wystawiony na wrogość innych koni.

Jedzenie, ciepło, czystość, badanie weterynaryjne i opieka. Czuła, że jej potrzebuje. Potrzebuje jej troski, czułości i jej obecności, i tego, żeby ktoś się nim zajął.

Mąż, poznali się właśnie przez miłość do koni, odradzał jej zakup. Także wszyscy inni w klubie dziwnie na nią patrzyli. Czuła, że się z niej naśmiewają, że go kupiła, bo akurat dla niej to nie był najlepszy zakup. Koń był, jak to się mówi, spisany na straty, mimo dobrego rodowodu. Także jej mąż powiedział, że wątpi, aby udało się zrobić z niego dobrego wierzchowca. Nie chciała się spierać, chociaż wiedziała, że się na tym zna i może mieć rację. Również innych nie chciała przekonywać, że nie mają racji, że ona czuje, że koń jest szlachetny i dobry i że będzie jej wiernie służył i że ona będzie naprawdę uważnie i nawet z poświęceniem troszczyć się o niego. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak się przywiązała akurat do tego zwierzęcia. Była jednak w swoim uczuciu uparta i zdecydowana, że robi to, co będzie dobre dla zwierzęcia i dla niej.

W klubowej stajni zaczęła się awanturować, że jej zwierzęciu dzieje się krzywda, że inne konie są uprzywilejowane, że o Aristona za mało się dba. Czuła niechęć wszystkich w klubie, więc z całą troską kazała go przewieźć do prywatnej stajni po drugiej stronie Lublany, ale tam było jeszcze gorzej, ponieważ był to, oczywiście, konkurencyjny klub w stosunku do jej macierzystego i na nią wraz koniem krzywo patrzono. Krążyła z nim od stajni do stajni. Zawsze i wszędzie coś było nie tak. Bywało i tak, że dokuczali jej i umieszczali go w boksach blisko złośliwych zwierząt, co sprawiało, że był nerwowy. Objawiało się to tym, że gryzł drewnianą przegrodę, a jeśli jej nie było, ścierał zęby o żelazo, o jakąś kratę, lub też o betonową krawędź swojego boksu. To ją zawsze najbardziej złościło. Zwierzę przecież nie jest niczemu winne. W końcu znaleźli stajnię w Gorenjskiej, tuż przy autostradzie.

Nic przeszkadzało jej, że musiała tak daleko jeździć. Miała spokój z członkami klubu, z mężem, który nie mógł już kontrolować, co robi i nieustannie wiedzieć lepiej, co jest dla konia dobre, a co nie, spokój z tym, że wszyscy wiedzieli, z której stajni naprawdę jest i o co chodzi.

W tej stajni byli sami. Przynajmniej w tym sensie, że nikt ich nie znał. Zarządcy i stajennemu specjalnie nic nie mówiła, komunikację ograniczyła do minimum. Nie powiedziała, gdzie była wcześniej, ani dokładnie czym się zajmuje. Także innych ludzi w stajni unikała. Nie dzieliła z nimi trosk o zwierzęta, nie rozmawiała, nie pożyczala niczego, sama dzwoniła do weterynarza, sama przejęła całą opiekę.

Kiedy przychodziła, zawsze najpierw sprawdzała, czy wszystko jest czyste i posprzątane, czy na ziemi jest wystarczająco dużo słomy, czy koryto jest czyste, czy stajnia jest przewietrzona. To zdecydowanie była najlepsza stajnia. Warta tych pięćdziesięciu kilometrów. Aristonowi zawsze śpiewała, cicho i czule jak kołysankę, czuła jaki jest jej wdzięczny za wszystko, co dla niego robi. Wszystko jej mogą odebrać, ale tego nie, jest jej, tylko jej, dba o niego, płaci za niego i go ma. Pielęgnowuje jego rany, zapobiega chorobom z troską i delikatnością, z dobroczynną zależnością, z myślą o nim.

Wyobrażała sobie jego poprzednie życie, zanim go kupiła. Naturalnie wiedziała, że koń to zwierzę gospodarskie, że jest człowiekowi potrzebne, że niektórzy nawet jedzą koninę, wiadomo, to nic takiego. Ale jej Ariston był przedtem koniem wyścigowym. A to jest najgorsze, co może się koniowi przytrafić – być koniem wyścigowym.

Miał dwie blizny na zadzie, otarcia w wielu miejscach. W momencie, kiedy go zobaczyła, gdy odpowiedziała na ogłoszenie „sprzedamy konia wyścigowego, 7-letniego”, wiedziała, że musi go uratować. Nie był też drogi, wydał się jej tani. Będzie go miała, oczywiście, pod wierzch, kiedy przyjdzie na to czas, całe życie jeździła, miała już konie, więc je zna, więc wie, jak się z nimi obchodzić. Oczywiście. Ujeździć mógłby go jej mąż, ale ponieważ robił jej złośliwe uwagi, nie na miejscu, zleci to instruktorowi jeździectwa, którego sama wybierze.

Przyjaciółkom w kawiarni „Słoń” nie mogła powiedzieć – wiecie, kupiłam sobie konia, prawdziwego konia, który przedtem brał udział w wyścigach, ma trochę otarć na ciele, ale jest mój, tylko mój i tylko ja będę na nim jeździć. Nie mogła się cieszyć przy nich. Wiedziały, że oboje z mężem jeżdżą konno, ale o szczegółach nigdy nie rozmawiały. Im to się pewnie wydawało trochę dziwne, albo co bardziej prawdopodobne – snobistyczne.

Tak jak z nimi nie rozmawiała o tym swoim związku, tak do niego nie mówiła na głos, nie artykułowała słów, przynajmniej nie na początku, ale potem, potem rozmawiała z nim jak mężem, jak z dzieckiem albo z przyjaciółką czy z współpracownicą. Była delikatna i czuła, trochę zła jeśli się nieprawidłowo poruszył, karcąca jeśli się wybrudził i wszedł w swoje odchody, czuło się jednak, a przynajmniej on powinien to czuć, że wszystko mu wybaczła.

Używała tylko najlepszych kosmetyków do sierści i kłębu, kopyt, rozczesywała mu ogon, nie mogła się doczekać kiedy odrośnie, ponieważ poprzedni właściciele skrócili go o jakieś 15 centymetrów. To nie fair wobec zwierzęcia, chociaż wielu to robi.

Koń przyzwyczał się do niej. Zawsze brał jabłko lub pół, a potem pozwalała mu by swoimi wargami, delikatnymi jak nic innego na świecie, puchatymi i ruchliwymi, ciepłymi, lekko pieścił ją po szyi lub ręce. Czuła miękkie włoski i ciepłe powietrze z jego nozdrzy. Czasami jego gładki, ciepły i mokry język pogładził ją po ręce, czy twarzy.

Kiedy ostatnim razem była w stajni, usprawiedliwiała się sama przed sobą, naprawdę nie można było inaczej, kongres trwał trzy dni, podróż w tę i z powrotem, samolot, Oslo, i z powrotem, tak że zaniedbała go na prawie cały tydzień. I to było widać. Nie mogła powiedzieć, że o niego nie dbali, dbali, dali mu jeść, mógł pić, od czasu do czasu ktoś się do niego odezwał, słyszał ludzkie głosy, nie był sam i opuszczony, wcale nie, może byli za mało uważni przy sprzątaniu, na pewno nie obejrzeliby jego odchodów, nie dali mu żadnego smakołyka, w ogóle, nawet jabłka, traktowali go jak zwyczajnego mieszkańca i podopiecznego. To wszystko. W tej sytuacji to musiało wystarczyć.

Ariston potrzebuje szczególnej uwagi, prawie – mówiąc trochę niepoważnie – miłości. Potrzebuje szczotkowania i pieszczot, mówienia i głaskania. To go uspakaja. Nie może go uszczęśliwić, bo koń nie może być szczęśliwy, to jest jasne, ale można, tak jak powinno się postępować wobec wszystkich zwierząt, ulżyć mu w jego egzystencji. Tak, właśnie tak. Żeby nie kopał w ogrodzenie, nie uderzał ciałem w barierkę, która ogranicza mu ruchy, nie gryzł żelaznej kraty okiennej, żeby – krótko mówiąc – był zdrowy psychicznie, w dobrej kondycji. To właśnie jest ważne.

Zdarzyło się – nie miała wyrzutów sumienia, ale nie było jej też wszystko jedno – że musiała odstawić samochód do mechanika, tak więc przesunęła odwiedzin u niego o jeden dzień. Nie wydało jej się to zupełnie właściwym, bo wiedziała, że konie mają wyjątkową pamięć i że Ariston wie, jaki jest rytm jej odwiedzin. Być może wie. Wyszła więc z pracy trochę wcześniej, ostatecznie może sobie na to pozwolić, następnego dnia nadrobi zaległości.

Była bardzo zadowolona, że z lewej strony Ariston miał za sąsiada młodego ogiera, widziała, że właściciele pielęgnują go systematycznie, natomiast boks po prawej zajmowała spokojna starsza klacz, którą ujeżdżano regularnie i była tak łagodnego usposobienia, że pozwalano na niej jeździć nawet dzieciom. Czuła jednak, że pojawił się problem, ponieważ młodego ogiera obok Aristona dzień wcześniej wykastrowano. To był bardzo poniżający i bolesny, okrutny postępek a także akt, wszak zwierzęciu – nie żeby sądziła, iż jest to dla

niego jakieś szczególnie dobro – odebrali możliwość płodzenia, ograniczyli go do osobliwej ścieżki rozwoju. Patrzyła na tego młodego ogiera, jak cierpiąc z bólu stał w swoim boksie, bez mała poniżony w swojej godności. Oczywiście dobrze o niego dbali, miał leki i opiekę, ponieważ bali się infekcji. Ale ból musiał być nieznośny.

Zrodziło się w niej poczucie winy, że interesuje się innym koniem, że żal jej go i przede wszystkim dlatego, że pomyślała o tym jak to przed dobrymi pięcioma laty musiało boleć Aristona. Do tej chwili o nim nie pomyślała, chociaż doskonale wiedziała, że jest kastratem, to znaczy wałachem, i że jest to straszliwa ingerencja w istotę żywego stworzenia.

Ariston musiał to wszystko znosić podobnie jak jego młody sąsiad, potem mogli go zaprząć do sulki¹ i całymi dniami gnać w kółko. Gonitw konnych nigdy nie lubiła, gdyż jest to – tu swojemu mężowi wierzyła – znęcanie się nad zwierzętami, bo nawet gdyby chciały biec szybciej, nie mogą, nie mogą przejść w galop, lecz muszą pozostać w tej nienaturalnej odmianie biegu.

Młody sąsiad Aristona i jego los, że go zwałaszili, sprawiły, że przyszło jej na myśl, aby pierwszy raz obejrzeć swojego konia sprawdzając czy wszystko jest w porządku nie tylko wokół penisa – który kiedyś długi, czarny z jasną, biało-różową plamą na całej długości – teraz zwisał prawie do ziemi, a przy erekcji nie mógł podnieść się do jamy brzusznej, a raczej co z raną, którą pozostawiła kastracja. Delikatnie złapała go tam na dole i z lekka obmacała blizny, które pozostawił zabieg. Wydało jej się, że byłoby słuszne, gdyby się to nie wydarzyło. Ale tak pięknego i dobrego zwierzęcia jeszcze nie widziała. I na pewno nie rozwinąłby tak łagodnej i pięknej natury, ale pozostałby czymś dzikim, znacznie silniejszym, cięższym, bardziej muskularnym i dla kobiety ciężkim do poskromienia. Musieli to zrobić, to właśnie się robi, żeby koń był użyteczny, podporządkowany i żeby można było na nim jeździć. Jest to jednak żalosne i poniżające. Tam, gdzie powinny być jądra, była przerażająca pustka.

Tak zawsze podczas pielęgnacji mimowolnie gładziła go także po bliźnie. Koń zawsze się trochę poruszył, zawsze odwrócił się i patrzył na nią. Nie mogła stwierdzić, czy dotyk mu przeszkadza, czy też się podoba. Rękoma wymacała długą na jakieś 10 cm szramę. Czuła, jak tym gestem za każdym razem wiązuje się z nim coraz bardziej. Zawsze musiała dotknąć tej jego rany. Odczuwała ją jako zło, jako naprawdę egoistyczny czyn poprzednich właścicieli.

W czwartek o szóstej powinna iść na zwyczajowe spotkanie z koleżankami w kawiarni „Słoń”, rozmyśliła się jednak. Dość ma ich plotkowania, dość paplania ot tak. Nic już jej nie interesowało w tym mieście, żadni wspólni znajomi, żadne wydarzenia artystyczne, nie program filharmonii i nie wystawy, nie kto jest w szpitalu i dlaczego, kto opuścił kogo i cała ta reszta. Już ostatnio patrzyła na obie koleżanki, jak mówiły i mówiły, pochylały się do siebie poufnie i chichotały. A jej tego wszystkiego było już za wiele. Nie może słuchać ich egoistycznych komentarzy, nie może się odnaleźć w ich świecie.

Wsiadła do samochodu i pojechała do Aristona. Wieczorem będzie z powrotem w Lublanie, tylko trochę się nim zajmie. Przyjechała już o zmierzchu. W stajni wykonywano wieczorne prace, jednak nikogo nie widziała.

Młody koń, sąsiad Aristona, leżał zupełnie spokojnie, pogodzony z losem, z nagą egzystencją, podczas gdy Ariston stał i patrzył w pustkę. Nic innego się nie liczyło, tylko to, że przyszła. Czuła jego wielkie ciepłe ciało, czuła jego zapach, widziała się w jego ogromnych brązowych oczach. Przyniosła mu trzy jabłka, mimo że było to niepożądane, gdyż denerwowało zwierzęta w innych boksach. Położyła swoje ucho na jego wydłużonej głowie i słuchała jak gryzie jabłka. Było to przytłumione dudnienie w jakiejś nieokreślonej dali. Ślinił się z zadowolenia, jego ślina, miękka i ciepła zwilżyła jej rękę. Nigdy nie myła rąk po

¹ Specjalny lekki dwukołowy wózek używany w wyścigach kłusaków, w których konie poruszać się mogą wyłącznie szybkim kłusem, a za przejście w galop grozi dyskwalifikacja. Ten rodzaj wyścigów popularny jest w USA i Europie Zachodniej.

karmieniu by jeszcze w drodze powrotnej móc odczuwać jego bliskość. Boks nie wydał jej się należycie posprzątanym. Słoma była świeża, może nawet zbyt wilgotna, co mogłoby koniowi zaszkodzić.

Traktowała go jak schronienie przed całym światem, przed głupim trajkotaniem długoletnich koleżanek, przed mężem, który z niej kpił. Słyszała instruktora jeździectwa i jego żonę, jak rozmawiają na zewnątrz. Po samochodzie doskonale wiedzieli, że jest w stajni, u Aristona, tego nie można było ukryć. Będą niezadowoleni, bo łamała regulamin stajni, ale trudno.

Pogłaskała go po głowie, oparła się na jego mocnym ciepłym ciele, które było takie przyjemne i bezpieczne, ręką przejechała po grzywie i pogładziła go po kłębie. Lewą ręką wodziła po całym ciele, pogłaskała go po piersi, po brzuchu i zbliżała się do podbrzusza. Czowała ciepło w wewnętrznej przestrzeni między nogami. Pomacała dawną ranę, pozostałości po zabliźnianiu. Twarz miała opartą o bok, było naprawdę przyjemnie. Koń obejrzał się i na nią popatrzył. Coś ludzkiego było w jego spojrzeniu, coś smutnego, oskarżycielskiego, jak się jej wydało i rozumiała jego przygnębienie. Ono przeszło na nią.

Nagle koń uniósł nozdrza, które napięły się w krótki ryj, tak że pokazały się mocne zęby, to jeszcze widziała, słyszała pisk, głowę raptownie podniósł wysoko, szyja wydłużyła się, odepchnął ją bokiem, wierzgnął i obiema tylnymi nogami najpierw mocno kopnął ją w pierś. Gdy spadała, już ponawiał uderzenie, tylne nogi podniosły się w powietrze, jakby były na jakiejś strasznie szybkiej i mocnej sprężynie, tak że kopytami trafił w środek twarzy i połamał jej wszystkie kości twarzy, wybił zęby i w kilku miejscach złamał dolną szczękę.

Zanim ludzie zdążyli przybiec na pomoc, była jak gorący ziemniak kopnięty w róg boksu. Trzeba było wielkiej odwagi stajennego, żeby skoczyć do boksu i odciągnąć od niej Aristona, który już schylał głowę ku niej i próbował gryźć i podnieść ją, zapewne po to by ją znowu kopnąć.

Tłumaczenie/Prevod: Alicja Wiśniewska

Dušan Merc *Dva tisoč in nekaj*

Z dziennika „*Večer*”/Iz dnevnika *Večer* (15.05.2009).

Tudi za staro gospo Drago bo pomlad. Pa je ni bila vesela. Skoraj je ni bila vesela. Kakor po čudežu je dočkala to pomlad. Ni bilo volje za letošnjo pomlad. Pred štirimi meseci, na začetku zime, se je upanje na pomlad odmaknilo, izginilo. Sledila je trda zima. Tudi sedaj še ni bilo prave volje, radosti in začudenja do nastajajoče pomladi. Težko se je je bilo nadejati glede na stanje, v katerem se je znašla po padcu. Stare kosti so počile, stari boki niso zdržali pritiska in se je zlomil kolk in medenica. Prekladanja po bolnici, potem doma. Doma, v stanovanju. Bolečine in ponižanja zaradi nesamostojnosti, nemoči. Bila je živo poleno, ležeče poleno v bolnici, dvigovanje polena za opravljanje potrebe, za hranjenje, slačenje, golota starega telesa, umivanje polena, tuširanje polena, vse boleče in ponižujoče. Vsi okoli nje z izdelanim pristopom do starčkov in invalidov, nekoliko rezki nekateri, kakor bi imeli opravka z dementno osebo, nekateri nasilni, nekateri pokroviteljski. Mogoče je kdo sem in tja vedel, kdo je ona. Večina pa je tako ignorantov. To, da ti nesejo kahlo in da te umivajo, zato je bolje, da ne vedo, kdo si. Jih tudi ne zanima.

»Dajmo, gospa, dajmo, Draga, kaj se smilite sami sebi, dajmo, mamka, dajmo, kaj je zdaj to, Draga, kaj se ne bova umili, Draga, ali se ne mislite potruditi, no, Dragica, zdaj greva pa na sprehod, no, bo že kaj, kaj mislite cel dan ležati kot klada, dajmo, malo živahneje, Draga, dajte, dajte, zdaj boste pa tole lepo pojedli, kar, dajmo, kaj bova pustili vse skupaj, ste bili pa pridni, Dragica, kaj je zdaj to, tako se nisva zmenili, tako ne bo šlo, Draga ...«

Sita je bila teh nagovorov, teh vzklikov, teh raznih vrst enakopravnosti, vsak je imel svojo obliko spodbujanja in zmerjanja. Vsak od vseh teh ljudi, strežnic, sester, bratov in tudi zdravnikov je imel prav, da bi morala ona, zase bi morala ona. Dovolj hitro, učinkovito. Prav je imel tako zanjo kakor zase – tudi njegov interes je bil, da vse naredi čim bolj sama. Bo imel potem ta osebek sam zase dovolj časa, manj dela. Tudi on, ne samo da bo ona napredovala. Sita je bila teh situacij.

Potem so jo dali domov. Bilo je prezgodaj in prepozno. Ni bila samostojna, da bi bila sama doma, bila pa je sita teh ljudi v belem. Sita je bila vsega služabništva tam.

Mlajša hči Helena je vztrajala, da ji je organizirala, da so prišli dopoldne, ji prinesli hrano, ji dali na mizo, potem pa oddrveli, prišli drug dan, zamenjali polno posodo s prazno in izginili, potem je prišla neka ženska in pomila in posesala. Mlajša hči Helena je preverila, kako je bilo čez dan, večinoma kar po telefonu, potem je bilo konec dneva in prišla je noč in pojavila se je tesnoba, da bo lahko konec do jutra. Smrt do jutra. Do sedaj še vedno.

Fizioterapevtka, ki je prihajala na dom, je sčasoma postajala drugačna. Na račun je dobivala denar. Počasi ji je vračala telo k duši in počasi se je to glede na leta, seveda, popravilo. Duša je začela verjeti v svojega osla, ki jo je prenašal po svetu. Na začetku pa je bilo grozno, bilo je obupno. To prekladanje telesa, telesa odvisnega od drugih, telesa, ki sprejema vase vse, kar mu tiščijo, in odvaja vse. Brez lastnih mišic, z bolečinami, neskončnimi in ponavljajočimi se bolečinami. Skupaj s ponižanji.

S to gospo, Sonja ji je ime, pa so se zadeve počasi urejale. Najprej iz meseca v mesec, potem pa je šlo kar hitro, zadovoljivo hitro. To se je plačalo. Prišla je, gnetla je telo, dvigovala noge, jih krčila, upogibala noge, masirala sklepe, raztegovala telo, mišice. Imela je prave roke, njen dotik je bil prijeten, njen glas, njeno spodbujanje je bilo človeško, ni bilo pretiravanja, ni bilo pokroviteljsko, ni bilo kakor pri mnogih, da imajo pred seboj bedno starko, ki jo zapušča telo in um, ki jo je treba nadreti, da bo ubogala, starko, ki nima ponosa, ki se boji, ki prosjači za naklonjenost in pomoč. Dala ji je moč svojih mišic, da si je opomoglo njeno telo. Njen osel.

Stara gospa Draga je čakala na taksi. Taksi je najboljša oblika prevažanja po mestu. Znosen strošek. Taksistu plačaš in prideš. In navadno so to prijazni fantje. Ne pričakuje, da jo

bi prepoznali, da bi se vrteli okoli nje kakor okoli zvezde. Opravili bodo svoje delo, zadovoljili bodo njeno nečimrnost, v resnici pa ne vedo, kdo je, kaj je, kaj je bila. Že nekaj časa ne. Ne spada v njihovo generacijo, ni v iz njihovega sveta. Odprejo vrata, pomagajo iz globine avtomobila ven, na prosto. Vedejo se kulturno, malo nerodno, malo prisiljeno. Kaj si taksist misli, ko odpira vrata, ko pomaga, niti ni pomembno. Da napitnino, da jo. Taksistovo pozornost, klečeplazenje plača. Sicer pa, ali se ni ta pozornost moških vedno plačevala. Na nek način seveda. Vsako obdobje zahteva drug način.

Sedela je v naslonjaču, imela je pripravljeno berglo, pravzaprav dve, čeprav je dovolj dobro hodila brez opore. Pokončno, precej gotovih korakov. Sedaj bo prišel taksist in jo odpeljal. Pred komisijo, ki naj bi ji povrnila stroške, lepo prosim. Socialna država, od katere ni nikoli nič pričakovala, ji bo povrnila stroške, če bo komisija tako odločila. Komisijo je treba prepričati. Kar pa naj ne bi bilo težko. Pred seboj bodo imeli sliko njenih polomljenih kosti, imeli bodo pričevanja zdravnikov, imeli bodo njo samo, da si jo bodo ogledali in potem bodo odločili. Za nekaj tisoč. No, za dva tisoč in nekaj je točna številka, se bo postavila na ogled in dobila denar nazaj.

Hčerka Helena jo je dolgo prepričevala, pomagal je vnuk Vid, tudi drugi so pritiskali nanjo. Slutila je, celo prepričana je bila, da varčujejo z njenim denarjem. Zanj ali da bi mogoče ostalo več? Teh nekaj tisoč, no, dva tisoč in nekaj. Kakor da bi ne smela zapraviti zase. Zoprni občutek, ki se javlja tudi pri kakšni drugi situaciji. Imajo jo radi, skrbijo zanjo, vendar skrbijo tudi za denar. Za njen denar. To pa ni prijetno. Pokroviteljski so predvsem pri denarju, se ji zdi. Saj ne potrebuješ novega televizorja, ta je dober, boljši je kot vsi novejši, ne, saj ni potrebno, seveda te peljemo po novo krilo, ampak, ali si premislila, če ga res potrebuješ, če ga boš dovolj nosila, no, ti prinesemo hrano, seveda, ne pa takšne, ki ti bi škodovala ...

»Mama, tako se to dela. Tako je danes. In nič drugače. Zavarovalnica mora nekaj tudi vrniti. Gospa Sonja ti je pomagala in ti imaš pravico do finančnega nadomestila za njeno pomoč, za njeno delo. Razumeš? Lepo zaprosiš, zahtevaš. Nekateri desetletja, celo življenje, vlečejo podporo, pa jim zato ni nerodno, upravičeni so do tega. Zakaj ne bi dobila nečesa, do česar si upravičena. Vplačevala si in sedaj naj vrnejo. Saj z denarjem lahko narediš, kar te je volja. To je privarčevan denar vendar ... ti si samo založila za državo, no, tej zavarovalnici. Celotno življenje si plačevala zavarovanje.«

Vse, kar je Helena govorila, je bilo res. Ni se dalo oporekati. Pa vendar. Pa vendar. Tudi vnuk Vid je pritisnil:

»Tako je danes, babi. Danes pač moraš vedeti, kaj ti pripada. In tebi pripada. Nikomur ne boš ničesar vzela, če se odpoveš temu, kar ti pripada ... saj ne goljufaš. Denar si založila in sedaj naj ti ga vrnejo ...«

Kako mikavno. Denar se vrne za nekaj, kar ti je pomagalo.

»Greš tja in jih prepričaš, mami. Samo tja greš, na oder, prednje in odigraš svojo vlogo. Gotovo se bo kdo spomnil tvojega imena. Za toliko denarja je to vredno. Ne samo pošteno, da ti ga vrnejo za fizioterapijo, pošteno je, tudi zato, ker je to pač tvoj denar ...«

Razčistila se je situacija tudi z domačimi zaradi njene bolezni, zaradi poškodbe, je v samoti pogosto tuhtala gospa Draga. To je dobro – imeti čiste račune s svojima hčerkama in sinom in vnuki. Tudi z njimi, seveda, z vnuki. To je posebna zalega, grdo rečeno, čudni novi ljudje. Dela se, da jih ima rada, kakor se delajo oni. Vzajemna hinavščina o vzajemni ljubezni. Vseeno so bili koristni, potrebni.

Mlajša Helena in starejša Agata sta si očitno po dogovoru razdelili skrb zanjo. In razdelili so bosta primerno vse, kar ostane. Helenin sin Vid pomaga v tej strateški odločitvi. Drugih skoraj ni blizu.

»Saj je prav, da si urejena. Jasno, urejena moraš biti. Samo, ti greš po svoj denar k njim. Če te vidijo takole, mama, jih skoraj gotovo ne boš prepričala. Razumeš. Daj, nekaj

starejšega, manj elegantnega. Ti ljudje tam se srečujejo z revščino, morajo pomagati. Če pa prideš, takole kot iz škatlice, potem nisi prepričljiva, razumeš, mama?»

Helena se je vrtela okoli nje. Za nekaj tisoč je šlo. No, za dva tisoč in nekaj. Za to mora odigrati nekakšno revo. Saj, razumljivo.

»In prosim te, priti moraš z obema berglama, nikar samo z eno. Tam je vendar jasno, da potrebuješ pomoč, da si jo potrebovala. Moraš biti nazorna, saj to znaš. Toliko vlog, kot si jih odigrala, pa ne bi zmogla te majhne vlogice ...«

Stara je bila tiho. Hčerkini argumenti so točni, niso pa pravi. Pokroviteljski so, za denar so. V komisiji so zdravniki in socialni delavci. Verjetno. Kdo od njih bi jo utegnil prepoznati, bivšo igralko, in utegnili bi se mu zasmiliti, celo posmeh ali pa spoštovanje zaradi njenih dosežkov, kaj se ve. Ali pa bi spregledal njeno igro. Mogoče pa bi jo obsodil, da igra, rekel bi, ti igralci ne znajo drugega kakor igrati. Karkoli naredijo, igrajo. Vedno igrajo, ne znajo živeti drugače, kakor da igrajo. Lahko se zgodi. Lahko pa da ne bo nič. Skozi te štiri mesece se je marsikaj izkristaliziralo. Hči Helena in vnuk Vid in drugi.

»Kdo pa od tebe zahteva kaj posebnega. Lej, obleci se nekoliko bolj skromno, pa tudi sama si rekla, da nakit na starih ženskih rokah učinkuje neokusno, čudno, celo perverzno si rekla. Daj snemi ta prstan in verižico. Tega ti res ni treba razkazovati ... to ne bi bilo povsem modro ...«

Stara gospa Draga je snela prstan, snela je verižico in ju dala v žep in trmasto sedela v naslonjaču, da pride taksi. Helena ne bo peljala, tudi Vid ne bo peljal. Tam ni kje parkirati. Ne bo se preoblekla. Ne bo. Čas bo potekel in bosta šli. Prevezela je obliko trme, s katero se je sama spopadala pri Heleni, ko je bila še otrok. Nič odgovoriti, samo čakati. Čas mine, trma zmaga. Nič se ne bo spremenilo, če ne reče nič, če ne ugovarja, pač pa samo čaka. Taksi bo prišel in bo treba iti. Brez besed. Ona je nekdo, ona je bila igralka, ona se ne more poniževati, da bi hodila okoli kakor na pol beračica. Saj gre za njen denar, za dva tisoč in nekaj. Nič več. Toliko je plačala Sonji, da je njeno telo pripeljala spet k duši. Ali pa obratno, saj ni važno.

Taksist je prišel. Kakor po pričakovanju je bil vljuden. Pomagal ji je sestri v avto, galantno. Čutila je njegovo močno telo, opora ji je bilo za trenutek, samo za trenutek. Dišal je ta moški. Urejen je bil. Obrit, sveže izbrit, stuširan moški. To je dobro znamenje za cel dan, si je rekla. Helena tudi čuti to svežino in pravo mero moške kolonske po britju. Mora čutiti to. Tudi avto je imel brezhibno čist.

Ljudje v stavbi zavarovalnice so hiteli na vse strani. Vratar je bil podoben vratarju v kakšnem hotelu. V livreji. Sluga. Pravi pajac na vhodu. Potem dvigalo. Bergli je imela seboj, lažje je šlo z njima. Po vseh štirih, je pomislila, kakor da je žival. Vendar jo je telo, njen osel, dobro nesel. Ni kaj. Po tako hudi poškodbi kolka in medenice, je bila spet na svojih nogah, na svojih nekoč tako lepih nogah, da so jih režiserji radi izkoriščali za pogled gledalcem. Ali na odru ali pred kamero.

Sedli sta blizu k vratom. Treba bo nekaj počakati. Hodnik je bil poln ljudi z berglami, nekaj jih je bilo na vozičkih, nekateri so bili verjetno slepi, vsi so imeli podporo, vsi so imeli spremljevalce in spodbujevalce. Iz vseh bolnic mesta in države so se zgrnili pred to komisijo. Mogoče celo, da je več komisij, ki si ogledujejo te kriplje, je pomislila. Toliko jih je. Vsakemu nekaj dajo. Vsakega pogledajo, pogledajo njegove papirje. Si ga ogledajo. Kdo je opravičen, kdo je resnično ubog, nemočen. Družba mu prizna. Komisija predstavlja to družbo. Za podaljšanje bolniške, za invalidsko, za podporo, za zdravilišče, za dodatno terapijo, za zdravljenje v inozemstvu da ta komisija. Za vse je ta komisija. No, glede na število kripljev, je pomislila, ne morejo dati veliko.

Sedeli sta in čakali. Klicali so ljudi in cele procesije so se odvijale, celi igrokazi, je pomislila igralka Draga, da se je videlo, nazorno videlo, kako smo vsi ubogi, nemočni, pohabljeni, iznakaženi. No, je pomislila: vsi igrajo in vse je podobno snemanju kakšnega

starega partizanskega filma; prizor z ranjenci – krutost usode in okupatorja bi se zrcalila v tem veličastnem prizoru, usmiljenje do ubogih, iznakaženih v bitki z življenjem.

Otipala je prstan in verižico v žepu lepega kostima, v katerem je vztrajala. Ogrnjena je bila v kar reven plašč, ki ji ji ga navlekla Helena. Prstan je nataknila kar miže. In verižico, z otipom. Prikrivala je to dejanje pred hčerko. Vsaj prstan in verižico. V nasprotju s temi namišljenimi bolniki in reveži. Veliko jih je bilo pred njima. Razpravna dvorana tri je bila to, noter so hodili povsem slepi, povsem dezorientirani, tresoči se, vozili so jih noter, mrki so odhajali, v strahu in razkazovanju bede. Pa se je spremstvo vedno vračalo, niso smeli biti zraven na obravnavi. Kdo je v senatu, v komisiji? Zdravnik od zavarovalnice, potem zdravnik iz bolnice, pooblaščen, in potem še član civilne javnosti vendar. Človek iz ljudstva, ki tudi pomaga presoditi, potrdi zdravniški mnenji. Državljan, ki ščiti interes državljanov pred pohlepno zavarovalnico in strogo stroko, državljan, ki razume bedo invalida.

»Mama, boš zmogla, sama moraš noter, ne ...«

Težko bo zmogla. Ni še bila pred takšno publiko. Pri več ko šestinosemdesetih še ni bila pred takšno komisijo. Nekakšno avdicijo, da si sposoben za invalida, da ti manjka kakšen ud, da te izdaja hrbtenica, da si že skoraj na vseh štirih, da trpiš ko črna živina, ker moraš živeti, da vidiš kakšne marsovce, da se jih bojiš, da nisi skoraj več v svojem življenju, da si še vedno kapitan podmornice ali kaj podobnega. Seveda, avdicijo je treba opraviti. Pa ti dajo nekaj tisoč, no, dva tisoč in nekaj.

Končno so jo poklicali. Razpravna dvorana tri. Klicana je ona. Gospa Draga se je dvignila, kakor bi jo klicali na oder, noter, pred publiko, inspicient jo kliče. Vstala je, odpustila s telesa svoj uborni plašč, da je spolzel s telesa, kakor bi spolzela tančica z ramen kraljice, ki gre h kralju, kakor odločitev device, da bo šla tokrat s tem moškim do konca, kakor plašč Device Orleanske, da bo položila glavo na tnilo, da bo vrat gol, ki hoče svoje telo očistiti navlake. Opustila je bergli, kakor da bi jo obsijala božja milost, da je zopet shodila, kakor da se je zgodil čudež. S prostimi rokami si je popravila lase, kakor bi se videla v ogledalu, ustnici je upognila navznoter, kakor bi se ravnokar našminkala, da se vazelin pravilno razporedi, dvignila je glavo in se zazrla z višav na ta svet, ostro je poudarila svoj profil in odšla pred žirijo, no, pred komisijo.

Pričakovala je pravo dvorano, pravi senat, pa so bili tam trije tipi, dva v belih haljah, sredi kupov papirja, v navadni pisarni, in nek nezainteresiran tip v zamaščenem in prevelikem puloverju. Očitno človek iz ljudstva. Ali pa socialni delavec. Zamaščen, v glavnem, poflekan. Potuhnjenega pogleda. Prav, tudi prav, je pomislila.

Vedeli so vsi trije, koga imajo pred seboj. Njen zdravstveni dosje je bil na mizi. Nekaj so listali in se spogledovali, sem in tja jo je kdo pogledal, samo tako, potem so nekaj zamrmrali. Vse je šlo sicer hitro, tako da ni mogla testirati, kakšen vtis je naredila. Sedela je pred njimi na stolu, vzravkala se je, koleno je stisnila nekoliko skupaj in ju rahlo zasukala v desno, v nasprotno stran od telesa. Tako se zapeljuje, je pomislila, tako se pokaže noge in kolena, naj dajo teh nekaj tisoč, no, dva in nekaj. Če hočejo. Če želite, gospodje.

»Se počutite dobro, gospa?«

»Dobro? Seveda. Dobro se počutim.« Kaj sprašuje ta bedak. Kaj je dobro? Jo sprašuje o duši ali o oslu, ki jo nosi? Kako to misli ta zdravnik? Ali je od stroke ali je od zavarovalnice.

»Lepo ste si opomogli, gospa.«

»Telovadila sem.«

»Zelo pametno gospa. Tako je treba, gospa.«

»Padec je bil precej hud, kajne, gospa?«

Seveda, kreten zdravniški, drugače ne bi počila medenica in kolk.

»Pa sedaj, gospa, kako gre sedaj?«

»Dobro, gospod doktor, kar dobro. Domnevam, da vaše vprašanje ni samo vljudnostno?«

Oba zdravnika sta se zasmejala, državljani pa ni razumel. Bolščal je v papir pred seboj. Verjetno se počuti nad vsemi temi kriplji, katerih interes zastopa v tej žiriji, no, v senatu. Skoraj neopravičeno. Honorar vleče, je pomislila igralka Draga.

»Hvala, gospa, to bo vse, gospa.«

Vstala je dostojanstveno, pokazala je, da je ima glede na starost še vedno lepe noge, da ne šepa, da ni kripelj, da ni pohabljen, da ima žensko dušo, bi se reklo. Nikoli ni potrebovala moškega usmiljenja, da so bili radi z njo, da so bili pozorni do nje, da bi živeli z njo. Nikoli.

Odkorakala je ven, kakor se je le dalo dostojanstveno. Ta komisija, ta žirija, se naj pač naslaja nad drugimi. Ali drugače rečeno: drugače naj se naslaja nad njo, kakor se naslaja nad drugimi, nad pacienti.

Zunaj, na zloščenenem hodniku, je samo za trenutek ujela jezen obraz svoje hčere Helene. Samo za trenutek. Za njo je morala pred senat tudi ona. Kaj jim bo lahko rekla? Karkoli bo rekla, bo neumnost, je pomislila igralka Draga. Neumnost. Blamirala se bo, se reče. Glede na predstavo, ki jo je uprizorila, so vse besede odveč.

Ko je prišla Helena ven iz senatne dvorane, navadna zanikrna pisarna treh dedcev, v popolnem neredu, z oguljenimi mizami zavarovalnice, je bila jezna, osramočena. To se je čutilo. Osramočena. Trije dedci so se je nagledali in se narezali. Za nekaj tisoč. No, za dva tisoč in nekaj.

Helena ji je prav sitno pomagala navleči plašč, star oguljen plašč, nekoliko groba je bila od jeze, nekoliko težko se je zadrževala. Pa je morala zdržati, vedno bo morala zdržati. Do konca bo morala zdržati. Če se dobi teh nekaj tisoč, no, dva tisoč in nekaj, ali pa se jih ne dobi. Predstava je nekako končana, gre h koncu. Nekaj užitka pa vendarle še nudi tudi igra v epilogu. Nekaj.

Dušan Merc *Dwa tysiące z czymś*

Z dziennika „*Večer*”/Iz dnevnika *Večer* (15.05.2009).

Wiosna nadejdzie również dla starej pani Dragi. Ale nie cieszyła się z niej. Wcale się z niej nie cieszyła. Doczekała tej wiosny jak po cudzie. Nie miała ochoty na tegoroczną wiosnę. Przed czterema miesiącami, na początku zimy, nadzieja na wiosnę została odsunięta, zniknęła. Nadeszła ciężka zima. Teraz też jeszcze nie było prawdziwej ochoty, radości i zdumienia nastającą wiosną. Ciężko było mieć nadzieję ze względu na stan, w którym znalazła się po upadku. Stare kości zatrzęszczały, stary szkielet nie wytrzymał nacisku i złamały się biodro i miednica. Przerzucanie po szpitalu, później do domu. Do domu, w mieszkaniu. Bóle i poniżenia z powodu niesamodzielności, bezsilności. Była żywą kłódą, kłódą leżącą w szpitalu, podnoszenie kłody do załatwiania potrzeb, do karmienia, przebierania, nagość starego ciała, mycie kłody, kąpanie kłody, wszystko bolesne i poniżające. Wszyscy wokół niej z mechanicznym podejściem do staruszków i inwalidów, niektórzy nieco ostrzy, jakby mieli do czynienia z osobą z demencją, niektórzy gwałtowni, niektórzy protekcyjni. Być może ktoś tu i tam wiedział, kim ona jest. Ale większość to tacy ignoranci. Ponieważ przynoszą ci nocnik i cię myją, lepiej, że nie wiedzą, kim jesteś. Poza tym ich to nie interesuje.

– No, dalej proszę pani, dalej, pani Drago, co pani myśli, dalej, babciu, dalej, a co to teraz, pani Drago, jak to się nie umyjemy, pani Drago, zechciałyby się pani postarać, no, pani Dragico, teraz idziemy na spacer, no, jak to tak, ma pani zamiar cały dzień leżeć jak kłoda, dalej, trochę żwawiej, pani Drago, no już, raz dwa, teraz zje pani ładnie, no, dalej, jak to tak zostawić teraz wszystko razem, a była pani grzeczna, pani Dragico, a co to teraz, tak się nie umawialiśmy, tak nie można, pani Drago...

Miała dosyć tych namawiań, tych wołań, tych różnych rodzajów równości, każdy miał swój sposób zachęcania i ubliżania. Każdy z tych ludzi, salowych, sióstr, braci, ale też lekarzy miał rację, że ona powinna, dla siebie powinna. Dość szybko, skutecznie. Miał rację tak dla niej jak i dla siebie – jego interes też był w tym, żeby wszystko robiła w jak największym stopniu sama. Dzięki temu to indywidualium będzie miało dla siebie więcej czasu, mniej pracy. Nie tylko ona robi postępy – on też. Dosyć miała takich sytuacji.

Później przeniesiono ją do domu. To było za szybko i za późno. Nie była na tyle niezależna, żeby mogła zostawać sama w domu, a dosyć miała tych ludzi w bieli. Miała dosyć całej tej służalczości tam.

Młodsza córka Helena upierała się, aby załatwić, żeby przychodzili do niej przed południem, przynosili jej jedzenie, sadzali ją do stołu, a później zrywali się, przychodzili następnego dnia, zamieniali pełne naczynie na puste i znikali, a później przychodziła jakaś kobieta, myła i odkurzała. Młodsza córka Helena sprawdzała, co się działo w dzień, zazwyczaj telefonicznie, później następował koniec dnia, przychodziła noc i coś zaczynało ją ścisnąć, żeby już był koniec do rana. Śmierć przed ranem. I tak dzień po dniu.

Fizykoterapeutka, która do niej przychodziła, z czasem stała się inna. Na konto dostawała pieniądze. Powoli przywracała swoje ciało duszy i powoli, oczywiście ze względu na wiek, to się poprawiało. Dusza zaczęła wierzyć w swojego osła, który nosił ją po świecie. Ale na początku było strasznie, fatalnie. To przekładanie ciała, ciała zależnego od innych, ciała, które przyjmuje w siebie wszystko, co mu wciskają, i wydała wszystko. Bez własnych mięśni, z bólem, niekończącymi i powtarzającymi się bólami. Razem z ciągiem poniżeń.

Ale dzięki tej pani, nazywała się Sonja, sprawy powoli się układały. Najpierw z miesiąca na miesiąc, a później szło szybciej, zadowolająco szybko. To kosztowało. Przychodziła, gniotła ciało, podnosiła nogi, zginała je, poruszała nimi, masowała stawy, rozciągała ciało, mięśnie. Miała odpowiednie ręce, jej dotyk był przyjemny, jej głos, jej zachęcanie było ludzkie, nie było w nim przesady, nie było protekcyjności, nie było tak jak

z wieloma osobami, co mają przed sobą biedną staruszkę, którą opuszcza ciało i umysł, na którą trzeba się wydrzeć, żeby była poslušna, staruszkę, która nie ma dumy, która się boi, która żebrze o przychylność i pomoc. Dała jej siłę swoich mięśni, żeby wyzdrowiało jej ciało. Jej osioł.

Stara pani Draga czekała na taksówkę. Taksówka to najlepsza forma poruszania się po mieście. Znośne koszty. Płacisz taksówkarzowi i jedziesz. A zazwyczaj są to sympatyczni chłopcy. Nie oczekuje, żeby ją rozpoznawali, żeby kręcili się wokół niej jak wokół gwiazdy. Wykonają swoją robotę, zaspokoją jej próżność, a w rzeczywistości nie wiedzą, kim jest, kim była. Już od jakiegoś czasu. Nie należy do ich pokolenia, nie jest z ich świata. Otwierają drzwi, pomagają wysiąść z głębi samochodu, na zewnątrz. Zachowują się kulturalnie, trochę niezręcznie, trochę na siłę. Co myśli sobie taksówkarz, kiedy pomagając otwiera drzwi, nie jest ani trochę ważne. Daje napiwek, tak, daje. Płaci za uwagę taksówkarza, płaci za płaszczenie się. To tak, ale czy za uwagę mężczyzn nie płaciło się zawsze? Oczywiście na swój sposób. Każda epoka wymaga innego sposobu.

Siedziała w fotelu, miała przygotowaną kulę, właściwie dwie, chociaż dość dobrze chodziła bez podparcia. Wyprostowana, całkiem pewnym krokiem. Teraz przyjedzie taksówkarz i ją zawiezie. Przed komisję, która ma zwrócić jej koszty, prosię bardzo. Państwo socjalne, od którego nigdy niczego nie oczekiwała, zwróci jej koszty, jeśli komisja tak zadecyduje. Komisję trzeba przekonać. Co nie powinno być trudne. Będą mieli przed sobą zdjęcie jej połamanych kości, będą mieli opinie lekarzy, będą mieli ją samą, żeby mogli ją sobie obejrzeć i później zadecydują. O kilku tysiącach. A konkretnie o dwóch tysiącach z czymś – dokładnie za tyle da się obejrzeć i dostanie z powrotem pieniądze.

Córka Helena długo ją przekonywała, pomagał wnuk Vid, inni też na nią naciskali. Podejrzała, nawet była przekonana, że oszczędzają jej pieniądze. Dla niej czy może żeby więcej zostało? Tych kilka tysięcy, no, dwa tysiące z czymś. Tak jakby nie mogła ich wydać na siebie. Nieprzyjemne poczucie, które zjawia się też w jakiejś innej sytuacji. Kochają ją, troszczą się o nią, jednak troszczą się też o pieniądze. O jej pieniądze. A to nie jest przyjemne. Protekcyjnalni są przede wszystkim w kwestii pieniędzy, wydaje się jej. Przecież nie potrzebujesz nowego telewizora, ten jest dobry, lepszy niż wszystkie te nowsze, prawda, przecież nie trzeba, oczywiście pójdziemy po nową spódnice, tylko czy na pewno uważasz, że naprawdę jej potrzebujesz, że będziesz ją nosiła, tak, przyniesiemy ci jedzenie, oczywiście, ale nie takie, które by ci zaszkodziło...

– Mamo, tak się robi. Dziś tak jest. Inaczej się nie da. Ubezpieczalnia też musi trochę zwrócić. Pani Sonja ci pomagała i masz prawo do finansowej rekompensaty za jej pomoc, za jej pracę. Rozumiesz? Po prostu prosisz, żądasz. Niektórzy przez dziesiątki lat, całe życie, ciągną zapomogę, i nie jest im z tego powodu głupio, mają do tego prawo. Dlaczego nie miałabyś dostać czegoś, do czego masz prawo. Płaciłaś składki i teraz niech ci zwrócą. Przecież zrobisz z pieniędzmi, co zechcesz. W końcu to oszczędzone pieniądze... ty je tylko pożyczylaś państwu, to znaczy tej ubezpieczalni. Przez całe życie płaciłaś za ubezpieczenie.

Wszystko, co mówiła Helena, było prawdą. Nie dało się zaprzeczyć. A jednak. A jednak. Wnuk Vid też naciskał:

– Tak to dzisiaj jest, babciu. Dzisiaj musisz wiedzieć, co ci się należy. A tobie się należy. Nikomu nic nie zabierzesz, jeśli nie zrezygnujesz z tego, co ci się należy... przecież nie kombinujesz. Pieniądze założyłaś i teraz niech ci je zwrócą...

Bardzo kuszące. Pieniądze zwracają za coś, co ci pomogło.

– Wejdiesz tam i ich przekonasz, mamo. Tylko tam wejdiesz, na scenę, przed nich i odegrasz swoją rolę. Na pewno ktoś skojarzy twoje nazwisko. Te pieniądze są tego warte. Należą ci się za fizykoterapię, należą ci się też dlatego, że to są twoje pieniądze...

Sprawy z bliskimi wyjaśniły się też z powodu jej choroby, z powodu urazu, często rozmyślała w samotności pani Draga. To jest dobre – mieć jasną sytuację ze swoimi córkami,

synem i wnukami. Z nimi też, oczywiście, z wnukami. Ach, to jest, za przeproszeniem, diabelskie nasienie, dziwni nowi ludzie. Udaje, że ich kocha, tak jak oni udają. Wzajemna hipokryzja – ta wzajemna miłość. Mimo wszystko byli niezbędni, potrzebni.

Młodsza Helena i starsza Agata pewnie dogadały się, co do podziału opieki. I pewnie dogadają się w kwestii wszystkiego, co zostanie. Syn Heleny, Vid, pomaga w tej strategicznej decyzji. Inni się nie pojawiają.

– Bardzo dobrze, że jesteś zadbana. Pewnie, musisz być zadbana. Tylko że ty idziesz do nich po swoje pieniądze. Jeśli cię zobaczą taką, mamó, niemal na pewno ich nie przekonasz. Rozumiesz. Weź, włóż coś starszego, mniej eleganckiego. Ci ludzie tam spotykają się z biedą, muszą pomagać. A jeśli przyjedziesz tak, jak z żurnalu, wtedy nie będziesz przekonująca, rozumiesz, mamó?

Helena skakała wokół niej. Chodziło o parę tysięcy. No, o dwa tysiące z czymś. Dlatego musi odegrać jakąś biedaczkę. Przecież to logiczne.

– I proszę cię, musisz iść z obiema kulami, w żadnym wypadku tylko z jedną. Bo tam jest jasne, że potrzebujesz pomocy, że jej potrzebowałaś. Musisz być sprytna, przecież umiesz to zrobić. Tyle ról odegrałaś, żebyś teraz nie poradziła sobie z tą małą rólką...?

Stara była cicho. Argumenty córki są dokładne, ale nie są słuszne. Są pretensjonalne, chodzi o pieniądze. W komisji są lekarze i pracownicy pomocy społecznej. Prawdopodobnie. Kto z nich zdołałby ją rozpoznać, byłą aktorkę, i zdołałaby mu współczuć, nawet kpina albo szacunek

z powodu jej osiągnięć, kto wie. Albo przejrzałby jej grę. Być może posądziłby ją, że gra, powiedziała, że ci aktorzy nie potrafią nic innego oprócz grania. Tak się może zdarzyć. A może nie będzie nic. Przez te cztery miesiące niejedno się wyjaśniło. Córka Helena, wnuk Vid i inni.

– A kto od ciebie wymaga czegoś specjalnego. Patrz, ubierz się jakoś trochę skromniej, przecież sama powiedziałaś, że biżuteria na starych kobiecych rękach wygląda niesmacznie, dziwnie, powiedziałaś nawet, że perwersyjnie. Weź, zdejmij ten pierścionek i łańcuszek. Tego chyba ci nie trzeba tłumaczyć... to nie byłoby całkiem mądre... (...)

Tłumaczenie/Prevod: Tomasz Łukaszewicz

(...) Starsza pani Draga zdjęła pierścionek, zdjęła naszyjnik, wrzuciła go do kieszeni i wytrwale siedziała w fotelu, aż przyjedzie taksówka. Helena autem nie pojedzie, Vid też nie. Tam nie ma gdzie zaparkować. Nie przebierze się. Nie. Minie trochę czasu i ruszą. Na jej twarzy malował się upór, taki wyraz twarzy przyjmowała wobec Heleny, kiedy jeszcze była dzieckiem. Nic nie odpowiadać, tylko czekać. Czas mija, upór zwycięża. Nic się nie zmieni, jeśli nic nie powie, jeśli nie zaprotestuje, lecz poczeka. Taksówka przyjechała i będzie trzeba iść. Bez słów. Ona jest kimś, ona była aktorką, ona nie może się poniżyć, aby chodzić wokół niby jakaś żebrząca. Teraz idzie po jej pieniądze, po dwa tysiące z kawałkiem. Nic więcej. Tyle płaciła Sonii, by jej ciało na nowo zwrócić duszy. Albo na odwrót, teraz to nieważne.

Taksówkarz przyszedł. Zgodnie z oczekiwaniami był uprzejmy. Pomógł jej wsiąść do auta, dżentelmen. Czowała jego silne ciało, było jej oparciem przez chwilę, tylko przez chwilę. Ten mężczyzna pachniał. Był zadbany. Ogolony, świeżo ogolony, wykąpany mężczyzna. Powiedziała, że to dobry znak na cały dzień. Helena również czuje tę świeżość i stosowną ilość kolońskiej wody po goleniu. Musi to czuć. Auto również miał nienagannie czyste.

Ludzie w budynku ubezpieczalni śpieszyli we wszystkich kierunkach. Portier wyglądał jak portier z jakiegoś hotelu. W liberii. Sługa. Prawdziwy klaun przy wejściu. Potem winda. Przy sobie miała kule, dzięki nim szło się lżej. Na wszystkich czterech, pomyślała, jakby była zwierzęciem. Nawet jeśli jej ciało, jej osioł, niósł dobrze. Ani trochę. Po tak strasznym złamaniu biodra i miednicy znów była na swoich nogach, na swoich niegdyś tak pięknych

nogach, że reżyserzy chętnie wystawiali je na spojrzenia widzów. Albo na scenie, albo przed kamerą.

Usiedli blisko drzwi. Trzeba będzie trochę poczekać. Korytarz pełen był ludzi z kulami, część z nich było na wózkach, niektórzy z pewnością byli niewidomi, wszyscy mieli podpórę, wszyscy mieli towarzystwo i rozruszniki. Z wszystkich szpitali miasta i kraju stawili się przed komisją. Może to całość, o ile jest więcej komisji, jakie badają te kaleki, pomyślała. Tyłu ich jest. Każdemu coś dają. Patrzą na każdego, patrzą na jego papiery. Badają go. Kto ma uzasadnienie, kto jest naprawdę ubogi, bezsilny. Towarzystwo mu przyzna. Komisja reprezentuje to towarzystwo. Ta komisja da na kontynuację leczenia, na inwalidzką, na sanatorium, na dodatkową terapię, na leczenie za granicą. Ta komisja jest od wszystkiego. Jednak patrząc na liczbę kalekich, pomyślała, że dużo dać nie mogą.

Siedzieli i czekali. Wzywano ludzi i tworzyły się całe procesje, całe przedstawienia, pomyślała aktorka Draga, tak że widziało się, widziało się dokładnie, jak wszyscy jesteśmy ubodzy, bezsilni, okaleczeni, pokrzywdzeni. No, pomyślała, wszyscy grają i wszystko podobne jest do kręcenia jakiegoś starego partyzanckiego filmu; scena ze zranionym – okrucieństwo losu i okupanta, litość dla ubogich, pokrzywdzonych w walce z życiem – wszystko to odbija się w tej majestatycznej scenie.

Dotknęła pierścionek i naszyjnik w kieszeni starego zakietu, którego nie znosiła. Ubrana była w jakiś wytarty płaszcz, który przyniosła jej Helena. Ukradkiem założyła pierścionek. I naszyjnik. Z namaszczeniem. Ukrywała te czynności przed córką. Chociaż pierścionek i naszyjnik. Inaczej niż ci zmyśleni chorzy i biedni. Przed nimi było ich bardzo wielu. To była sala przesłuchań numer trzy, do środka wchodziłi zupełnie ślepi, zupełnie zdezorientowani, trzęsąc się, wwozili ich do środka, odchodzili ponurzy w strachu i manifestacji swojego ubóstwa. Przygotowanie opłacało się, a nie mieli odwagi uczestniczyć w postępowaniu. Kto jest w radzie, w komisji? Lekarz ubezpieczalni, lekarz szpitalny, pełnomocnik i oczywiście cywilny obserwator. Człowiek z narodu, który również pomaga zdecydować, potwierdza opinie lekarzy. Obywatel, który chroni interes obywateli przed chciwą ubezpieczalnią i surowym ministerstwem, obywatel, który rozumie biedę inwalidy.

– Mamo, uda ci się, musisz do środka sama, nie...

Będzie ciężko. Jeszcze nie występowała przed taką publicznością. Mając osiemdziesiąt sześć lat, jeszcze nie stała przed taką komisją. Niby casting, czy jesteś gotów być inwalidą, czy brakuje ci jakiejś kończyny, czy zawodzi cię kręgosłup, czy jesteś już niemal na czworakach, czy cierpisz piekielne katusze, bo musisz żyć, czy widzisz jakieś ufoludki, czy boisz się ich, czy nie jesteś już świadom swego życia, czy jesteś jeszcze kapitanem łodzi podwodnej czy czegoś podobnego. Wiadomo, że casting trzeba usprawiedliwić. Tym, że dają ci jakieś dwa tysiące, no, dwa tysiące z kawałkiem.

W końcu ją wezwali. Sala przesłuchań numer trzy. Jest wzywana. Pani Draga dźwignęła się, jakby wzywali ją na scenę, do środka, przed publikę, jakby wzywał ją inspicjent. Wstała, zrzuciła z ciała swój sfatygowany płaszcz, pozwoliła, aby zsunął się z ciała, jak zsuwa się woalka z ramion królowej, która idzie do króla, jak decyzja dziewicy, by tym razem pójść z wybranym mężczyzną na całość, jak płaszcz Dziewicy Orleańskiej, by położyć głowę na pień, by szyja była naga, która chce swoje ciało na wskroś oczyścić. Puściła kule, tak jakby nagle napelniła ją boża łaska, tak jakby ponownie zaczęła chodzić, tak jakby zdarzył się cud. Wolnymi dłońmi poprawiła włosy, jakby widziała się w lustrze, ściągnęła usta, jakby właśnie użyła szminki, aby równo się rozłożyła, zadarła głowę i spojrzała z wyższością na tych ludzi, wyraźnie podkreśliła swój profil i ruszyła przed jury, no, przed komisję.

Oczekiwała prawdziwej sali, prawdziwej komisji, a tam było trzech facetów, dwóch w białych fartuchach, wśród sterty papierów, w zwykłym biurze, i jeszcze jeden niezainteresowany niczym facet w poplamionym tłuszczem i zbyt wielkim swetrze.

Widocznie człowiek ze społeczeństwa. Lub pracownik socjalny. Poplamiony tłuszczem, w większości brudny. O dwulicowym spojrzeniu. Prawdziwy, też prawdziwy, pomyślała.

Wszyscy trzej wiedzieli, kogo mają przed sobą. Jej dossier zdrowotne było na stole. Coś kartkowali i spoglądali na siebie, jeden i drugi raz ktoś na nią spojrzął, tylko to, potem coś szeptali. Wszystko szło zbyt szybko, tak że nie mogła sprawdzić, jakie zrobiła wrażenie. Siedziała przed nimi na krześle, wyprostowała się, kolana złączyła razem i delikatnie odgięła je w prawą stronę, w przeciwną niż resztę ciała. Tak się uwodzi, pomyślała, tak pokazuje się nogi i kolana, niech dadzą jakiś tysiąc, no, dwa z kawałkiem. Jeśli chcą. Jeśli zechcecie, panowie.

– Dobrze się pani czuje?

– Dobrze? Oczywiście. Dobrze się czuję.

O co pyta ten biedak? Co jest dobrze? Pyta ją o duszę czy o osła, który ją nosi? O czym myśli ten lekarz? Albo jest z ministerstwa albo z ubezpieczalni.

– Ładnie pani zdrowieje.

– Ćwiczyłam.

– Bardzo mądrze, proszę pani. Tak trzeba, proszę pani.

– Upadek był niezwykle poważny, prawda, proszę pani?

Oczywiście, lekarski imbecylu, inaczej nie pękłaby i miednica, i biodro.

– A teraz, proszę pani, jak jest teraz?

– Dobrze, panie doktorze, nawet dobrze. Domyślam się, że pańskie pytanie to nie tylko przejmność?

Obaj lekarze zaśmiali się, obywatel nie zrozumiał. Gapił się w papier przed sobą. Z pewnością czuje się ponad tymi wszystkimi kalekami, których interesy reprezentuje w tym jury, no, w komisji. Niemal bez uzasadnienia. Odbiera honorarium, pomyślała aktorka Draga.

– Dziękuję pani, to będzie wszystko, proszę pani.

Wstała dostojnie, pokazała, że na starość wciąż ma bardzo piękne nogi, że nie kuleje, nie jest kaleką, nie jest okaleczona, aż chciałoby się rzec: ma kobiecą duszę. Nigdy nie potrzebowała męskiej litości, żeby im było z nią dobrze, żeby zwracali na nią uwagę, żeby z nią żyli. Nigdy.

Odmaszerowała na zewnątrz, jak tylko dało się dostojnie. Ta komisja, to jury, zabawia się nimi. Albo mówiąc inaczej: niech innym razem zabawi się nią, tak jak zabawia się innymi pacjentami.

Na zewnątrz, na lśniącym chodniku, przez chwilę uchwyciła rozgniewaną twarz swojej córki Heleny. Tylko przez chwilę. Po niej przed komisję musiała stawić się i ona. I co im może powiedzieć? Cokolwiek im nie powie, będzie to głupota, pomyślała aktorka Draga. Głupota. Wtopi się, tak to się chyba mówi. Zważywszy na przedstawienie, jakie wykonała, wszystkie słowa są niepotrzebne.

Kiedy z wnętrza senackiej sali wyszła Helena, ze zwykłego niestarannego biura trzech dziadków, w pełnym nieładzie, ze sfatygowanymi stołami ubezpieczalni, była zła i poniżona. Trzej dziadkowie popatrzyli na nią i protekcjonalnie się uśmiechali. Za jakiś tysiąc. No, za dwa tysiące z kawałkiem.

Helena ze zdenerwowaniem pomagała jej założyć płaszcz, stary, wytarty płaszcz, ze złości była trochę gwałtowna, trochę trudno było się jej powstrzymać. Ale musiała wytrzymać, wiadomo, że musiała wytrzymać. Musiała wytrzymać do końca. Czy dostanie się te dwa tysiące, no, dwa tysiące z kawałkiem, czy się ich nie dostanie. Przedstawienie w pewien sposób skończone, już zmierza ku końcowi. I jeszcze trochę zadowolenia ta gra proponuje w epilogu. Kawałek.

Tłumaczenie/Prevod: Jakub Kupracz

**KOMENTARZE TRANSLATORSKIE
PREVAJALSKI KOMENTARJI**

**PROZA SŁOWEŃSKA
SLOVENSKA PROZA**

Dušan Merc

**Tłumacze
Prevajalci**

Tomasz Łukaszewicz

Jakub Kupracz

Alicja Wiśniewska

Tomasz Łukaszewicz

Uniwersytet Gdański

Opowiadanie Dušana Merca *Dva tisoč in nekaj* zatytułowałem w polskim przekładzie „Dwa tysiące z czymś”. Mówiąc o kwocie pieniędzy przekraczającej dwa tysiące, można użyć w języku polskim kilku określeń. „Dwa tysiące z hakiem”, „dwa tysiące z kawałkiem” – być może tak powiedzielibyśmy po polsku. Jednak to „coś” w tytule opowiadania Merca okazuje się być niezwykle ważne, o czym przekonujemy się przeczytaniu całości. Predstava je nekako končana, gre h koncu. Nekaj užitka pa vendarle še nudi tudi igra v epilogu. Nekaj. – to zdania, które kończą opowiadanie Merca. To „coś” przewija się przez całe opowiadania, tworzy pewną elipsę.

Jak się okazuje, nie tylko tytuł opowiadania jest ważny. Dušan Merc nadał też znaczące imię głównej bohaterce. Draga – znaczy „droga” („moja droga”). Według danych Urzędu Statystycznego Republiki Słowenii (www.stat.si) imię takie nosi 0,1 % kobiet w Słowenii. Nie jest więc zbyt popularne, gdyż pośród wszystkich imion żeńskich znajduje się na 240. miejscu. W Polsce takie imię nie występuje. Zastanawiałem się nad zastąpieniem imienia Draga polskim ekwiwalentem. Przyszło mi na myśl imię „Miłka”. Draga, Dranica zwracają się do starszej pani pielęgniarki w szpitalu. „Miła”, „Miłka” – to imię mogłoby z powodzeniem zastąpić imię użyte w oryginale. Jednak odradził mi to sam autor, który zdradził, iż bohaterka opowiadania to postać autentyczna, słoweńska aktorka. Tylko wtajemniczeni są w stanie odkryć ten niuans, ale zamiana imienia *Dragi* mogłoby pozbawić tej szansy nawet ich. Odkrycie to utwierdziło mnie w przekonaniu, że warto zachowywać oryginalne imiona w przekładzie z języków słowiańskich, wszak nie brzmią one dla polskiego czytelnika egzotycznie, nie mają prawa razić, a zawsze jest szansa, że i polski czytelnik odkryje związek imienia z tym, co chciał przekazać autor.

I jeszcze jedna kwestia wymagała chwili zastanowienia w procesie przekładu opowiadania *Dva tisoč in nekaj*. Protekcyjny styl wypowiedzi pielęgniarek do leżącej w szpitalu bohaterki. *Dajmo, gospa, dajmo, dajmo, mamka, dajmo, kaj je zdaj to, ste bili, pa pridni, Dragica* itd. Dosłowne przetłumaczenie całej wypowiedzi słowo po słowie przyniosłoby niepożądany efekt sztuczności. Pozwoliłem sobie tu na kilka zmian w szyku, zastąpienie zawołania *dajmo* polskim „no, dalej”, „raz dwa”, tak aby całość brzmiała lekko lekceważąco, tak jak mogłoby się zwracać pracownicy służby zdrowia do zdziwionej staruszki.

Spory kłopot sprawiło określenie, którego autor użył do opisania wnuka bohaterki, młodszego pokolenia: *posebna zalega*. „Wyląg”, „pomiot” – te słowa wydają się być najbliższe znaczeniowo słowu „zalega”, jednak mogłoby być zbyt mocne. Po długich namysłach i konsultacjach z autorem, wybraliśmy frazem „diabelskie nasienie” – pejoratywne określenie, jakiego mogłaby użyć starsza osoba względem młodszego pokolenia, które nie hołduje starym dobrym wartościom i obyczajom.

POEZJA CZESKA ČEŠKA POEZIJA

Bogdan Trojak

**Tłumacze
Prevajalci**

Agnieszka Baran

Szymon Brandys

Wanda Wojciechowska

Bogdan Trojak *Bohu-míl*

Z książki/Iz knjige: *Kuním štětcem* (Brno: Host 1996).

Z portálového jeřábu padá anděl
a láska s briketou v dlani
přikládá do nejvyšší pece srdce.

Měsíc nešťastný platněř
dřepící s bílou růží v třtinách u Odry,
roní stříbrné nýty na struny noci.

Stojíš sám na mostě. Mrzne.
Posloucháš, jak se zadržává ozdubí proudu,
zatímco v tobě bublají
sířičité spodní vody pochyb.

A jako by tě ten s kopýtkem píchal do srdca
křivým štěpařským nožem.

Bogdan Trojak *Bohu-mil*

Z książki/Iz knjige: *Kuním štětcem* (Brno: Host 1996).

Spada anioł z suwnicy
a miłość z brykietem w dłoni
dokłada do największego pieca serce.

Księżyc, nieszczęśliwy płatnerz
przycajony z białą różą w trzcinach nad Odrą,
roni srebrne nity na struny nocy.

Stoisz sam na moście. Mroźno.
Słyszysz, jak się zacina zębata prądu,
podczas gdy w tobie bulgoczą
siarczane podskórne wody wątpliwości.

I tak jakby cię ten z kopytkiem kłut w serce
krzywym sadowniczym nożem.

Tłumaczenie/Prevod: Wanda Wojciechowska

Bogdan Trojak Čáry

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

V polích je bezvětří. Na nohy se mi lepí hroudy. Jdu dál. V měsíci stařena plete koš. Vrzavý pes se k němu pokouší vymrštít na měděné pružině vytí. V dálce jsem zaslechl řehtačku půlnoci – zas obchází vesnici se svými němými kumpány. S námahou zvedám nohy a klopýtám.

Zastavím se až u potoka, neboť k tomu, aby se kouzlo povedlo, potřebuji vrbový proutek, račí klepeto a požehnání stoletého mloka...

Bogdan Trojak Czary

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Na polach jest bezwietrznie. Do nóg kleją mi się grudy.
Idę dalej. W księżycu staruszka wypłata kosz. Skrzypiący
pies próbuje do niego podskoczyć na miedzianej
sprężynie wycia. W dali usłyszałem kołatkę
północy znów obchodzi wieś ze swoimi
niemymi kompanami. Z trudem stawiam nogi
i potykam się.

Zatrzymuję się dopiero przy potoku, bowiem do tego, aby
czary się udały, potrzebuję witki wierzbowej,
szczypiec raka i błogosławieństwa stuletniej salamandry...

Tłumaczenie/Prevod: Wanda Wojciechowska

Bogdan Trojak *Bez názvu*

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Nedávno jsem kdesi četl, že v krvinkách ženy
plavou tělíška podobná paličkám na buben!

Jako bych to nevěděl!

Kdykoliv se tě dotýkám, mám pocit, jako by
v každé tvé buňce tlouklo do jejího jádra sto
tisíc drobných paliček...

Rezonuji skrytým bubnováním.
Jsem tvá ozvučnice.

Bogdan Trojak *Bez nazwy*

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Niedawno gdzieś czytałem, że w kobiecych krwinkach
pływają ciała podobne do perkusyjnych pałeczek

Jakbym tego nie wiedział!

Kiedykolwiek cię dotykam, czuję, jakby
w każdej twojej komórce w jej jądro biło sto
tysięcy malutkich pałeczek...

Współbrzmie ukrytym dudnieniem
Jestem twym echem..

Tłumaczenie/Prevod: Szymon Brandys

Bogdan Trojak *Bez tytułu*

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Niedawno gdzieś czytałem, że w krwinkach
Kobiety pływają ciała podobne do pałeczek perkusyjnych

Jakbym tego nie wiedział!

Kiedykolwiek Cię dotykam, czuję jakby
W jądro każdej komórki uderzało
Tysiące drobnutkich pałeczek

Rezonują skrytym bębnieniem
Jestem twoją membraną

Tłumaczenie/Prevod: Agnieszka Baran

Bogdan Trojak *Sen*

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Bílá věžka uprostřed švestkového
sadu někde v horském kraji, veliké
modré plody padají do trávy
zubrovky.

Je ticho – ozývají se jen častá
žuchnutí. Šlapu bos po vrstvě
měkkých, lepkavých švestek směrem
k věži, nahoře věžky rozsvícené
okno. Stoupám po točitém
schodišti, vcházím do prostorné,
kulaté místnosti, kde jsi ty a sbíráš
ze stolů lampy. Máš plnou náruč
svítidel! (Kolik máš rukou?)
Přistupuji k tobě, hladím veliké,
horké žárovky z mléčného skla –
vůbec mě nepálí.

Ty se šťastně usmíváš...

Bogdan Trojak Sen

Z książki/Iz knjige *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Biała wieżyczka w środku śliwkowego
sadu gdzieś w górskiej krainie, wielkie
modre owoce spadają do trawy
żubrówki.

Jest cicho - słycać tylko częste
trzaski. Stąpam boso po warstwie
miękkich, lepkich śliwek w kierunku
wieży, na jej szczycie oświetlone
okno. Krocę po krętych
schodach, wchodzę do przestronnej,
kulistej izby, w której jesteś ty i zbierasz
ze stołu lampy. Masz pełne naręcze
świateł! (Ile masz rąk?)
Podchodzę do ciebie, głaszczę wielkie,
gorące żarówki z mlecznego szkła -
wcale mnie nie palą.

Ty się szczęśliwie uśmiechasz...

Tłumaczenie/Prevod: Szymon Brandys

Bogdan Trojak *Let*
(*Capriccioso*)

Z knižky/Iz knjige *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Na lištách padajících hvězd
Zkusím se v noci na zem snést
A přitom volat: Básník lítá!

Tu Penelopy ze všech Ithak
Pozapomenou na manžely
A šarlat protká dórská líce

Je den. Se mnou se povznášely.
K nebi ční drátky z jejích klíček.

Bogdan Trojak Lot

(Capriccioso)

Z książki/Iz knjige: *Jezernice* (Brno: Větrné mlýny i Host 2001).

Po szynach spadających gwiazd
Na ziemię nocny zrobię zjazd
Głosząc: Poety przelot wielki!

Tu Penelopy Itak wszelkich
Zapomną małżonków byłych
Przetkają dorycką twarz szkarłaty

Jest dzień. Ze mną się w niebo powznosiły
Sterczące druty krat ich klatek

Tłumaczenie/Prevod: Agnieszka Baran

KOMENTARZE TRANSLATORSKIE PREVAJALSKI KOMENTARJI

POEZJA CZESKA
ČEŠKA POEZIJA

Bogdan Trojak

**Tłumacze
Prevajalci**

Agnieszka Baran

Szymon Brandys

Wanda Wojciechowska

Wanda Wojciechowska

Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Tłumaczenie tekstów poetyckich zawsze następuje wiele trudności. Nie wystarczy znaleźć równoważniki słów; trzeba wczuć się w nastrój poety i zrozumieć, co chciał on pod słowami ukryć, a co obnażyć, by następnie zaszyfrować to lub wyeksponować w docelowym języku.

Bogdan Trojak w swoich wierszach buduje nastrój specyficznymi wyrazami. W utworze „Bohu-min” scenerię uczucia stanowi przemysłowe miasto. Zatem i słownictwo techniczne: „suwnica”, „wielki piec”, „zębatka”, „płatnerz” – i „anioł”, „księżyc”, „róża” i „złamane serce” na końcu znajdują wspólny mianownik: piekło. Niełatwo było znaleźć odpowiedniki technicznych urządzeń, które w końcu doprowadzą do diabelskich mąk.

Czary dzieją się rzeczywiście w niesamowity sposób. Staruszka plecie kosz *v měsíci*; no właśnie, „w miesiącu” czy „w księżycu”? A *řehlačka*, „grzechotka”, kojarzy nam się z dziecięcą zabawką – chyba nie o to chodzi w potężnych czarach. Czech *zvedá nohy* (dosł. „podnosi nogi”), Polak „stawia kroki”... I nie sposób przełożyć zgrabne klopýtám za pomocą jednego wyrazu – musiałam użyć czasownika zwrotnego „potykam się”. Jednak mam nadzieję, że nastrój udało się przełożyć – trzymam za to kciuki i pukam w niemalowane drewno.

Szymon Brandys

Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Wybrane dwa wiersze Bogdana Trojaka dają tłumaczowi okazję do translatorskiej gry z obrazem, dźwiękiem, rytmem. Na pozór łatwa i jasna w odbiorze poezja, każe jednak – jak każda dobra twórczość – przyjąć postawę pokory wobec zagadek słownych. Już w pierwszej zwrotce pojawia się problem: *tělíska podobná paličkám na buben*. Polska nazwa „pałeczki perkusyjne” (*paličky na buben*) nie oddaje dobrze rytmicznego uroku czeskiego słowa. *Buben* to niemalże onomatopeja – krótki, dwusylabowy wyraz ma w sobie siłę uderzenia, bicia pałkami w bęben. Można by wykorzystać polski ekwiwalent „bęben”, ale w codziennym użyciu nie istnieje zwrot „pałeczki/pałki bębnowe” czy np. „do grania na bębnie”. Z niedosytem trzeba więc dla jasności obrazu poetyckiego pozostawić pierwszy przekład. Idąc tym samym tropem, tłumacz napotyka na wyraz *buňka* – „komórka”. W języku czeskim w kontekście całego wiersza można łatwo utworzyć swoistą paralelę pomiędzy dwoma słowami i ich rytmicznym oddziaływaniem (oraz konotacjami) – *buben* – *buňka*. W języku polskim niestety między „perkusją/bębniem” a „komórką” zionie ogromna przepaść. Nie lada zagadką translatorską jest ostatni wers wiersza. Pojawia się tutaj poetycko brzmiące czeskie słowo *ozvučnice*, czyli „rezonator”, który budzi w czytelniku skojarzenia z terminologią techniczną i w żaden sposób nie nadaje się na puentę wiersza. Dlatego też wybrałem inną możliwość – „echo”. Dzięki temu słowu zostaje zachowany sens wiersza i podtrzymana jego metaforyka, tym samym pozwala uwolnić się od twardego, niepoetyckiego „rezonatora”.

Agnieszka Baran

Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Oba teksty Bogdana Trojaka zainspirowały mnie kilka lat temu, wtedy też powstały ich przekłady², do których co jakiś czas wracałam, a co pozwalało mi odkrywać oba wiersze na nowo.

Wiersz „Lot” stawiał przed tłumaczem dwa zasadnicze wyzwania. Pierwsze z nich to bezsprzecznie rytmizacja i rymy. Dokonując po raz pierwszy tłumaczenia tego tekstu, za cel obrałam sobie zachowanie strony formalnej, szczególnie ze względu na dopisek *capriccioso* – *kaprys*, który znajduje się pod tytułem. Dopisek taki mają liczne utwory muzyczne, zatem ocalenie, w miarę możliwości, rytmizacji i muzyczności tekstu wydało mi się szczególnie istotne. Osiągnięcie tego celu wymagało kilku kompromisów, na przykład w ostatnim wersie pierwszej strofy został mocno podniesiony rejestr (któż lecąc za spadającą gwiazdą, krzyczałby „poety przelot wielki”?) a przez to zatracą się naturalny, potoczny styl i śpiewny charakter tego wersu. Penelopy ze strofy drugiej zapominają „byłych małżonków”, a przymiotnik „były” zrywa z mitologicznym wizerunkiem Penelopy jako wiernej żony. W tłumaczeniu Penelopy nie dość, że zapominają małżonków – zapominają małżonków, od których kiedyś odeszły.

Drugim wyzwaniem był dobór słownictwa: *čnǐ drátky*, *dórská líce* i w końcu najtwardszy orzech do zgryzienia – *lišty*. Ostatni zwrot jest bowiem dość pojemnym pojęciem specjalistycznym, oznaczającym „listwę”, „profil”, „cokół”, „szynę”, „wspornik”, „prowadnicę”, „szpagę”, „ustęp” lub „gzymś”. Obraz poety zjeżdżającego za spadającą gwiazdą „po listwie” lub „na listwie” byłby prawdopodobnie równie zaskakujący jak w czeskim oryginale, jednak pozostawienie tłumaczenia dosłownego mogłoby wywołać efekt zbyt komiczny. Interpretacyjnie najbardziej kuszącym odpowiednikiem była „prowadnica”, to znaczy taki element, który kieruje ruch innego elementu po ściśle określonym torze. Spadający, czy też zstępujący z nieba poeta musiałby być więc prowadzony przez gwiazdę. Ponadto taki obraz poetycki wywołuje skojarzenia z ogonem komenty. Niestety, „prowadnicy” nie udało się dostosować do wersu pod względem rytmicznym. Z szeregu znaczeń słowa *lišta* wybrałam w końcu szynę, która, co prawda dodaje skojarzenia związane z koleją, jednak zachowują i techniczny charakter tego słowa (pełni taką samą funkcję jak *prowadnica*) i walory dźwiękowe (szeleszczące „sz”, obecne również w oryginale).

Z podobnym problemem translatorskim spotkałam się w drugim tekście – „Bez tytułu”. Pozornie nieskomplikowany, potoczny styl kryje kilka karkołomnych terminów techniczno-medycznych. Tworzące pointę słowo *ozvučnice* – „rezonator”, „ekran akustyczny”, „membrana” wydawało się być nieprzetłumaczalne. Ostatecznie zdecydowałam się na „membranę”, choć z pełną świadomością faktu, że znaczenie rdzenia słowa *ozvučnice* – *zvuk*, czyli „dźwięk”, zostaje kompletnie zatracone. „Membrana” wpisuje się w metaforę bębna i pałeczek perkusyjnych (pałeczki dodają w polskim kontekście skojarzenia biologiczno-epidemiologiczne), niektórym czytelnikom słowo to może się również skojarzyć z konstrukcją głośnika, a ponadto zachowuje rodzaj gramatyczny czeskiej *ozvučnicy*, co wydało mi się o tyle istotne, że podmiotem lirycznym jest mężczyzna, który nazywa się w poencie rzeczownikiem w rodzaju żeńskim.

Oba tłumaczenia prezentuję z pełną świadomością tego, że nie jest to dzieło skończone. Zdaję sobie też sprawę, że kompromisy translatorskie, na jakie musiałam się zdecydować, nie dadzą mi spokoju i każą mi wracać do tekstów jeszcze wiele razy.

² Wcześniejsze wersje tłumaczeń zostały przeze mnie opublikowane w czasopiśmie komparatystycznym „Bez porównania”, nr 4., 2006.

PROZA CZESKA ČEŠKA PROZA

Juan Zamora

**Tłumacze
Prevajalci**

Joanna Brodniewicz

Marta Grubka

Zuzanna Rusnok

Piotr Szałaśny

Ewa Wieder

Hanna Witkowska

Juan Zamora *Zelená gorila*

Z książki/Iz knjige: *Zločin v zemi pyramid* (Plzeň: Nava, 2008).

Sympaticky vyhlížející pětadvacetiletý Milan se pozorně rozhlédl po venkovních stolech Zelené gorily, až konečně u jednoho ze stolu spatřil tři důvěrně známé tváře.

Zamířil k jejich stolu, posadil se a řekl: „Ahoj.“

„Ahoj,“ řekla Lucka.

„Ahoj,“ přidal se Lumír.

„Ahoj,“ pozdravila Marta.

„Jste tu dlouho?“ zeptal se. Původně měl dorazit s nimi, ale přestože byla sobota, musel zcela nečekaně kvůli nějakým komplikacím do práce.

„Chvíli,“ odpověděla Marta.

O té chvíli ostatně mohl svědčit popelník, ve kterém byly teprve tři nedopalky, nebo poměrně velké množství piva v plastových kelímcích, korunu za jeden.

V Zelené gorile se totiž pivo do skleněných püllitrů jako v jiných hospodách nenalévalo. V Zelené gorile ani nebylo zvykem, že by se u vašeho stolu objevil přátelsky vypadající chlapík

a zeptal se: „Co si dáte?“ V Zelené gorile se chodilo k baru, museli jste počítat s tím, že vás možná někdo předběhne a pak vám jeden z dvojice výčepních tykne a zeptá se: „Co chceš?“

Zelená gorila byla sice v obchodním rejstříku i na svých pěkně udělaných internetových stránkách označena jako rocková hospoda, což nezní nijak špatně, ale daleko lépe by se pro ni hodilo označení pajzl. Nehrály tu jen neznámé rockové skupiny, občas jste sem mohli zajít i na koncert úplně jiného žánru a tu a tam v „Gorile“ vystupovala i zahraniční kapela, ale rozhodně by nebylo rozumné jít sem s malým dítětem. Zelená gorila byl pajzl. Pražský pajzl nedaleko libeňského nádraží, ve kterém už policie udělala šťáru, aby se den nato ve zpravodajství objevily informace o velkém množství podnapilých mladistvých. Milan a jeho tři přátelé tu byli koneckonců jedni z nejstarších. Tady se občanský průkaz při objednávání piva či tvrdého alkoholu rozhodně nevyžadoval.

Na každý koncert přišlo také pár diváku, které kdyby většina lidí potkala na ulici, asi by dostala strach. Zahlédnout vyholeného týpka, jak svému psovi – ano, někdy se tu objevili i čtyřnozí miláčkové – nabízí trochu svého piva nebo ho alespoň vidět opile se klátit u stolního fotbalu také nebylo nic překvapujícího. A vlastně přirozenou součástí Zelené gorily bylo zapálit si marihuanu – ať už doma pěstovanou, či kupovanou obvykle za dvě stě padesát korun za gram - případně její vůni alespoň cítit u některého z vedlejších stolů. Ale aby si u stolu ani jeden člověk nezapálil cigaretu, to ne. Upřímně řečeno, v Zelené gorile kouřili skoro všichni.

Milan nekouřil cigarety ani nehulil marihuanu. Nebyl ani žádný těžký alkoholik. Rozhodně ale neměl v úmyslu zůstat na suchu, takže jakmile prohodil několik málo slov s Luckou, Lumírem a Martou, zamířil dovnitř.

Dokud bylo venku volno, stoly vevnitř nebyly příliš narvané. A koncert měl začínat teprve za necelou půlhodinku.

Na baru naštěstí stál jen jeden pochybně vyhlížející mládenec, takže chlapík za pultem Milana hned obsloužil.

Tehdy si Milan poprvé všiml člověka, o kterém bude ještě zmínka, jak vychází ze záchodů. Mohlo mu být takových dvacet – možná méně, možná víc, jeho tvář ale rozhodně nepůsobila dojmem člověka, který nemá zkušenosti s drogami. Podle Milanova skromného, nijak odborného názoru ten kluk ujížděl na perníku. Jenže Milan nebyl z Drop Inu nebo jiné

podobné organizace, byl tu jenom s přáním strávit příjemný večer na snad příjemném koncertě. A že se v této rockové hospodě občas objevil někdo, kdo se nespokojil jen s jointy, také patřilo ke „Gorile“.

Hospodskému, pokud se dá vůbec takové označení použít, poděkoval za podaný plastový kelímek s točenou desítkou a vydal se zpátky ven.

Slečny kouřily další cigaretu, Lumír právě uklízel mobilní telefon.

Milan upil piva, chtěl svoji společnost dohnat a pak položil otázku: „Co dneska vlastně hrajou?“

Na webové stránky se nestihnul podívat a ani se dřív nestačili domluvit.

„Nějaký rockový skupiny,“ řekla Lucka a típla svoji dnes již tak desátou cigaretu značky Lucky Strike. Lucka, co kouří lucky.

Příjemně si povídali a z kelímku popíjeli.

Pili druhé pivo, na podiu už se přes čtvrt hodinu připravovala skupina čtyř mladých mužů, koncert měl začít před čtyřmi minutami, když dva z nich seskočili a zamířili ke stolům. Jednoho návštěvníka po druhém obcházeli, jeden z nich s hnědým fixem v ruce, zaplatit osmdesát korun a hosté dostali dvojnásobnou odměnu. Čáru někde na ruce. Čáru, která ale byla zároveň vstupenkou na dnes zpívající kapely. Obvykle se – podobně jako na diskotékách nebo třeba na různých festivalech jako Mezi ploty – dávaly na ruku náramky, ale takovou „vymoženost“ pro dnešek asi neměli...

Zřejmě se ale čárání fixem nelíbilo jednomu muži. Seděl u stolu s partou mládeže a vypadalo to, že k ní nepatří, že se jen vnutil a sednul si k nim.

Mladík z rockové skupiny si od něj vzal peníze a jako už tolika lidem před ním – mezi nimi i Lucce, Martě, Milanovi a Lumírovi – udělal malou čárku na ruku.

Platícímu se to ale nelíbilo, vstal a zařval: „Co otravuješ?“

Nebylo to zas tak daleko od stolu, kde seděl Milan. Zahleděl se ke stolu a zahleděli se k němu i jeho tři spolu-pivo-pijící.

„Toho už sem viděl,“ poznamenal.

„Jo?“ ozvala se Marta.

„Jo,“ a pověděl jim o svých názorech na něj a na pervitin.

„To je možný,“ poznamenala Lucka.

„Nějaká zkušená,“ rýpl si Lumír.

Muž, kterému možná bylo dvacet, a možná měl zkušenosti s pervitinem, se posadil. Vypadalo to, že se zklidnil.

„Jo, je to možný,“ přidala se Marta.

Už hrála druhá skupina, v Zelené gorile podstatně víc narváno. V popelníku u stolu, kde seděl Lumír, stále více nedopalků, v rohu stolu na sebe naskládány do komínku plastové püllitry, ve kterých bylo ještě nedávno pivo. Bylo by jich dvanáct, ale jedna slečna s dredy asi dvacetiletá, a jak se říká vysmátá, se jich zeptala, jestli si jeden kelímek může vzít. Mohla a bylo jich jedenáct.

„To je dobrý nápad, nemusí platit za další kelímek,“ řekl na to Lumír, když kamsi zmizela.

„No, já radši zaplatím za další,“ řekla Marta. Představa žloutenky nebyla příliš milá.

A tehdy si Milan potřetí všiml toho... toho perníkáře, jak v duchu hádajícího se mládence označoval.

Přišel s püllitrem v pravé ruce a batohem v levé k vedlejšímu stolu, kde seděla partička asi pěti šesti lidí, které hlasitě pozdravil.

„Měl před tím ten batoh?“ podíval se na spolu-pivo-pijící.

„Nevim,“ řekl Lumír.

„Možná,“ přidala se Lucka.

„Nevim,“ nevěděla Marta.

Tak jako tak, mládenec u stolu posedával, dvakrát zaštrachal v batohu, který měl položený na stole, na chvíli odešel – a zase se vrátil.

Když se tak stalo podruhé, Lucka, která přes jisté připomínky Milana a Lumíra kouřila další cigaretu, poznamenala:

„Že by to byl dealer?“

Byla to jen otázka ze zvědavosti. Nic víc.

„Něco v tom batohu má,“ řekla Marta. „Asi nějaký veselý věci.“ Jako veselé věci označovala marihuanu. Ona ani Lucka jí čas od času nepohrdly, a kdyby jí nezapomněla doma v balíčku, který švadleny používaly na knoflíky a snad i policie na důkazní materiál, ubalila by si jednoho jointa pro sebe a jednoho Lucce.

Když měl náhodou někdo z jejich známých nebo přátel námitky, tak mu obvykle řekla něco jako: „Já nejsem nějaká závislačka a je to přece lepší, než kdybych si něco píchala.“

Kelímků bylo na sebe naskládáno patnáct.

Perníkářův batoh položený na stole, sám zase někam odskočil. Milan viděl, jak ke své dočasné společnosti něco šeptá. Asi aby mu batoh pohlídali. Oni jen kývli, mládenec odešel, ale pak se i oni zvedli, piva nechaná na stole, a zamířili k pódiu.

Jak skupina začala hrát, většinou se před podiem – v pogu – hned objevili první lidi a začali sami nebo ve dvou tancovat. Ale jak prohlašovala Lucka, výhodou toho bylo, že na rozdíl od nějaké diskotéky v Karlovkách člověk tancovat neumí.

Marta, Lucka, Milan a Lumír neměli – alespoň prozatím – něco takového v úmyslu.

„Nejuknem se na ten batoh?“ navrhl Lumír.

„Jo,“ řekl Milan.

Jen zvědavost. Nic víc. Navíc, tady si každý všiml sebe a lidí, s kterými byl. Nemuseli se bát, že je někdo uvidí a začne křičet Zloději, páni výčepní by policii stejně ze strachu z kontroly občanských průkazů nevolali.

Zvedl se od stolu a v mžiku byl zpátky s perníkářovým batohem. Položil ho na stůl, otevřel a...

„Do prdele,“ řekla Lucka.

Vypadalo to na psaníčka kokainu, drogu bohatých, jak říkala Marta, a další látky označované za omamné a psychotropní látky. Alespoň si mysleli, že se jim tak říká.

„To je vůl, že to nechal bez dozoru,“ pronesl Lumír.

„To je,“ souhlasil Milan. „Ale to... přece... nemělo by se to vyhodit?“

Přestože si mohli batoh vzít, zajít třeba za Národní třídu a zboží se postupně zbavovat a přestože také mohli zase ruksak vrátit na místo a dělat, že ho nikdy nevyhodili... přesto Marta řekla:

„To asi mělo.“

„Ale tomu klukovi se to asi...“ začal Lumír.

„Půjdem a nějak se domluvíme, co vy na to?“ navrhl Milan.

Na zastávce se shodli, že si Milan nechá batoh prozatím u sebe.

V neděli večer se na Nově v Televizních novinách objevila mimo jiné zpráva o muži bez dokladů, který byl někdy před obědem náhodou nalezen v jednom pražském lese. Zfetovaný mrtvý beze jména. Jestli ho někdo náhodou poznává...

Milan ho poznal okamžitě. Ten kluk z „Gorily“.

Krátce po osmé se všichni čtyři sešli v hospodě nedaleko Milanova bydliště na kus řeči. Milan řekl, že se v celé věci pokusí něco zjistit, že jeden jeho kamarád by mu mohl pomoci zjistit o onom úmrtí něco víc.

„Dobře... a co ten batoh?“ zeptala se věcně Lucka.

„Můžeme ho vyhodit, poslat na policii, prodat ty... ty věci. Ale do prdele,“ najednou vybuchl, „co když umřel kvůli nám? Víte, že ho třeba někdo zabil, protože si nechal čornout ty věci.“

Deset piv a tři panáky fernetu způsobily, že Milan na chodníku nedaleko oblíbené hospody chvíli zvracel a chvíli poležel. Ostuda. Ale nakonec ho Marta, Lucka a Lumír dostali domů.

Milan si při nedělním sledování Novy vzpomněl na svého kamaráda ještě ze základní školy. V pondělí ránu mu pak zavolal.

Milan a Pavel se občas i nadále scházeli. Pavel měl stálou dobře placenou práci, ale melouchařil psaním detektivních povídek, a dokonce napsal také jeden román. Kamarád byl členem nějaké organizace, ve které se sdružovali autoři detektivek... Jak se to jenom jmenuje? ALEP? AIEP? Jo, jasně. AIEP. Asociación Internacional de Escritores Policiacos. Akorát Milan nechápal, proč se to jmenuje španělsky.

Každopádně, tím si byl Milan jistý, kamarád říkal, že je tam i několik autorů, kteří zpracovávají skutečné kriminální případy, a třikrát byl na jejich srazu nějaký policista – jeden snad z protidrogového, další z kriminálky. A jestli ti autoři píšou i o opravdových vraždách... Jistě, nemělo by se to, ale určitě si s některým z nich rozumí a ten dotyčný autor zase může zavolat kamarádům policajtům ohledně toho mrtvého feťáka.

Za pokus to stojí, říkal si Milan, sáhl po téměř vybitém mobilním telefonu (nesmí ho zapomenout dát do nabíječky) a v paměti vyhledal kamarádovo číslo.

„Víš, já vlastně něco potřebuju,“ řekl mu, když si vyříkali, jak se mají.

„Co?“

A tak mu všechno pověděl. Koneckonců, myslel si, píše detektivky, tak kdyby se mu nic nepodařilo zjistit, může to použít jako námět pro nový příběh.

„Dobry,“ řekl melouchařící kamarád. „Obvolám pár lidí a zkusím něco zjistit, ale rozhodně ti nic nezaručuju. Tak za dva dny se ozvu, jak sem dopad.“

Milan už si říkal, že bývalému spolužákovi zavolá, jestli na mrtvého narkomana nezapomněl, když mu zazvonil mobil.

Byl to Pavel.

„Ahoj.“

„No ahoj. Zrovna sem na tebe myslel a říkal si, že se ti musím připomenout.“

„Promiň... já sem to dřív... No, hele, hlavně tě musím poprosit... moch by ses dostat do pěknýho průseru.“

„Nikdo si nemož všimnout, že ten batoh mám já.“

„Vopravdu ne?“

„Ne.“

„Tak to máš štěstí. Ale, já to vezmu od začátku. Poslouchej, ten klučina byl prostě pěšák. Feťák, co začal dýlovat. Proč vůbec někdo někomu takovému svěřoval drogy, to ti vopravdu nepovím. Každopádně se tak stalo, to nějak poldové zjistili. No a jak jsem ti řek... prostě ten batoh, kde měl drogu bohatých a ještě další nepěkné věci, tak ten si mu čmáznul. Něco měl střílet už v Zelený gorile, něco ještě někde jinde, najednou ale neměl batoh, takže... Podívej se, sedíš?“

„Ne... Ještě ne... Ted' už jo.“

„Mohla to bejt dost dobře nešťastná náhoda. Prostě se předávkoval a upřímně řečeno, ani nevím čím. Ale nabízí se otázka, kde vzal ty nepěkné věci. Druhá možnost je, že se sešel s někým, kdo mu svěřil batoh, pověděl mu, že ho ztratil, a ten mu... ten se postaral o varování, aby si v budoucnosti nějaký jiný pěšáci dávali větší pozor.“

„Já ti nějak...“ Teprve pomalu Milanovi docházelo, že ten kluk (Kolik mu vlastně bylo?) možná opravdu umřel kvůli němu. Do prdele, proč sem na ten batoh vůbec sahal?

„Hele, Milane, já ti dám jednu radu. Koukej se toho batohu šupem zbavit, zajdi si s Luckou na pánaka a zapomeň na to.“

„Díky. Já...“

„Jo, v pohodě.“

„Ne... díky, opravdu.“

„Já sem rád pomoch. Tak se měj.“

„Ty taky. Vlastně... počkej. Už se ví, jak se jmenuje?“

„Jo. Ale to není důležitý.“

Až když zavěsil, uvědomil si, že se o takovýhle věcech asi neměli bavit do telefonu. Ale kdo by ho odposlouchával? Ledaže byl někdo napíchnutý na mladého detektivkáře...

Nalil si štědré množství vodky, na ex ji vypil a zamířil do papírnictví, koupil zde menší krabičku a vrátil se domů. Celý obsah batohu – ani si „nepěkné věci“ vlastně pořádně neprohlédl – naskládal do krabice a na ni napsal Národní protidrogová centrála Policejního prezidia Správy hlavního města Prahy, jak se – pokud se nepletl – správně jmenovalo protidrogové.

S balíčkem zamířil na poštu. Když odcházel, cítil se spokojený. Přece nebude chodit někam na Václavák nebo na Národní třídu, aby ty drogy prodával. Občas si dát jointa, nu, na rozdíl od svých rodičů to lidem nevyčítal, ale ostatní drogy... Přece nebude podporovat závislost na nich a představil si onoho mrtvého narkomana. Ne, ani on si, stejně jako Marta, rozhodně nikdy nic nepíchně... jemu stačí závislost na tom, že mu chutná pivo, ušklíbl se.

Těmito myšlenkami se zaobíral, když mířil do oblíbené hospody. Tam už se sešel s Martou, Luckou a Lumírem, aby jim o všem pověděl.

Když k jejich stolu přišla asi pětaticetiletá blondáta číšnice, vrhla na Milana vražedný pohled a s narážkou na minulé opití se zeptala: „Zase tu budete spát? Co to dneska bude? Čtyři limonády?“

Juan Zamora *Zielona Małpa*

Z książki/Iz knjige *Zločin v zemi pyramid* (Plzeň: Nava, 2008).

Sympatycznie wyglądający dwudziestopięcioletni Milan uważnie rozglądał się po wieśniackich stołach Zielonej Małpy, aż w końcu przy jednym z nich zauważył trzy znajome twarze.

Skierował się do ich stołu, usiadł i powiedział: – Cześć.

– Cześć – powiedziała Lucka.

– Cześć – dodał Lumír.

– Cześć – pozdrowiła Marta.

– Długo tu jesteście? – zapytał. Początkowo miał przyjść z nimi, ale mimo tego, że była sobota niespodziewanie miał jakieś komplikacje w pracy.

– Chwilę – odpowiedziała Marta.

O tej chwili mogła świadczyć popielniczka, w której były dopiero trzy pety, czy też stosunkowo dużo piwa w plastikowych kufkach, koroną za jeden.

W Zielonej Małpie, w przeciwieństwie do innych knajp, nie lało się piwa do szkła. W Zielonej Małpie nawet nie było w zwyczaju, aby przy stole pojawił się sympatycznie wyglądający chłopak i zapytał: – Co podać? W Zielonej Małpie chodziło się do baru, trzeba było liczyć się z tym, że ktoś was może ubiec, a potem jeden z dwóch barmanów cię zapyta: – Co chcesz?

Wprawdzie Zielona Małpa w rejestrze handlowym i na swojej pięknej stronie internetowej figurowała jako knajpa rockowa, co nie brzmi źle, ale o wiele lepiej pasowałaby speluna. Nie grały tu tylko nieznanne kapele, czasami można było przyjść i na koncerty całkiem innego gatunku, a od czasu do czasu w „Małpie“ występowała nawet zagraniczna formacja, jednak nierozsądnie byłoby tu przyjść z małym dzieckiem. Zielona Małpa była speluną. Praską speluną niedaleko dworca Praga – Libeň, na którą policja zrobiła nalot zaraz po tym, jak w wiadomościach pojawiły się informacje o wielu pijanych nastolatkach. Milan i jego trzech przyjaciół było, koniec końców, jednymi z najstarszych. Przy zamawianiu piwa czy wódki nikt tu nie wymagał dowodu osobistego.

Na koncerty przychodziło kilku widzów, których większość ludzi bałaby się, gdyby ich spotkała na ulicy. Spostrzec wygolonego typa, jak swojemu psu – tak, czasami pojawiali się tutaj

i czworonożni ulubieńcy – oferuje trochę swojego piwa czy przynajmniej widzieć jak pijany zatacza się przy stole do piłkarzyków także nie było w tym nic dziwnego. Naturalną częścią Zielonej Małpy było zapalenie sobie marihuany – czy to wyhodowanej w domu, czy kupowanej zwykle za dwieście pięćdziesiąt koron za gram – akurat jej zapach czuć u któregoś z dalszych stołów. Ale żeby przy stole nikt nie zapalił sobie papierosa – co to, to nie. Szczerze mówiąc,

w Zielonej Małpie palili prawie wszyscy.

Tłumaczenie/Prevod: Piotr Szalaśny

Milan nie palił papierosów ani nie jarał trawki. Nie był też wcale zaawansowanym alkoholikiem. Zdecydowanie nie miał jednak zamiaru siedzieć o suchym pysku, tak więc jak tylko zamienił parę słów z Lucką, Lumirem i Martą, skierował się do środka.

Dopóki na zewnątrz było miejsce, stoły w środku nie były zbyt zapchane. A koncert miał się zacząć dopiero za niecałe pół godziny.

Przy barze stał na szczęście tylko jeden wątpliwie wyglądający młodzieniec, więc facet za ladą obsłużył Milana od razu.

Wtedy Milan po raz pierwszy zauważył człowieka, o którym jeszcze wspomnimy, wychodzącego z toalety. Mógł mieć ze dwadzieścia lat – może mniej, może więcej, jego twarz jednak zdecydowanie nie sprawiała wrażenia człowieka niewiedzącego, co to są narkotyki. Skromnym, nijak fachowym, zdaniem Milana, chłopak śmigał na białym. Tylko, że Milan nie był z Drop in czy innej podobnej organizacji, był tu tylko po to, żeby spędzić przyjemny wieczór na, miejmy nadzieję, przyjemnym koncercie. A, że czasami w tej knajpie pojawiał się ktoś, kto nie zadowalał się samymi jointami, to była Małpa.

Barmanowi, o ile w ogóle można go tak nazwać, podziękował za podany plastikowy kubek z browarem z kija i wyszedł z powrotem na zewnątrz.

Panie paliły następnego papierosa, Lumír robił właśnie porządek na komórcie.

Milan upił piwa, chcąc dogonić swoich towarzyszy i zadał pytanie: – Co dzisiaj właściwie grają?

Na stronę internetową nie zdążył spojrzeć, nie zdążyli też umówić się wcześniej.

– Jakież zespoły rockowe – powiedziała Lucka i zgasiła swojego, dziś pewnie z dziesiątego, papierosa marki Lucky Strike. Lucka, która pali lucky.

Rozmawiali przyjemnie i popijali z kubków.

Pili drugie piwo, na podium już od ponad kwadransa przygotowywała się grupa czterech młodych mężczyzn, koncert miał się zacząć cztery minuty temu, kiedy dwaj z nich zeskoczyli i skierowali się ku stołom. Obchodzili jednego gościa po drugim, jeden z nich z brązowym mazakiem w ręce, za osiemdziesiąt koron goście dostali podwójną nagrodę. Kreskę gdzieś na ręce. Kreskę, która była jednak również biletem wstępu na śpiewające dzisiaj zespoły. Zazwyczaj, podobnie jak na dyskotekach, albo na przykład na różnych festiwalach, dawano opaski na rękę, ale takiego „luksusu“ na dzisiaj chyba nie mieli...

Najwyraźniej jednak robienie kresek mazakiem nie podobało się jakiemuś mężczyźnie. Siedział przy stole z grupą młodzieży i wyglądało na to, że nie należy do grupy, tylko że na chama przysiadł się do nich.

Młodzieniec z zespołu rockowego wziął od niego pieniądze i tak jak już tylu osobom przed nim – w tym też Luce, Marcie, Milanowi i Lumirowi – zrobił małą kreskę na ręce.

Płacącemu jednak się to nie spodobało, wstał i wrzasnął: – Czego?

Nie było to aż tak daleko od stołu, przy którym siedział Milan. Zapatrzył się w stół i zapatrzyli się w niego też jego trzej współ-piwo-pijący.

– Widziałem go już – zaznaczył.

– Tak? – odezwała się Marta.

– Tak – i podzielił się z nimi swoją opinią na temat niego i amfetaminy.

– To jest możliwe – zaznaczyła Lucka.

– Jaka doświadczona – zaśmiał się Lumír.

Mężczyzna, który miał być może dwadzieścia lat, i który miał być może doświadczenie z amfetaminą, usiadł. Wyglądało na to, że się uspokoił.

– Tak, to jest możliwe – włączyła się Marta.

Tłumaczenie/Prevod: Zuzanna Rusnok

Grała już druga kapela, Zielona Małpa była coraz bardziej zatłoczona. W popielniczce, przy stoliku gdzie siedział Lumír, coraz więcej petów. W rogu stołu ponakładane na siebie plastikowe półlitrowki, w których jeszcze niedawno było piwo. Byłoby ich dwanaście, ale jedna dredziara – chyba koło dwudziestki i jak to się mówi „uchachana” – zapytała ich czy może wziąć jedną szklanekę. Mogła, więc było ich jedenaście.

– Dobry pomysł, nie musi płacić za kolejne piwo – powiedział Lumír, kiedy gdzieś zniknęła.

– Ja tam wolę zapłacić za następne – powiedziała Marta. Wizja żóltaczki nie była zbyt przyjemna.

Wtedy Milan trzeci raz zauważył tego... tego feciarza, jak w duchu nazywał tajemniczego chłopaka.

Przyszedł do sąsiedniego stolika ze szklanką w prawej ręce i plecakiem w lewej, pozdrawiając głośno grupkę pięciu czy sześciu osób, które tam siedziały.

– Miał przedtem ten plecak? – spojrzał na współ-piwo-pijących.

– Nie wiem – powiedział Lumír.

– Może – dodała Lucka.

– Nie wiem – nie wiedziała Marta.

Tak czy inaczej, chłopak przesiadywał przy stoliku, dwa razy pogrzebał w plecaku, który tam leżał, na chwilę odszedł i znowu wrócił.

Kiedy to się stało drugi raz, Lucka, która mimo oczywistych uwag Milana i Lumíra paliła kolejną fajkę, zauważyła:

– Może to diler?

To było pytanie, zadane ze zwykłej ciekawości. Nic ponadto.

– Coś w tym plecaku ma – powiedziała Marta. – Może jakieś śmieszne rzeczy. Mianem śmiesznych rzeczy określała marihuanę. Ona i Lucka od czasu do czasu nie pogardziły, a gdyby nie zapomniała z domu woreczka (takiego, jakiego używają szwaczki, a może i policja na materiał dowodowy), skreśliaby jednego jointa sobie i jednego dla Lucki.

Kiedy któryś z ich znajomych miał przypadkiem jakieś obiekcje, zwykle mówiła coś w stylu: – Nie jestem jakąś ćpunką, a przecież to jest lepsze, niż gdybym waliła w żyłę.

Tłumaczenie/Prevod: Marta Grubka

Piętnaście plastikowych kubków, nałożonych na siebie.

Plecak *amfiarza* leżał na stole, jego właściciel znów gdzieś się oddalił. Milan widział, jak coś szepce do swego tymczasowego towarzystwa. Chyba żeby mu pilnowali plecaka. Oni jedynie kiwnęli, młodziak odszedł, ale potem i oni się podnieśli, zostawili na stole piwa i skierowali się w stronę sceny.

Gdy kapela zaczęła grać, tuż przed nią, na środku, natychmiast pojawili się pierwsi ludzie

i zaczęli sami, albo parami, tańczyć. Ale jak powiedziała Lucka, zaletą tego było, że w odróżnieniu od jakiejś dyskoteki w praskich Karlovkach, człowiek tańczyć nie umie.

Marta, Lucka, Milan i Lumír nie mieli – przynajmniej na razie – nic takiego na myśli.

Lukniemy do tego plecaka? – zaproponował Lumír.

No – zgodził się Milan.

Tylko ciekawość. Nic więcej. W dodatku tutaj każdy zwracał uwagę na siebie i na ludzi, z którymi był. Nie musieli się bać, że ktoś ich zobaczy i zacznie krzyczyć: – *Złodzieje!*, barmani

i tak by nie zadzwonili na policję ze strachu przed kontrolą dowodów osobistych.

Wstał od stołu i w mgnieniu oka był z powrotem z plecakiem *ćpuna*. Położył go na stół, otworzył i...

Jasna cholera – zaklęła Lucka.

Wyglądało to na działki kokainy, narkotyku dla bogatych, jak mówiła Marta, i inne środki odurzające i psychotropowe. Przynajmniej myśleli, że tak się nazywają.

To frajer, że zostawił to bez nadzoru – zauważył Lumír.

No – zgodził się Milan. – Ale... przecież... nie powinniśmy tego wyrzucić...

Mimo że mogli sobie wziąć plecak, zniknąć na przykład za Národní třídą i stopniowo pozbywać się towaru i mimo, że mogli również ponownie odłożyć plecak na miejsce i zachowywać się tak, jakby go nigdy nie wyrzucili... mimo to Marta stwierdziła:

Chyba powinniśmy.

Ale temu chłopakowi by się to chyba... – zaczął Lumír.

Pójdziemy i po drodze jakoś się dogadamy, okej? Zgoda? – zaproponował Milan.

Na przystanku ustalili, że plecak zostanie tymczasem u Milana.

*

W niedzielę wieczorem w telewizyjnych wiadomościach pojawiła się między innymi informacja o mężczyźnie bez dokumentów, który przed obiadem przypadkiem został znaleziony w jednym z praskich lasów. Zaćpany, martwy, bez imienia. Jeśli ktoś go przypadkiem pozna...

Milan go natychmiast poznał. To był chłopak z Małpy.

Parę minut po ósmej zeszli się we czwórkę w gospodzie niedaleko domu Milana, by chwilę pogadać. Milan powiedział, że spróbuje coś ustalić w całej sprawie, że jeden jego kumpel mógłby mu pomóc dowiedzieć się o tej śmierci trochę więcej.

Dobrze... a co z tym plecakiem? – zapytała rzeczowo Lucka.

Możemy go wyrzucić, przesłać na policję, sprzedać te... te rzeczy. Ale cholera jasna – nagle wybuchł. – A co, jeśli umarł przez nas? Wiecie, że może ktoś go zabił dlatego, że dał sobie zwędzić ten towar.

Dziesięć piw i trzy kolejki fernetu sprawiły, że Milan na chodniku ulubionej gospody chwilę rzygał, a chwilę leżał. Siara. Wreszcie Marta, Lucka i Lumír zaciągnęli go do domu.

Tłumaczenie/Prevod: Joanna Brodniewicz

Podczas niedzielnego oglądania telewizji Nova, Milan przypomniał sobie swojego kolegę jeszcze z podstawówki. W poniedziałek rano zadzwonił do niego.

Milan i Pavel spotykali się jeszcze czasami. Pavel miał stałą, dobrze płatną pracę, ale na boku dorabiał pisaniem opowiadań kryminalnych, napisał nawet jedną powieść. Kolega był członkiem jakiejś organizacji skupiającej autorów kryminałów... Jak się to nazywało ALEP? AIEP? No, oczywiście. AIEP. Asociación Internacional de Escritores Policiacos. Tylko właściwie Milan nie rozumiał, dlaczego nazwa jest hiszpańska.

W każdym razie Milan był pewien, że kolega mówił mu, że w organizacji jest także kilku autorów, którzy rozpracowują prawdziwe, kryminalne przypadki. Ze trzy razy na zjazd przyjechał jakiś policjant. Jeden chyba z narkotykowego, kolejny z kryminalnego. A jeśli ci autorzy opisują prawdziwe morderstwa... Oczywiście nie powinno się, pewnie niektórzy z nich dobrze to rozumieją, ale znajdzie się i taki autor, co zadzwoni do kolegów – policjantów z powodu tego nieżywego ćpuna.

Warto spróbować, mówił sobie Milan. Sięgnął po prawie rozładowaną komórkę (nie może zapomnieć podłączyć telefonu do ładowarki) i wybrał numer kolegi.

– Słuchaj mam sprawę – powiedział po zwyczajowym powitaniu.

– Co jest?

I opowiedział mu wszystko. Koniec końców, myślał sobie, pisze kryminały, więc gdyby zdołał się czegoś dowiedzieć, mógłby to potem wykorzystać jako pomysł w nowych historiach.

– Dobra – powiedział dorabiający kolega. – Obdzwońię kilku ludzi i postaram się czegoś dowiedzieć, ale zdecydowanie niczego Ci nie obiecuję. Za dwa dni odezwę się, jak to wygląda.

Milan postanowił już, że zadzwoni do byłego kolegi ze szkoły, i zapyta czy nie zapomniał o martwym ćpunie, kiedy zadzwonił jego telefon.

To był Pavel.

– Cześć.

– No cześć, właśnie myślałem o tobie i chciałem się przypomnieć.

– Wybacz... ja już wcześniej... no posłuchaj, właściwie to muszę cię prosić... możesz wpaść w piękne bagno.

– Nikt nie mógł zauważyć, że ja mam ten plecak.

– Naprawdę nikt?

– Nie.

– To masz szczęście, ale ja zacznę od początku. Słuchaj stary, ten chłopaczek był zwykłym pionkiem, co zaczął dealować. Dlaczego ktoś w ogóle komuś takiemu powierzał towar, tego ci naprawdę nie powiem. W każdym razie stało się tak, że jacyś gliniarze dowiedzieli się o tym. No i tak jak już mówiłem... po prostu ten plecak, w którym miał narkotyk bogatych i jeszcze inne ciekawe rzeczy, więc ty go mu zwinąłeś. Miał coś upłynnić już w Zielonej Małpie, pewnie też jeszcze gdzieś indziej, a nagle nie miał już plecaka, więc... Słuchaj, siedzisz?

– Nie..., jeszcze nie..., tak, teraz już tak.

– Mógł to być zwykły wypadek. Po prostu przedawkował, a szczerze mówiąc nie wiem nawet, co. Ale rodzi się pytanie, skąd wziął te ciekawe rzeczy. Jest też druga możliwość, że spotkał się z kimś, kto mu powierzył plecak, powiedział mu, że go stracił a ten mu..., a ten zatroszczył się, aby w przyszłości reszta pionków bardziej uważała.

– Ja ci jakoś... – dopiero teraz dotarło do Milana, że ten chłopak (właściwie ile miał lat?), może naprawdę zginął przez niego. O cholera, właściwie, dlaczego w ogóle sięgałem po ten plecak?

– Hej, Milanie, dam Ci jedną radę, migiem pozbądź się tego plecaka. Idź z Lucką na jednego i zapomnij o tym.

– Dzięki. Ja...

– No, w porządku.

– Nie..., dzięki naprawdę.

– Chętnie ci pomogłem. Trzymaj się.

– Ty też. Właściwie...poczekaj. Wiedzą już jak się nazywa?

– Tak, ale to nie jest ważne.

Gdy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że o takich rzeczach raczej nie powinno rozmawiać się przez telefon. Ale kto by go podsłuchiwał? Chyba, że młody autor kryminałów miał podłożoną pluskwę.

Tłumaczenie/Prevod: Hanna Witkowska

Nalał sobie pokaźną ilość wódki, wypił ją na eks i skierował się do działu papierniczego, zakupił małe pudełko i wrócił do domu. Całą zawartość plecaka – nawet sobie tych „niepięknych rzeczy“ właściwie porządnie nie przeglądał – włożył do pudełka i napisał na nim Narodowa Antynarkotykowa Centrala Prezydium Policji, Administracja Miasta Stołecznego Praga, jak – o ile się nie mylił – prawidłowo nazywała się instytucja antynarkotykowa.

Z paczką udał się na pocztę. Wychodząc czuł zadowolenie. Nie będzie przecież chodzić gdzieś tam na Plac Waclawa czy w Aleję Narodową żeby sprzedawać te narkotyki. Zapalić czasem jointa, no dobra, w przeciwieństwie do swoich rodziców nie miał tego ludziom za złe,

ale inne narkotyki... Nie będzie przecież wspierał uzależnienia od nich i wyobraził sobie owego martwego narkomana. Nie, on na pewno, tak samo jak Marta, nigdy nie będzie sobie nic wstrzykiwał..., jemu wystarczy uzależnienie od tego, że smakuje mu piwo, uśmiechnął się drwiąco.

Takimi przemyśleniami zajmował się zdążając do ulubionej gospody. Tam spotkał się z Martą, Lucką i Lumirem, żeby o wszystkim im opowiedzieć.

Kiedy do ich stolika podeszła na oko trzydziestopięcioletnia blondyna z tacą, rzuciła w stronę Milana mordercze spojrzenie i robiąc aluzję do ostatniego spicia się, zapytała: – Znowu będzie pan tutaj spał? Co dzisiaj podać? Cztery lemoniady?

Tłumaczenie/Prevod: Ewa Wieder

Juan Zamora *Milenci na jednu noc*

Z knihy/Iz knjige: *Vrah na jednu noc* (Plzeň: Nava, 2010)

Obchod v Korunní ulici vypadal jako obyčejná trafika. Jen název zněl trochu neobvykle. Pěkně tabák.

Když otevřel dveře, také se v trafice se všim, co k ní patří, tedy od cigaret a novin až po spoustu příbalových DVD, ocitl. Dvěma mezi lednicí s chlazenými nápoji a stojanem s denním tiskem prošel do další místnosti, která byla zřízena jako čajovna, hlavně pro mladé intelektuály. Z reproduktorů vyhrávající Rádio 1, stoly a židle, které měly lepší časy už dávno za sebou, mladá číšnice s načerveno obarvenými vlasy.

Posadil se u jednoho okrajového stolku a za chvíli už u něj byla servírka.

„Ahoj. Co to bude? Jako vždycky?“ zeptala se.

„Jo,“ řekl, což znamenalo, že si objednává minerálku a ovocný čaj.

„Dobře,“ kývla, něco naškrábala na lísteček a už běžela k jinému stolu, od kterého na ni nervózně mávala elegantně oblečená paní, která se sem vůbec nehodila.

Slečna, která vešla do místnosti, se sem zato hodila náramně.

Schválně si vždycky sedával tak, aby měl přehled o všech příchozích hostech. Byla v tom jakási zvědavost, touha mít přehled, ale trochu snad i poznamenaní množstvím přečtených detektivek - že by snad mohl do prostor kavárny vběhnout ozbrojený chlapík.

Byla stará asi jako on. Pětadvacet. Drobná, černovláska, bílá čepice s kšiltlem, conversky, pyramidový pásek, okolo krku oranžové korále, krásně ladící se světle modrým tričkem.

Nechápal, co je to za módu, že všechny holky nosí tenisky Converse. Také si říkal, že ta černovláska je na takovýhle styl oblékání možná přece jen trochu stará. Ale třeba jenom vypadá na pětadvacet. Co když jí ve skutečnosti devatenáct?

Posadila se u stolu vedle něj.

Ani si neuvědomoval, že po ní celou dobu kouká. Možná spíš zírá. Došlo mu to, až když si sedala a usmála se na něj.

Usmál se taky a v duchu si říkal, jaká škoda, že každou chvíli určitě přijde její přítel. Líbila se mu.

Ale co... život nejsou jen ženské, pomyslel si. Měl přece patřičný důvod k radosti, i když nešlo o sbalení nějaké čarokrásné slečny.

První anglické vydání *Záhady na zámku Styles*, první knihy Agathy Christie. Přímo s podpisem autorky. Nechtěl ani myslet, kolik poslal jakémusi Angličanovi na konto a jak poté netrpělivě čekal, až zásilka dorazí. Ještě že libra není teď drahá, jako bývala. Ale za radost z prvotřídního úlovku to rozhodně stálo. Dlouho se o knihu v internetových diskuzích přetahoval s jakýmsi Berrym278, až anglickému sběrateli nabídl prvorepublikové překlady *Královny zločinu* - a knihu tak získal, zatímco Berry278 měl smůlu. Hned o svém úlovku napsal na internetový blog, který si asi před rokem založil.

Z myšlenek o detektivce Agathy Christie, na kterou se pro pracovní povinnosti v redakci nestačil ještě pořádně podívat, ho vyrušila právě černovláska slečna. Zamířila totiž k jeho stolu a zeptala se: „Nemáte oheň?“

Neměl, nekouřil.

Zkusila štěstí u dalšího stolu a uspěla. On si pomyslel, že své štěstí promarnil. Obvyklá otázka. Kuřácký rituál. Báječná možnost k seznámení a navázání konverzace, které ale nevyužil.

Aby si zkrátil čekání, vyndal z batohu knihu. Ne Agathu Christie, vzácný kousek měl uložený v knihovně a nechtěl ho nikam nosit. Šlo o jiné dílo. Milan Kundera. *Valčík na rozloučenou*.

Už popíjel čaj černovláska zázvorovou limonádu Canada Dry, když se jejich pohledy střetly. Pořád očekával, že se v kavárně objeví její přítel, a nechtěl po ní moc koukat, navíc příležitost stejně propásl s otázkou na zapalovač. Teď ale bezděčně zvedl oči od stránek a podíval se k jejímu stolu.

„Kundera, jo?“ poznamenala a zase se usmála.

K jeho velkému překvapení neskončilo jen u poznámky. Zvedla se a s limonádou a skleničkou zamířila k jeho stolu.

„Můžu?“

„Jo, jasně,“ odpověděl celý překvapený.

Nejdřív cigarety, teď Kundera, říkal si a hlavou mu začaly běhat myšlenky o slečnách, které okrádají bohaté chlapíky. Seznámení na baru, sblížení, okradení. Ale on nebyl žádný boháč,

i když by se nějaké cennosti přece jen v jeho bytě našly. Hlavně ale neseděli v žádném luxusním podniku, ale v obyčejné kavárně. Vlastně neobyčejné, když byla spojená s trafikou. Každopádně ne v místě, kde by ho nějaká holka sbalila, a poté vykládala, že ji ve skutečnosti znásilnil.

V duchu se napomenul, že má příliš bláznivé myšlenky. Přece ho vůbec nemusí okrást ani vydírat kvůli domnělému znásilnění. Nemusí mít o něj ani zájem. Jen si chtít přátelsky potlachat o Kunderovi.

„Já sem Petra,“ představila se.

„Jarda.“

Začala mu vykládat, že Kunderu měla vždycky ráda. V třetíáku, když chodila na gympl (takže by jí přece jen mohlo být víc než devatenáct, napadlo ho, když použila minulý čas), psala

o Milanu Kunderovi seminárku. Podrobně rozebírala právě Valčík na rozloučenou a také Nesnesitelnou lehkost bytí, která tehdy ještě nevyšla česky, a tak ji musela číst v angličtině. Věnovala se i dalším knihám, ale také srovnání s ostatními autory. Ivanem Klímou, Josefem Škvoreckým, Ludvíkem Vaculíkem. Teď studovala třetí rok bohemistiku na Filozofické fakultě.

Dobře se mu s ní povídalo a z debaty o knihách postupně přešli přes Kunderovu aféru k politice a pak i osobním zájmům.

Nealkoholické nápoje doplnila vodka. Každý jednoho panáka, na Petřin návrh po chvíli druhý.

Tou dobou už věděl, že nemá přítele. S kamarádkou měla pronajatý byt na Letné, kde chodívaly venčit kamarádčina psa do Stromovky.

Vyzvídala, kde bydlí on.

Bylo mu s Petrou fajn, ale chvílemi mu připadalo, že je až příliš zvědavá. Zdálo se mu, že něco nesedí.

Po třetí vodce z něj vytáhla, že má v Potichu Jaroslava Rudiše schováno pět tisíc eur, které s kamarádem vydělali na jedné zakázce pro Evropskou unii, ke které se obrovskou shodou náhod dostali.

Jinak vystudoval politologii. Teď dělá v redakci jednoho časopisu, kde píše odborné články, občas si ale odskočí a napíše třeba i o Kunderovi...

Ale o těch prachách sem jí neměl říkat, napomenul se. Teď na mě bude chtít letět kvůli penězům. Anebo mě fakt vykrade.

Nebyl nějaký sebejistý floutek, ale měl pocit, že hovor s Petrou je na dobré cestě. Na dobré cestě dostat ji do postele, což by mu nevadilo. Až na ony představy zmizelé televize, DVD přehrávače, hi-fi soupravy a eur.

Ona si k němu přece přisedla.

Ona začala s Kunderou a postupně se od něj dozvěděla, že by bylo co krást.

Jeden jeho kamarád takhle dopadl, když si zašel v centru Prahy na panáka... Možná bych ale neměl číst tolik detektivek a nenapadaly by mě bláznivosti, říkal si Jarda.

Červenovlasá slečna číšnice z jejich stolu sbírala vyprázdňené úzké panákové skleničky a zeptala se: „Bude to ještě něco?“

„Dáme si ještě něco?“

„No, já nevim...“

„Tak my se domluvíme, přijď za chvíli,“ vyřešil Jarda situaci.

Když byla servírka pryč, Petra navrhla, jestli by už nešli. Začíná být trochu připitá.

„Nebo si můžeme dát ještě něco u tebe.“

U tebe.

Co možná viselo před tím ve vzduchu, bylo vysloveno. U tebe. U něj. Takže to není povídání o Kunderovi a Klímových Milencích na jednu noc. Milenci na jednu noc budou oni, nebo možná na mnohem déle.

„Tak já si odskočím a půjdeme.“

Když si na toaletě myl ruce, pořádně si opláchl obličej vodou.

„Nebližni,“ řekl svému obličej v zrcadle. Když už měl něco v sobě, občas si povídal sám se sebou.

Prostě se jí líbil, nic víc v tom není. Teď půjdou k němu. Jestli bude pořád vyšilovat, že je to nějaká zlodějka, všechno akorát blbě dopadne. Takže klid.

Chtěl zaplatit za oba. Petra důrazně protestovala, takže nakonec platili účet každý za sebe.

Chtěl se tu původně jen stavit na čaj a pak jet tramvají domů, kousek za Želivského. S Petrou se pobyt trochu protáhl.

Nízkopodlažní souprava na lince deset jim ujela před nosem. Navrhl, že se můžou projít a jít pěšky. Petra souhlasila.

Dvoupokoják s balkonem v novostavbě s vrátným jak v nějakém americkém filmu.

Usadil Petru v obýváku na pohovku. Zapnul televizi. Skočil hudební kanál Óčko.

„V ledniče mám to bílý víno,“ zmínil nápoj, na který ji lákal už při cestě z kavárny-trafiky.

„Oukej.“

Za chvíli byl s dvěma skleničkami a už načatou lahví vína s nápisem ve španělštině, kterému nerozuměli, protože ani jeden španělsky neuměli, u Petry.

Láhev nedopili.

Při druhé skleničce se přemístili k němu do ložnice.

Ona rukou omylem vrazila do láhve, položené na stole. Zbylé víno se rozlilo a láhev se jako na potvoru rozbila na spousty malých kousíčků.

Za normální situace by hned běžel pro lopatku, smetáček a hadr, ale nyní mu stačila jen strohá Petřina poznámka: „Potom.“

Když se ráno probudil, digitální budík na nočním stolku ukazoval 7:38.

Jardu naštěstí nebolela hlava, jen měl obrovskou žízeň.

V místnosti vzduch ne zrovna příjemný. Postel pořádně rozválená. Na povlečení a polštáři několik ženských vlasů.

Ale Petra fuč.

Nejprve ho napadlo, že si jen odskočila na záchod nebo do koupelny vyčistit zuby jeho kartáčkem. Jen o pár vteřin později mu ale naskočila myšlenka o vykradeném bytu.

Okamžitě vyskočil z postele. Dveře na záchod i do koupelny zavřené. Rychle je otevřel, ale Petra nikde.

U botníku nebyly její boty ani mikina.

Téměř vpadl do obývacího spojení s kuchyní.

Úplně zapomněl na rozlitou láhev vína, takže ho udeřil odporný pach. Jak v nálevně. Pohled na střeby také nebyl nic příjemného.

Uklidnilo ho, že televize i další technika byly na svém místě. Pak si ale vzpomněl na Rudišovo Potichu. Jasně, přece se mladá holka nebude tahat s televizí, to jedině kdyby měla na lince nějaké kumpány. I pět tisíc euro je dost, aby se s ním vyspala a pak čmajzla prachy.

Zamířil k zaplněné knihovně a po paměti sáhl po příslušném svazku.

Otevřel Potichu.

Uklidnilo ho, že peníze jsou na svém místě. K nim byl ale do knížky vložen také popsán papírek asi pohlednicového formátu.

Rychle text přelétl a pak pohledem zkontroloval celou knihovnu. Ale Záhada na zámku Styles byla pryč.

Třikrát za sebou si přečetl Petřin vzkaz. Pořád tomu nemohl věřit, i když to byla pravda.

Záhada na Zámku Styles jsem děsně chtěla, první vydání, s podpisem Agathy. Děsně mě štvalo, žeš mi ji nakonec vyfouknul. Na tvém internetovém blogu jsem se o Tobě hodně dozvěděla. Kam chodíš na čaj nebo kafe, že jsi knížku poštou už dostal. Kunderu mám fakt ráda,

i když nestuduju bohemistiku. Ani to ostatní, co jsem Ti o sobě řekla, není pravda, takže se Ti nepovede mě najít. Berry278.

Čekal vykradený byt. Cokoliv. Ale že by si k němu přisedla kvůli Agathě Christie, to by ho rozhodně nenapadlo. Neměl nejmenší tušení, že Berry 278 je také z Čech, dokonce možná z Prahy.

Pomyslel si, že by měl zavolat policii a krádež ohlásit, ale pak si uvědomil, že to nemá cenu. Příjmení mu neřekla. Klidně se ani nemusela jmenovat Petra. A když by policajtům řekl, že mu nějaká holka ukradla knížku, akorát by se mu vysmáli.

Přitom mu s ní bylo tak báječně, nejen v jeho pokoji, ale i předtím, už v kavárně. A jí šlo akorát o to získat knížku do sbírky.

Celý naštvaný raději zamířil do koupelny pro hadr.

Rozbitá láhev vína potřebovala uklidit.

Juan Zamora *Kochankowie na jedną noc*

Z książki/Iz knjige: *Vrah na jednu noc* (Plzeň: Nava, 2010).

Sklep na Koronnej wyglądał jak zwykła trafik. Tylko nazwa brzmiała niezwykle: „Niezły kiosk”.

Kiedy otworzył drzwi, znalazł się pośród wszystkiego, co powinno tu być, zaczynając od papierosów i gazet, na mnóstwie płyt DVD dołączanych do czasopism kończąc. Drzwiami mieszczącymi się między lodówką z napojami, a stojakiem na codzienną prasę, wszedł do kolejnego pomieszczenia, w którym była urządzona herbaciarnia, przede wszystkim dla młodych intelektualistów. Z głośników leciała Jedyńka, stoły i krzesła dawno miały najlepsze czasy za sobą, kręciła się młoda kelnerka z pofarbowanymi na czerwono włosami. Siadł przy stoliku całkiem z brzegu i za chwilę była już przy nim.

– Hej, co podać? To co zawsze? – zapytała.

– No – odpowiedział, co oznaczało, że zamawia wodę mineralną i herbatę owocową.

– Dobrze – potaknęła, coś nabazgrała na kawałku papieru i już biegła do innego stolika, skąd machała do niej nerwowo elegancko ubrana pani, która tu w ogóle nie pasowała. Za to dziewczyna, która właśnie weszła, pasowała tu idealnie. Specjalnie siadał zawsze tak, aby widzieć wszystkich wchodzących gości. Była w tym jakaś ciekawość, pragnienie, by mieć wszystko na oku, a trochę wynikało to z tony przeczytanych kryminałów: z marzenia, że za chwilę do herbaciarni wbiegnie uzbrojony facet.

Była mniej więcej w jego wieku, dwudziestka piątka. Drobną brunetką, konwersy, pasek z ćwiekami, wokół szyi pomarańczowe korale dobrze dobrane do jasnoniebieskiego T-shirtu. Nie rozumiał tej mody: wszystkie dziewczyny noszą trampki z Converse. Stwierdził też, że ta czarnulka jest na taki styl ubierania chyba trochę za stara, ale może tylko wygląda na dwadzieścia pięć. A co jeśli faktycznie ma dziewiętnaście?

Siadła przy stoliku obok. Nawet sobie nie zdawał sprawy, że bezwiednie cały czas na nią patrzy. Może raczej się gapi. Dotarło to do niego, gdy usiadła i uśmiechnęła się.

Uśmiechnął się także, a w duchu stwierdził, że szkoda, że w każdej chwili może przyjść jej chłopak. Podobała mu się. „No ale... Życie to nie tylko kobiety” – pomyślał. Miał przecież doskonały powód do radości, nawet jeśli nie było to wyrwanie jakiejś nadobnej panny.

Pierwsze angielskie wydanie *Tajemniczej historii w Styles*, pierwszej książki Agaty Christie. Z autografem autorki. Nie chciał nawet myśleć, ile posłał jakiemuś Anglikowi na konto, a potem niecierpliwie czekał, aż dojdzie przesyłka. Całe szczęście, że funt teraz nie jest tak drogi, jak to się zdarzało. Ale radość ze zdobyczy pierwszej klasy była tego warta. Długo rywalizował o tę książkę na forach internetowych z jakimś Berry278, aż zaoferował angielskiemu zbieraczowi międzywojenne wydanie Królowej zbrodni i w ten sposób zdobył książkę, tymczasem Berry278 miał pecha. Od razu o swojej zdobyczy napisał na blogu, który założył sobie jakiś rok temu.

Tłumaczenie/Prevod: Joanna Brodniewicz

Z rozmyślań o kryminale Agaty Christie, któremu nie zdążył się jeszcze porządnie przyjrzeć z powodu obowiązków w redakcji, wyrwała go właśnie czarnowłosa panna. Skierowała się w stronę jego stołu i zapytała:

– Ma pan zapalniczkę?

Nie miał, nie palił.

Spróbowała szczęścia przy następnym stole i odniosła sukces. Pomyślał, że przegapił swoje szczęście. Standardowe pytanie. Rytuał palacza. Fantastyczna okazja do poznania się i rozpoczęcia rozmowy, której nie wykorzystał.

Żeby skrócić sobie czekanie, wyjął z plecaka książkę. Nie Agatę Christie, rzadki okaz schowany miał w biblioteczkę i nie chciał nigdzie go zabierać. Chodziło o inne dzieło. Milan Kundera. *Walc pożegnalny*.

Popijał już herbatę, a blondynka napój imbirowy Canada Dry, kiedy ich spojrzenia spotkały się. Wciąż się spodziewał, że w kawiarni pojawi się jej chłopak i nie chciał za bardzo się jej przyglądać, do tego i tak zmarnował okazję wraz z pytaniem o zapalniczkę. Teraz jednak podniósł bezwiednie oczy znad kartek i spojrzał w stronę jej stołu. – Kundera, tak? – zauważyła i uśmiechnęła się znowu.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu nie skończyło się na komentarzu. Podniosła się, i z napojem i szklanką skierowała się w stronę jego stołu.

– Można?

– Tak, jasne – odpowiedział kompletnie zaskoczony.

Najpierw papierosy, teraz Kundera, myślał, a przez głowę przemknęła mu myśl o pannach okradających bogatych facetów. Spotkanie przy barze, zbliżenie, kradzież. Ale on nie był przecież bogaty, chociaż jakieś wartościowe rzeczy znalazłyby się w jego mieszkaniu mimo wszystko. W każdym razie nie siedzieli jednak w żadnym luksusowym lokalu, tylko w zwykłej kawiarni. W sumie niezwyklej, skoro była połączona z kioskiem z gazetami. W każdym razie nie w miejscu, gdzie jakaś dziewczyna mogłaby go poderwać, a potem opowiadała, że w rzeczywistości ją zgwałcił.

Skarcił się w myślach, że ma zbyt szalone pomysły. Przecież nie musi wcale go okradać, ani szantażować z powodu domniemanego gwałtu. Nie musi nawet być nim zainteresowana. Tylko chcieć pogadać sobie towarzysko o Kunderze.

– Jestem Petra – przedstawiła się.

– Jarek.

Zaczęła opowiadać, że zawsze lubiła Kunderę. W trzeciej klasie, kiedy była w ogólniaku (a więc jednak powinna mieć więcej niż dziewiętnaście lat, pomyślał, skoro użyła czasu przeszłego), pisała pracę seminaryjną o Milanie Kunderze. Analizowała szczegółowo właśnie *Walc pożegnalny* oraz *Nieznośną lekkość bytu*, która nie została jeszcze wtedy wydana po czesku, więc musiała czytać ją po angielsku. Zajmowała się również innymi książkami, ale też porównaniami z innymi autorami. Ivanem Klimą, Josefem Škvoreckim, Ludwikiem Vaculikiem. Była teraz na trzecim roku filologii czeskiej na Wydziale Filozofii.

Tłumaczenie/Prevod: Zuzanna Rusnok

Dobrze mu się z nią rozmawiało, z debaty o książkach krok po kroczku przeszli przez aferę Kundery, politykę, aż do osobistych zainteresowań.

Bezalkoholowe napoje dopełniła wódka, każdy po jednym kieliszku, za chwilę Petra zaproponowała drugi.

W tym czasie wiedział już, że nie ma chłopaka. Razem z koleżanką wynajmuje mieszkanie na Letnej, gdzie wyprowadzały psa przyjaciela do parku Stromovka.

Dociekała gdzie mieszka on.

Było mu z Petrą dobrze, ale chwilami zdawało mu się, że jest zbyt ciekawska. Wydawało mu się, że coś nie gra.

Po trzecim kieliszku wyciągnęła z niego, że ma w książce Jaroslava Rudisza *Potichu* schowane pięć tysięcy euro, które zarobił razem z kolegą, na jednym zleceniu dla Unii Europejskiej, a które dostali dzięki olbrzymiemu zbiegowi okoliczności.

A w ogóle to ukończył politologię. Teraz pracuje w redakcji jednego czasopisma, gdzie pisze naukowe artykuły, ale czasami robi sobie chwilę wytchnienia pisząc na przykład nawet o Kunderze.

Ale o tej kasie nie miałem jej mówić, upominał sam siebie. Teraz będzie ma mnie lecieć tylko dla pieniędzy. Albo mnie naprawdę obrobi.

Nie był jakimś pewnym siebie bajerantem, ale przeczuwał, że rozmowa z Petrą jest na dobrej drodze, drodze prowadzącej do łóżka, co wcale mu nie przeszkadzało. Poza perspektywą straconego telewizora, odtwarzacza DVD, wieży hi-fi oraz euro.

To ona przecież się do niego dosiadła.

Ona zaczęła rozmowę o Kunderze, stopniowo dowiedziała się od niego, że byłoby co kraść.

Jeden jego kolega tak skończył, gdy poszedł w centrum Pragi na jednego... Może nie powinienem czytać tyle kryminałów, nie przychodziłyby mi do głowy głupoty, mówił sobie Jarda.

Czerwonowłosa kelnerka zbierała z ich stołu puste, wąskie kieliszki i zapytała się.

– Podać coś jeszcze?

– Napijemy się jeszcze?

– No, ale ja nie wiem.

My się dogadamy, przyjdź za chwilę, rozwiązał sytuację Jarda.

Gdy kelnerka odeszła, Petra zaproponowała aby już poszli. Była już troszkę wstawiona. Albo możemy jeszcze napić się czegoś u ciebie.

U ciebie.

To, co być może wisiało gdzieś w powietrzu, zostało powiedziane. U ciebie. U niego. Więc to nie jest tylko rozmowa o Kunderze ale i o *Kochankach na jedną noc* Ivana Klimy. Oni będą kochankami na jedną noc albo na dłużej.

Dobrze, tylko skoczę... i idziemy.

Gdy w toalecie mył ręce, porządnie ochlapał wodą swoją twarz.

– Nie głupiej – powiedział do swojego odbicia w lustrze. Gdy miał w sobie trochę procentów, czasami rozmawiał sam ze sobą.

Po prostu jej się podobał i nic więcej w tym nie ma. Jeśli ciągle będzie się spinać i myśleć, że ona to jakaś złodziejka, głupio wyjdzie. Więc spokój.

Tłumaczenie/Prevod: Hanna Witkowska

Chciał zapłacić za wszystko. Petra wyraźnie protestowała, na koniec każdy zapłacił za siebie.

Początkowo chciał wstąpić tylko na herbatę a potem pojechać tramwajem do domu, kawałek za Želivského. Z Petrą pobyt się trochę przedłużył.

Niskopodłogowy tramwaj numer 10 uciekł im sprzed nosa. Zasugerował, że mogą iść na nogach. Petra się zgodziła.

Dwupokojowe mieszkanie z balkonem w nowej zabudowie, z portierem jak w jakimś amerykańskim filmie.

Posadził Petrę na kanapie w salonie. Włączył telewizję. Wskoczył kanał muzyczny Óčko.

– W lodówce mam białe wino – wymienił napój, na który podrywał ją już podczas drogi z kawiarni.

– Oukej.

Po chwili był z dwoma kieliszkami i już napoczętą butelką wina z napisem po hiszpańsku, którego nie rozumieli, dlatego, że nikt z nich nie znał tego języka.

Butelki nie dopili.

Po drugim kieliszku przenieśli się do sypialni.

Przypadkowo strąciła ręką butelkę położoną na stole. Reszta wina się rozlała, a butelka, jak na złość, rozbiła się na wiele małych kawałeczków.

W normalnej sytuacji zaraz poszedłby po zmiotkę, łopatkę i szmatę, ale teraz wystarczył mu tylko lakoniczny komentarz Petry: – Potem.

Gdy obudził się rano, cyfrowy budzik na nocnym stoliku wskazywał 7:38.

Jardę na szczęście głowa nie bolała, miał tylko ogromne pragnienie.

Powietrze w pomieszczeniu nie było zbyt przyjemne. Łóżko porządnie rozwalone. Na prześcieradle i poduszkach kilkach damskich włosów.

Ale Petry nie było.

Na początku pomyślał, że sobie tylko skoczyła do ubikacji czy do łazienki umyć zęby jego szczoteczką. Dopiero kilka chwil później wpadł na pomysł z okradzionym mieszkaniem.

W mgnieniu oka wyskoczył z łóżka. Drzwi od ubikacji i od łazienki zamknięte. Szybko je otworzył, ale Petry nigdzie nie było.

Przy miejscu na buty nie było ani jej butów, ani bluzy.

Prawie wpadł do salonu połączonego z kuchnią.

Tłumaczenie/Prevod: Piotr Szalaśny

Zupełnie zapomniał o rozlanym winie, w nozdrza uderzył go wstrętny odór. Jak w knajpie. Potłuczone szkło też nie wyglądało najlepiej.

Uspokoilo go, że telewizor i pozostałe sprzęty stały na swoich miejscach. Potem przypomniał sobie o Potichu Rudiša. No jasne, przecież młoda dziewczyna nie będzie taszczyła telewizora, chyba, że miałaby pod telefonem jakichś kumpli. Pięć tysięcy euro to wystarczający powód, żeby się z nim przespała, a później zwędziła kasę.

Skierował się w stronę zapełnionej biblioteczki i na pamięć sięgnął po właściwy tom.

Otworzył Potichu.

Uspokoilo go, że pieniądze były na swoim miejscu. Jednak razem a nimi do książki była wsadzona także zapisana kartka, chyba formatu pocztówkowego.

Szybko przeczytał tekst i skontrolował wzrokiem całą biblioteczkę. Ale Tajemnicza historia w Styles zniknęła.

Trzy razy przeczytał wiadomość od Petry. Ciągle nie mógł w to uwierzyć, nawet jeśli to była prawda.

Bardzo chciałam mieć „Tajemniczą historię w Styles”, pierwsze wydanie, z autografem Agathy. Strasznie mnie dręczyło, że sprzątnęłaś mi ją sprzed nosa. Przez Twojego bloga internetowego sporo się o Tobie dowiedziałam. Gdzie chodzisz na herbatę czy kawę, że przesyłka z książką już doszła. Naprawdę lubię Kunderę, chociaż nie studiuję bohemistyki. Zresztą nic z tego, co Ci o sobie powiedziałam, nie jest prawdą, więc nie uda Ci się mnie znaleźć. Berry278.

Spodziewał się okradzonego mieszkania. Czegokolwiek. Ale z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że przysiadła się do niego z powodu Agathy Christie. Nie miał bladego pojęcia, że Berry278 również jest z Czech, może nawet z Pragi.

Pomyślał, że powinien zadzwonić na policję i zgłosić kradzież, ale naraz sobie uświadomił, że nie warto. Nie zna jej nazwiska. Tak naprawdę nawet nie musiała mieć na imię Petra. A gdyby powiedział policjantom, że jakaś laska ukradła mu książkę, pewnie by go wyśmiali.

Do tego było mu z nią tak fantastycznie, nie tylko w pokoju, ale też przedtem, już w kawiarni. A jej chodziło o to, żeby zyskać książkę do kolekcji.

Wściekły poszedł do łazienki po szmatę.

Rozbita butelka wina aż prosiła się o sprzątnięcie.

Tłumaczenie/Prevod: Marta Grubka

Juan Zamora *Dopisy z modré obálky*

Z knihy/Iz knjige: *Zločin v zemi pyramid* (Nava, Plzeň 2008).

Rozálie pracovala jako sekretářka v brněnské pobočce jisté prestižní lucemburské firmy, která se zabývala řadou věcí, jejich výčet by byl dlouhý, nebudeme uvádět ani příklad.

Mladá Rozálka byla v práci oblíbená, nevěděla o nikom, kdo by ji neměl rád. Ale když poznala Milana, zaslechla občas nepříjemné poznámky, že mladá kočka sbalila starého bohatého kocoura, aby se dobře měla. Poznámek přibývalo, když se po třech měsících za bohatého Milana vdala.

„Už nebude dělat u nás ve firmě, bude si doma sedět někde u bazénu jako správná panička, a zatímco její manžel bude vydělávat peníze, aby měla ta koza co do huby, ona si bude do vily zvat milence,“ pomlouvala slečna Škrobáčková, která se ještě nedávno s Rozálií Chmelařovou kamarádila. Jenže jakmile se stala z Chmelařové Halámková, pustila si jazyk na špacír.

S flákáním u bazénu však neměla slečna Chmelařová vůbec pravdu, Rozálie nedala výpověď, ani nechtěla zkrátit pracovní úvazek, dál chodila do kanceláře, i když jí manžel opravdu nabídl, že by mohla zůstat doma.

Jenže Rozálka namítla, že chce být taky mezi lidmi. Takhle by byla doma pořád sama, zatímco Milan bude na služebních cestách. Ani poznámka o milenci nebyla pravdivá, Milana milovala a rozhodně mu nebyla nevěrná. Když už jsme u toho, Halámkovi sice opravdu bydleli ve vile, ale bazén neměli. A pokud jde o majetek, polovina měla připadnout Milanově sestře Ivaně, polovina skutečně Rozálii.

Manželství se dařilo, občas se sice pohádali kvůli maličkosti, jako když se žena vykašlala na nákup, ale to se přece stává občas i těm nešťastnějším a nejzamilovanějším, mezi něž se Rozálie rozhodně řadila.

Jenže pak našla čtyři měsíce po svatbě ve schránce světle modrou obálku, na které byla strojopisem napsaná její adresa. Jiné psaní toho dne ve schránce nenašla, obálku roztrhla hned v rozlehlém obýváku vily při sledování televize.

Dopis psaný na stroji nebyl nijak dlouhý, jeho text byl však velmi jasný. Oznamoval paní Rozálii, že jí je Milan nevěrný. Víc nic.

Někdo si ze mě zřejmě vystřelil, pravděpodobně člověk, který nám nepřeje. Závidí nám, jak jsme šťastní, spokojení, jak se máme rádi a možná mi nepřeje, že je Milan bohatý, že si můžeme koupit, co chceme, že mi koupil auto, že pisatel anonymu musí jezdit do práce autobusem, že to klidně můžeme být třeba.... Škrobáčková! Ta mrcha, ano, ona určitě napsala tenhle odporný anonym!

Na druhou stranu, pokračovala ve svých úvahách Rozálie, je pravda, že poslední měsíc je Milan na služebních cestách mnohem častěji než dříve. Pochopitelně si nevedu žádnou statistiku, ale skoro bych dala ruku do ohně, že za posledních třicet dnů spal doma maximálně desetkrát, zatímco dříve byl za práci nejvýše deset dnů do měsíce.

Teď se to obrátilo. Četla už jsem tolik milostných, ale i detektivních příběhů o manželích, co jezdí příliš často na služební cesty nebo chodí večer na služební schůzky, a vždy jsem si říkala, že je to jen literatura, něco, co mě prostě nikdy nemůže potkat. A teď mám pocit, že jsem hrdinkou podobného příběhu.

Pokud je tedy anonym opravdu pravdivý, proč nevedl žádné podrobnosti? Nezmínil jméno Milanovy milenky, neuvádí žádné podrobnosti. Jedna jediná věta. Měla bych se podívat na razítko poštovního úřadu na obálce, uvažovala. Tak se to dělá, když přijde anonym nebo vyděračský dopis, a už sahala po modré obálce, která ji připomněla *Pošťáckou pohádku* Karla Čapka, kde se něco o modrých obálkách psalo, jen si už nepamatovala co.

Zjistila, že dopis byl podán minulého dne ve zdejším městě. To mi tedy moc nepomohlo. Ale stejně. Nemůžu prostě uvěřit tomu, že by mi byl Milan nevěrný. Vždyť neuplynulo mnoho měsíců ode dne, kdy jsme si na radnici řekli své *ano*. Pěkný den to byl, vzpomínala. Jemu šla za svědka nevlastní sestra Ivana, kterou jeho rodiče adoptovali, pocházela z dětského domova; zjistili totiž, že už nemohou mít další dítě. Mně šla za svědka ségra, skvělá holka, přijela až odněkud z Jižní Ameriky, jen aby mohla být své sestřičce na svatbě.

Sotva jsme vyšli ze síně, už spěchala na nádraží, aby nasedla s přítelem jménem José na vlak do Prahy, kde měli den strávit a pak zase zpátky do teplých krajů. Dokonce nám nabídli, abychom jeli k nim na dovolenou, jenže Milan už sehnal dvě letenky na Korsiku.

Z příjemného vzpomínání ji vyrušil manželův příchod.

„Ahoj zlatíčko, jak si se beze mě měla?“ políbil ji na tvář. Napadlo ji, že dřív býval polibek delší.

„Dobře, díky a ty?“ zajímala se.

„Strašná fuška, představ si, že jsme na Ruzyni čekali tři hodiny, než přiletí partneři z Austrálie, protože mělo jejich letadlo zpoždění.“

„Chudinko malej. A máš hlad?“ zeptala se, i když zatím nestihla připravit večeři.

„Mám,“ souhlasil a znovu ji políbil.

Zdálo se jí, že voní dámským parfém, ale nechtěla se Milana vyptávat na podrobnosti. Jednak by řekl, že žálí, což by byla pravda, pak se bála, že by jí neřekl pravdu, a než ho nutit, aby jí lhal, radši se ani neptala. Možná zvláštní úvaha, ale ona muže milovala, proto se neptala.

Co oči nevidí, to srdce nebolí.

V práci se na anonym snažila moc nemyslet, byla ráda, že manžel jednou přišel domů, raději se věnovala svým povinnostem.

Druhé modré obálky si ve schránce nejdříve vůbec nevšimla, protože byla mezi řadou protivných letáků informujících o skvělých akčních slevách hypermarketů, kromě toho přišel dopis od sestry, psala, že jela s Josém na Kubu, přiložila i jednu fotografii, kde byli společně vyfoceni každý s obrovským doutníkem v ruce, v pozadí tržiště jak v díle majora Zemana, který točili na Kubě.

Hlavně, že si vás tam Fidel nenechal, napadlo Rozálii, když se podívala, za kolik nabízí v hypermarketu nízkotučné čerstvé mléko. Ne, nebyla blbá pipka, co nemá přehled o světovém dění. V době, kdy se odehrával tento příběh, byl skutečně ještě u moci Fidel Castro.

A pak si obálky všimla. Roztrhala ji, bylo jí jasné, že jde opět o anonym. Adresa byla stejně jako včera napsaná na psacím stroji. Dopis byl tentokrát delší než minule, i když nic konkrétního opět nepsal. Na obálce zase razítko jedné brněnské pošty.

Osoba, která dopis napsala, se ptala, jak Rozálii potěšilo včerejší psaní. Jestli s manželem o nevěře mluvila. A jestli by ji zajímalo, kdo je Milanova milenka.

Včera byla ještě ochotna věřit, že dopis je jen snůška lží někoho zlého, jenže dnes měla už jiný názor. Zavolala na mobilní telefon manželovi, aby se ho zeptala, kdy přijde domů. Přestože nechala mobil několikrát vyzvánět, její choť hovor nevzal. Až po necelé hodině ji zavolal:

„Promiň, lásko, ale přijedu až zítra, doufám, že se nezlobíš. Promiň, ale já už musím končit.“

Chtělo se jí zavolat do manželovy firmy, jestli je pan ředitel skutečně na služební cestě nebo se věnuje firemní aktivitě, ale nakonec myšlenku zavrhla.

Nemůže přece jen dopisy psát ta protivná Škrobáčková, případně kdokoliv jiný z našeho podniku? Co když je prostě Milan ve firmě poslední dobou opravdu jen více pracovně

vytížený, takže na mě nemá tolik času. To je přece možné. V práci mi ho pár lidí prostě nepřeje, zřejmě si myslí, že mi ublíží, když mi budou posílat podobné anonymy. A ty dopisy mi skutečně ubližují. Potřebuju vědět, že má jen mě, že ty dva anonymy nejsou pravdivé. Nemám do firmy přece jenom zavolat, abych se informovala, co dělá šéf?

Radši ne, rozhodla se a sedla k počítači, aby sestře napsala e-mail.

Nedočkávatě přiběhla ke schránce, chtěla vědět, jestli v ní opět bude anonym. Manžel přišel až ráno, povídal, jak je šíleně utahaný, nebyla s ním žádná řeč, sotva se pozdravili, Rozálie spěchala do práce.

Modrá obálka opět ve schránce byla. Nic víc. Tentokrát ji rozlepila už u schránky. Zase psací stroj. Uvnitř nebyl dopis jako minule, ale fotografie. Jedna jediná fotografie, barevná, pohlednicového formátu, která zastihla jejího manžela a jakousi velice půvabnou a přitažlivou slečnu, jak se objímají před pražskou kavárnu Gomet.

Jasně podnik poznala, ještě než byli svoji, jeli se podívat do Prahy na jeden muzikál a po představení šli do této kavárny.

V první chvíli chtěla fotografii okamžitě roztrhat, vyhodit ji do koše a zkusit zapomenout, ale pak se rozhodla, že bude lepší nechat si ji, třeba se jí bude hodit. Ve vile si nalila pořádnou sklenici Milanovy oblíbené ruské vodky, alkohol na ni začal rychle působit.

Manželovi volat nechtěla, ozval se ostatně sám, přijede až zítra večer, omlouval se.

Rozálie se rozhodla vypravit se do Prahy, aby se poptala v kavárně Gomet.

Ráno zavolala do práce, že ji bolí hlava. Byl pátek, slíbila, že pokud jí bude dobře, přijde do kanceláře mimořádně v neděli, aby splnila úkoly, které měla udělat dnes. Souhlasili. Rozálie byla dobrá pracovnice, zatím nikdy nebyla nemocná, jeden den nepřítomnosti ve firmě ji byli ochotni tolerovat, i kdyby v neděli nepřišla.

Hlava ji sice trochu opravdu bolela, vypila víc vodky, než se sluší na mladou dámu, ale i tak nasedla do auta a vydala se směr Praha. Před jedenáctou dojela na okraj hlavního města, kde auto nechala na záchytném placeném parkovišti na Jižním Městě, metrem ze stanice Opatov a pak kousek tramvají se dopravila až do kavárny Gomet. V krásné růžové kabelce, která se hodila k jejímu sáčku a sukni, měla fotografii ze včera doručené modré obálky.

Posadila se u zadního stolku, objednala si vídeňskou kávu, zapálila si, i když normálně kouřila jen při dobrém červeném vínečku, a když servírka přišla s požadovanou kávou, ukázala jí dvou set korunovou bankovku.

„Chcete platit?“ nepochopila.

„Kdepak, platit. Potřebuju vaší radu,“ a ukázala servírce fotografii.

„Občas sem zajdou, naposled tu byli včera večer, počkejte.“ vzpomínala. „Jo! Nechali si objednat taxíka, protože von byl prej unavený.“

„Unavený?“ chytla se hned Rozálie. „Takže si zavolali taxi. Vy jste jim ho objednávali?“ zajímala se.

„Jo, jo,“ přikyvovala. „Jsme dohodnutý s jednou firmou, že když si chce něk...“ zastavila se, protože u sousedního stolku na ni mávala dvojice důchodkyň.

Za minutku byla zpátky a pokračovala: „Takže, zavolali jsme do té firmy a za chvíli přijel taxík.“

Rozálie uvažovala, co má dělat. Vzpomínala na podobné příběhy. Jenže to bylo jen pohodové čtení v posteli, jenže teď... Ale něco ji napadlo: „Slečno, potřebovala bych, abyste do té firmy zavolala a řekla jim, že ten pán a... no.... dáma si v autě něco zapomněli, že potřebujete, aby sem ten taxikář, co nejdřív přijel, že mu normálně zaplatí jízdné z místa, kde právě je až sem do kavárny. Ano?“

„Pokusím se,“ řekla servírka a vzala Rozálce z ruky dvoustovku.

Servírka se vrátila po pěti minutách. „Taxikář přijedete asi za hodinu,“ řekla.

„Dobře, počkám tu na něj. Dala bych si, prosím, ještě jednu kávu.”

Dorazil za sedmdesát devět minut. Vešel do kavárny, oslovil servírku a ta ukázala na Rozálii. Taxikář k ní přišel a oslovil ji:

„Prej si u mě dva lidi včera něco zapomněli,” řekl.

„Posaďte se,” řekla mu.

„Jak myslíte, ale zaplatíte mi za čekání.”

„Jasně,” rychle souhlasila, protože na penězích jí momentálně vůbec nezáleželo.

„Tak vo co de?” staral se.

„Potřebuju vědět, kam ti dva včera jeli. Kam jste je vezl?” a ukázala mu fotografii.

„Počkat, počkat. Co to na mě zkoušíte, milá zlatá? Já sem taxikář, ne nějaký donašeč.”

„Ale no tak,” usmála se, jak nejlépe uměla, a vytáhla z peněženky stejnou bankovku, jako dostala servírka.

„Ale mladá pani, já bych se opravdu nerad do něčeho namočil. Jestli chcete vědět, kam sem ty dva vez, tak vám to klidně povím, ale víc s váma nechci mít společnýho. A šmytec!”

„Kam?” zeptala se a on jí adresu pohotově sdělil.

„Vezmete mě tam?”

„Jak je libo,” usmál se. „Ať žije dobrý ryto. Je to pěkně daleko,” řekl škodolibě.

V ucpaných pražských ulicích, když stáli už půl minuty na červené, mu položila otázku:

„O čem se v autě bavili?”

„To si jako mám pamatovat? Víte vy vůbec, kolik vozím lidí?” Ale aniž by ho pobízela pověděl: „Seděli vzadu vedle sebe, já je neposlouchal.”

Po dlouhé jízdě zastavil před ošklivým starým činžovním domem. „A jsme na místě.”

Posadila se na lavičku před činžákem a přemýšlela. Ta mrcha vůbec nemusí bydlet v tomhle nepřívětivě pěkném domě, ale široko daleko je tu jenom tenhle jediný činžák, pravděpodobně asi bydlí v tomhle baráku a je možné, že v něm právě teď je dokonce i můj manžel, což rozhodně není nijak příjemná představa pro... To by nebylo příjemné pro nikoho, nechtěla si přiznat žárlivost.

Přistoupila ke zvonkům. Dvanáct příjmení. Dvanáct pro ni nic neříkajících příjmení a mezi nimi možná i příjmení jeho milenky. Co mám jen dělat? Potřebuji přece vědět, jestli v tomhle paneláku bydlí. Ale proč vlastně? Proč jsem vlastně do Prahy jezdila? Snad že jsem pořád doufala. Ano, doufala. Ale teď chci získat jasný důkaz. Jasný důkaz o nevěře a pak se uvidí, co dál.

Štěstí jí přálo, k činžáku přicházel asi šedesátiletý pán, určitě mi pomůže, ujišťovala se Rozálie. Pozdravila ho, ukázala mu fotografii a zeptala se, jestli tu ta slečna bydlí.

„Proč to potřebujete vědět?” zajímal se.

„Ten pán, to je můj bratr, žije s ní, a jí je přijela navštívit. Jenže neznám její příjmení. Víte, já se s bráchou pohádala, nezajímalo mě, jak se ta holka jmenuje, ale teď se chci usmířit a poznat i jeho přítelkyni,” vymýšlela si, co jí právě napadlo.

„Bílčíková,” odpověděl pán a vstoupil do domu, aniž by se zeptal, jestli chce Rozálie jít dál.

Zase si sedla na lavičku a přemýšlela, co by měla podniknout. Zná její příjmení, vím, kde bydlí, ale nemám tušení, co s tím dělat.

A pak jí napadlo, že by mohla zkusit zazvonit na Bílčíkovou. Schovám se za strom a počkám si, až půjde otevřít, plánovala. Ale co když se mi ozve jenom v mluvítku, nevím přece, co bych jí vlastně řekla a pod jakou záminkou ji donutila, aby mi šla otevřít. Nebo může také vykouknout z okna, uvidí mě a může mě spatřit i Milan. Ne, to rozhodně není dobrý nápad.

Seděla na lavičce a přemýšlela, co má udělat. Váhala, jestli zazvonit, nebo ne. Uvažovala, že by se na vše vykašlala a odjela domů, zkusila zapomenout na příjmení Bílíčková, na odporné anonymy, na fotografii před kavárnou Gomet. Ale když pobývala na lavičce už přes hodinu, všimla si, že slečna Bílíčková i manžel jsou na chodbě před vchodem, hbitě vstala a schovala se za strom.

Připadala si jako v nepovedeném špionážním příběhu, ale měla možnost sledovat ty dva, jak se drží za ruce a nasedají do fabie, která pravděpodobně patřila manželově milence.

Ale kam jen jedou? chtěla vědět.

Neuvědomila si, že Milan pravděpodobně někde zaparkoval svoje auto, pro které jeli, protože z kavárny dorazili taxíkem.

Už ji nebavilo být schovaná za stromem, fabie stejně odjela. Rozhodla se dojít pěšky na nejbližší autobusovou zastávku, dopravit se na záchytné parkoviště a pak domů.

Velmi ji překvapilo, když doma našla sedět v křesle manžela.

„Ty už jsi doma?“ divila se.

„Jo,“ odpověděl. „Jak ses měla v práci?“ zajímal se.

„Dobře,“ řekla stručně, protože na nějaké dlouhé rozhovory s mužem neměla náladu.

„Nepřišel mi dopis?“ ptala se. Ve schránce nenašla modrou obálku, což ji trochu překvapilo.

Večer se rozhodla, že manžela zabije. Můžu mu říct, že vím o nevěře. On se s ní rozejde, ale za měsíc, za dva, časem... se objeví jiná, s kterou mě bude opět podvádět. Zabiju ho. Nechtěla zabít jeho milenkou, ne, tu kočička nechám žít, ale Milana chci zabít. Prostě ho zabiju. Jen je ještě otázka jak. A pak se vydala k velké policiče s knihami, vyndala spoustu českých, ale i zahraničních detektivek, sedla si do obýváku, zatímco manžel byl v pracovně a četla. Četla nebo jen listovala celou noc, zatímco manžel spal.

Plán sice nakonec nebyl nijak originální, ale Rozálka Halámková byla spokojena. Rozhodla se zopakovat si výlet do Prahy. Ale nechtěla se znovu podívat ke kavárně Gomet a činžáku, ve kterém bydlela Milanova Bílíčková, nýbrž měla v plánu pořídít si střelnou zbraň, kterou manžela zastřelí. Nikdy sice nestřílela, pomalu ani na pouti do růží, ale řekla si, že všechno je jednou poprvé. Stačí si zajít do lesa a střílet do stromu. Vždyť jde koneckonců o jednu jedinou ránu.

V sobotu měla volno, manžel byl sice stále doma, Rozálie mu řekla: „Musím dneska výjimečně do práce, pracujeme na jedné zakázce pro lucemburskou centrálu, přijdu asi hodně pozdě, takže se ti budeme po mně jistě stýskat.“ usmála se.

„To víš, že bude,“ řekl a odpověď by zněla upřímně, kdyby ho včera nezahlédla v Praze, schovaná za stromem.

„Tak se tu měj hezky,“ a už spěchala do svého auta.

Ponechme staranou, jak sehnala zbraň, pistoli získala, cena se jí sice nezdála příliš příjemná, ale mohli ji natáhnout ještě víc, hlavně, že nikde o koupi nebyl žádný záznam, samozřejmě ji sehnala nelegálně. I v neděli řekla, že musí jít do práce, skutečně jela, ale ještě před tím se stavila na benzínce, koupila si kávu v plechovce, s vypitou plechovkou se vypravila do nedalekého zcela opuštěného lesíka a dospěla k názoru, že střílení ji docela jde.

„Teď už zbývá jen vyčkat na vhodnou příležitost,“ řekla dubu, ale ne nadarmo se říká *mluvit do dubu*, strom byl mlčenlivý.

Vhodná příležitost se v pondělí nenaskytl, manžel už zase odjel na služební cestu, Rozálie mu nevěřila, ale už ji to bylo jedno. Ještě před pár dny by ji vůbec nenapadlo Milana zabít, ale teď už tou myšlenkou byla přímo posedlá.

Ve schránce opět modrá obálka. Roztrhla ji a podívala se, co anonym psal tentokrát. V dopise se psalo, jestli už si Rozálii zjistila, jak se jmenuje milenka jejího manžela.

Přijel v úterý ráno a řekl, že je unavený, takže celý den stráví v posteli, málem řekla něco jízlivého, ale nakonec poznámku spolkla a šla do práce.

Z práce přišla ve stejnou dobu jako vždy, podívala se do schránky, modrou obálku nenašla. Manžel nevyspával, díval se na televizi a velmi ho překvapil pohled na pistoli, kterou jeho manželka Rozálie držela v ruce, připravena okamžitě vystřelit.

„Co to je za legráčku?“ zeptal se a rozhodně celou situaci bral s humorem.

„Žádná legráčka,“ řekla Rozálie. Musím vystřelit, jen jednou jedinkrát vystřelit, pak zavolat policii, že jsem po příchodu z práce našla manžela mrtvého, pachatelé možná odešli teprve před chvílí, mám šílený strach, ať už přijedou. Ale musím vystřelit, musím vystřelit.

„Tak o co jde?“ divil se.

Rozálie vystřelila.

Střelila se do hlavy. Vskutku velmi nepěkný pohled.

Pak už sáhla po telefonním sluchátku. Nikdy se sice nevěnovala hraní, nešlo ji ani recitování, ale i tak se jí podařilo být pěkně hysterická, pánové slíbili, že co nejdříve přijedou. S rukavicemi na ruku otevírala všechny zásuvky, vyházela papíry a pak schovala pistoli v pokoji pro hosty pod postelí. Pochopitelně se jednalo jen o provizorní úklid, byla připravena, že zbraň co nejdříve dostane na jiné daleko bezpečnější místo, ale už zaslechla zvuk policejní sirény. Asi přijíždí hlídkový vůz, pomyslela si. Musím zachovat chladnou hlavu, nesmím říct nic špatného. Prostě jsem přijela z práce domů a našla manžela mrtvého. O jeho milence se samozřejmě nebudu zmiňovat, něco takového nemůžu udělat. Ani o dopisech v modrých obálkách jim nic nepovím.

Ozval se zvonek. Podívala se z okna. Před domem stál služební policejní vůz.

Od vraždy Milana Halámka uplynulo deset dní. Kriminalisté pátrali, pátrali, ale bez úspěchu.

Slečna Bílčíková vystoupila z červené fabie, kterou zaparkovala před brněnským panelákem. Odemkla si, vyjela výtahem do třetího patra, přišla k jednomu z bytů a zazvonila. Otevřela ji asi dvacet pětadvacetiletá sslečna.

„Ahoj,“ objaly se a slečna Bílčíková za sebou zavřela dveře.

„Co dědictví?“ zajímala se.

„Jo, všechno bude brzo v pořádku, láska.“

„Ale dědiš přece jenom půlku, ne?“ vyzvíдалa slečna.

„Jo, ale jestli se vraždu podaří dokázat, dostanu celý dědictví po Milanovi,“ informovala.

„Počkej, ale co by si dělala, kdyby Rozálie zastřelila i mě?“

„Nezastřelila,“ řekla Ivana. A kdyby, byla bych bez milenky, ale asi by byla větší šance, že se policii podaří dokázat vraždu Rozálii, takže bych se nemusela spokojit jen s půlkou dědictví, ale měla bych celé. Ale i tak se mám dobře, půlka dědictví a mám i Markétu Bílčíkovou, uvažovala a raději přešla k jinému tématu: „Měla bych napsat bytovému družstvu, že se stěhuju do Francie. Přece jsme si slibovaly, že si koupíme vilu někde na Riviéře,“ usmívala se Ivana Halámková.

„Dobře, ale to nespěchá,“ namítla slečna Bílčíková.

„To ne, ale co nejdřív dopis napíšu.“ skutečně si pak sedla k psacímu stroji, aby napsala družstvu, že je byt na prodej. Dopis vložila do modré obálky.

Juan Zamora *Listy z niebieskiej koperty*

Z książki/Iz knjige: *Zločin v zemi pyramid* (Nava, Plzeň 2008).

Rozalia pracowała jako sekretarka w brneńskim oddziale prestiżowej luksemburskiej firmy, która zajmowała się wieloma sprawami. Ich wyliczenie byłoby długie, nie będziemy podawać żadnych przykładów.

Młoda Rozalka była lubiana w pracy. Nie знаła nikogo, kto by jej nie lubił. Ale kiedy poznała Milana, niejednokrotnie słyszała nieprzyjemne głosy, że młoda kotka zarwała starego, bogatego kocura, żeby się mieć dobrze. Komentarzy było jeszcze więcej, gdy po trzech miesiącach wyszła za niego.

„Już nie będzie pracować u nas w firmie, teraz będzie siedzieć w domu, gdzieś koło basenu, jak prawdziwa damulka. W czasie gdy jej mąż będzie zarabiał pieniądze, żeby ta koza miała co do gęby włożyć, ona będzie do willi zapraszać kochanków,” obmawiała ją Škrobáčková, która jeszcze do niedawna kolegowala się z Rozalią Chmelařovą. A gdy z pani Chmelařovej została Halámkovą, całkiem przestała zważać na to, co mówi. Ale pani Chmelařová nie chciała leniuchować przy basenie. Rozalia nie złożyła wypowiedzenia, nie chciała nawet zmniejszyć etatu. Dalej chodziła do biura, nawet wtedy, gdy jej mąż zaproponował jej, że mogłaby zostać w domu.

Ale Rozalia odmówiła, chciała być między ludźmi. Często byłaby w domu sama, podczas wyjazdów służbowych Milana. Komentarz o kochanku także nie był prawdą. Kochała Milana i oczywiście była mu wierna. Gdy jesteśmy już przy tym, Halámkowie naprawdę mieszkali w willi, ale nie mieli basenu. A jeśli chodzi o majątek, połowa miała przyspać siostrze Milana – Iwanie, a połowa faktycznie Rozalii.

Małżeństwo było szczęśliwie, czasami się oczywiście pokłócili o jakieś głupoty, gdy zapomnieli o zakupach, ale to się przecież dzieje i tym najszczęśliwszym i najbardziej zakochanym, Rozalia czuła się jak jedna z nich.

Jednak cztery miesiące po ślubie znalazła w skrzynce pocztowej jasnoniebieską kopertę, na której maszynopisem był napisany jej adres. Innych listów w tym dniu nie było. Kopertę rozerwała szybko, w rozległym pokoju dziennym, podczas oglądania telewizji.

List pisany był na maszynie, nie był długi ale jego przekaz był oczywisty. Oznajmiał Rozalii, że Milan jest jej niewierny. Nic więcej.

Ktoś się jawnie ze mnie nabija. Najprawdopodobniej człowiek, który nam źle życzy. Zazdrości nam tego jak jesteśmy szczęśliwi, zadowoleni, jak się kochamy, i pewnie jest zawistny, bo Milan jest bogaty, że możemy sobie kupić co chcemy, że mi kupił auto, że nadawca anonimu musi jeździć do pracy autobusem, że to spokojnie może być... Škrobáčková! Ta dziwka, tak, ona na pewno napisała ten wstrętny anonim!

Z drugiej strony, kontynuowała swoje rozważania Rozalia, to prawda, że przez ostatni miesiąc Milan jest na wyjazdach służbowych dużo częściej, niż wcześniej. Oczywiście nie prowadziła żadnych statystyk, ale dałaby sobie rękę uciąć, że w ciągu ostatnich trzydziestu dni, spał w domu maksymalnie dziesięć razy, a wcześniej był w pracy najwyżej dziesięć dni w miesiącu.

Teraz się to odwróciło. Czytałam już tyle miłosnych i kryminalnych historii o małżeństwach, co często jeżdżą na wyjazdy służbowe albo chodzą wieczorami na spotkania służbowe, ale zawsze sobie mówiłam, że to tylko literatura, coś, co mnie po prostu nie może spotkać. A teraz czuję się, jakbym była bohaterką podobnej historii.

Jeśli ten anonim jest naprawdę prawdziwy, to dlaczego nie ma w nim żadnych szczegółowych informacji? Nie wspomina o imieniu kochanki Milana, nie podaje żadnych szczegółów. Jedno, jedyne zdanie. Powinnam spojrzeć na pieczętkę urzędu pocztowego na kopercie, pomyślała. Tak się robi gdy się otrzyma anonim lub list z szantażem. W momencie

szukała po niebieskiej kopercie, która jej przypomniała Bajkę o dobrym listonoszu Karla Čapka, gdzie było coś napisane o niebieskich kopertach, ale już nie pamiętała co.

Stwierdziła, że list był nadany wczoraj w tym mieście. To mi wiele nie pomogło. Wciąż nie mogę po prostu uwierzyć w to, że Milan mógłby mnie zdradzać. Przecież nie upłynęło wiele miesięcy od dnia, gdy w Urzędzie Miasta powiedzieliśmy sobie tak. To był piękny dzień, wspominała. Jego świadkiem była jego przyrodnia siostra – Iwana, którą jego rodzice adoptowali, gdy stwierdzono, że nie mogą mieć kolejnych dzieci. Jej własnym świadkiem była siostra, ładna dziewczyna, która przyleciała aż z Ameryki Południowej, tylko po to, aby być na ślubie swojej siostrzyczki.

Kiedy tylko wyszli z sali, już biegła na dworzec, żeby wsiąść do pociągu do Pragi ze swoim przyjacielem o imieniu José, gdzie mieli spędzić dzień a potem z powrotem lecieć do ciepłych krajów. Nawet zaproponowali nam, abyśmy lecieli z nimi na wakacje, ale Milan już miał dwa bilety lotnicze na Korsykę.

Przyjemne wspomnienia przerwał przyjazd męża.

„Cześć kochanie, jak Ci było beze mnie?” Pocałował ją w policzek. Przyszło jej na myśl, że kiedyś całus był dłuższy.

„Dobrze, dzięki, a kiedy?” zainteresowała się.

„Straszna robota, wyobraź sobie, że na lotnisku Ruzyně czekaliśmy trzy godziny na przylot partnerów z Australii, dlatego, że ich samolot miał opóźnienie.

„Biedactwo malutkie. Jesteś głodny?” Zapytała się, choć nie zdążyła przygotować obiadu.

„Tak,” odpowiedział i znowu ją pocałował.

Wydawało się jej, że czuje od niego damskie perfumy, ale nie chciała Milana wypytywać o szczegóły.

Powiedziałaby, że jest zazdrosna, co byłoby prawdą, ale bała się, że nie powiedziałaby jej prawdy. Nie chciała zmuszać go do kłamstwa, lepiej się nie pytać. Może i wyjątkowa refleksja, ale ona męża kochała, dlatego się nie pytała.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

W pracy starała się zbytnio nie myśleć o anonimie, była szczęśliwa, że mąż jednak przyszedł do domu, wołała poświęcać się swoim obowiązkom.

Drugiej niebieskiej koperty w skrzynce pocztowej nawet z początku nie zauważyła, dlatego że była pomiędzy kupą ulotek informujących o fantastycznych zniżkach w hipermarketach. Oprócz tego przyszedł list od siostry, pisała, że była z Jósem na Kubie, dołączyła jedno zdjęcie, gdzie byli oboje, każdy z ogromnym cygarem w dłoni, a za nimi bazar jak w serialu o majorze Zemanu, które kręcono na Kubie.

Dobrze, że was tam Fidel nie szukał, pomyślała Rozalia, kiedy spojrzała ile kosztuje w hipermarkecie niskoprocentowe mleko. Nie, nie była głupią pipką, która nie ma zielonego pojęcia o wydarzeniach na świecie. W czasie, kiedy ta historia miała miejsce, Fidel Castro naprawdę był jeszcze u władzy.

A potem zauważyła kopertę. Roztargała ją, było dla niej oczywiste, że to znowu anonim. Adres był taki sam jak wczoraj, napisany na maszynie. List tym razem był dłuższy niż poprzednio, choć nie zawierał żadnych konkretów. Na kopercie znowu pieczętka jednego z brneńskich urzędów pocztowych.

Osoba która napisała list pytała, czy sprawiła wczoraj Rozalii przyjemność. Czy rozmawiała

z mężem o cudzołóstwie. I czy chciałaby wiedzieć, kim jest kochanka Milana.

Wczoraj była jeszcze w stanie uwierzyć, że list to tylko garść kłamstw od kogoś złego, ale dzisiaj miała już inny punkt widzenia. Zadzwoiła na komórkę do męża żeby się go zapytać, kiedy wróci do domu. Wydzwaniała do niego kilkakrotnie, nie oddzwonił. Dopiero

po prawie godzinie zadzwonił: „Wybacz, kochanie, ale przyjadę dopiero jutro, mam nadzieję, że się nie gniewasz. Przepraszam, ale muszę już kończyć.” Chciała zadzwonić do firmy męża, ale dyrektor pewnie jest na wyjeździe służbowym albo poświęca się działalności na rzecz firmy, ostatecznie porzuciła ten pomysł.

Tych listów nie musi przecież pisać tylko ta irytująca Škrobáčková, przecież może to robić ktokolwiek inny z naszej firmy. Co zrobić, jeśli Milan jest naprawdę w firmie i ma więcej pracy niż zwykle, więc nie ma dla mnie tyle czasu. To jest przecież możliwe. W pracy niektórzy ludzie źle mi życzą, może wydaje im się, że będzie mnie bolało, kiedy będą posyłać mi anonimy. A te listy mnie naprawdę ranią. Muszę wiedzieć, że ma tylko mnie, że te dwa anonimy nie są prawdziwe. Nie mogę przecież zadzwonić do firmy tylko dlatego, żeby się dowiedzieć co robi szef?

Lepiej nie, zdecydowała i usiadła przed komputerem aby napisać e-maila do siostry.

Z niecierpliwością pobiegła do skrzynki pocztowej, chciała wiedzieć, czy znowu będzie w niej anonim. Mąż przyszedł dopiero rano, powiedział, że jest szalenie zmęczony. Nie było z nim żadnej rozmowy, ledwo się przywitał. Rozalia śpieszyła się do pracy.

Niebieska koperta znowu leżała w skrzynce. Nic więcej. Tym razem rozlepiła ją już przy skrzynce. Znowu na maszynie do pisania. Wewnątrz nie było, jak poprzednio, listu, ale zdjęcie. Jedna jedyna fotografia, kolorowa, formatu pocztówkowego, która przyłapała jej męża z jakąś bardzo uroczą i atrakcyjną kobietą, jak się przytulali przed praską kawiarnią Gomet.

Znała ją, jeszcze zanim wzięli ślub, pojechali do Pragi zobaczyć jeden musical a potem poszli do tej kawiarni.

W pierwszej chwili chciała fotografię od razu rozerwać, wyrzucić do kosza i spróbować zapomnieć, ale potem zdecydowała, że będzie lepiej, zostawić ją sobie, może się później przydać. W willi nałała sobie porządną szklankę ulubionej rosyjskiej wódki Milana. Alkohol zaczął szybko na nią działać.

Nie chciała dzwonić do męża, w końcu sam zadzwonił, przyjedzie dopiero jutro wieczorem, przepraszał. Rozalia postanowiła udać się do Pragi, żeby dowiedzieć się czegoś w kawiarni Gomet.

Rano zadzwoniła do pracy, że boli ją głowa. Był piątek, obiecała, że jeśli będzie się dobrze czuć, przyjdzie do biura wyjątkowo w niedzielę, aby zrobić to, co miała do zrobienia dzisiaj. Zgodzili się. Rozalia była dobrą pracownicą, dotychczas nigdy nie była chora, jeden dzień nieobecności w firmie byli skłonni tolerować. Nawet gdyby i w niedzielę nie przyszła.

Głowa ją naprawdę trochę bolała, wypila więcej wódki niż przystoi młodej kobiecie, ale i tak wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku Pragi. Przed jedenastą dojechała na przedmieścia stolicy, gdzie zostawiła auto na zamkniętym, płatnym parkingu w dzielnicy Jižní Město. Metrem ze stacji Opatov a potem kawałek tramwajem i dojechała aż do kawiarni Gomet. W ślicznej, różowej torebce, która pasowała do jej portfela i spódnicy miała otrzymane wczoraj zdjęcie z niebieskiej koperty.

Usiadła przy tylnym stoliku, zamówiła kawę po wiedeńsku, zapaliła sobie. Pomimo, że zdarzało jej się palić tylko przy dobrym czerwonym winku. Kiedy przyszła kelnerka z zamówioną kawą, ta pokazała jej dwustukoronowy banknot.

„Chce pani zapłacić?” niezrozumiała.

„Skądże, płacić. Potrzebuję pani pomocy,” pokazała kelnerce zdjęcie.

„Czasem tu zajrzę, ostatnio byli wczoraj wieczorem, proszę poczekać.” wspominała.

„No! Kazali sobie zamówić taksówkę, dlatego, że on był bardzo zmęczony.”

„Zmęczony?” Pochwyciła w mig Rozalia. „Więc zamówili taksówkę. Pani ją im zamawiała?” zainteresowała się.

„Tak, tak,” kiwnęła głową. „Jesteśmy dogadani z jedną firmą, że gdy ktoś chce...” przerwała, dlatego, że przy sąsiednim stoliku machała na nią para emerytek.

Za chwilę była z powrotem i kontynuowała: „A więc, zadzwoniliśmy do tej firmy i chwilę później przyjechała taksówka.“

Rozalia zastanawiała się co ma robić. Wspominała podobne historie. Ale to było dobre tylko do czytania w łóżku, ale teraz...O czymś pomyślała: „Potrzebowałabym, aby pani zadzwoniła do tej firmy i powiedziała im, że ten pan eee... no... ta pani zapomniała czegoś z auta, że potrzebuje pani, aby ten taksówkarz jak najszybciej przyjechał, że mu normalnie zapłaci z miejsca gdzie jest aż do kawiarni. Dobrze?“

„Spróbuję,“ powiedziała kelnerka i wzięła od Rozalii dwieście koron.

Kelnerka wróciła po pięciu minutach. „Taksówkarz przyjedzie za około godzinę,“ powiedziała.

„Dobrze, poczekam tu na niego. Poproszę jeszcze jedną kawę.“

Przyjechał po siedemdziesięciu dziewięciu minutach. Wszedł do kawiarni, przywitał kelnerkę a ta wskazała na Rozalię. Taksówkarz podszedł do niej i przywitał się:

„Nie przypominam sobie aby dwójka ludzi czegoś u mnie zapomniała,“ powiedział

„Niech pan usiądzie,“ powiedziała do niego.

„Jeśli pani chce, ale zapłaci mi pani za czekanie,“

„Jasne,“ szybko odpowiedziała, akurat w tym momencie nie zależało jej na pieniądzach.

„Więc o co chodzi?“ zapytał

„Muszę się dowiedzieć, gdzie ta dwójka wczoraj pojechała. Gdzie pan ich wioził?“ i pokazała mu zdjęcie.

„Poczekaj, poczekaj. Co ty na mnie próbujesz, kochana? Jestem taksówkarzem, a nie jakimś donosicielem.“

„Ach, no tak,“ uśmieła się, jak najładniej umiała i wyciągnęła z portmonetki taki sam banknot, jaki dała kelnerce.

„Ale panienko, ja naprawdę nienawidzę się w nic mieszać. Jeśli chcecie wiedzieć, gdzie wiozłem tę dwójkę, to oczywiście wam powiem, ale więcej nie chce mieć z wami nic wspólnego. I basta!“

„Gdzie?“ zapytała się a on jej szybko powiedział.

„Zawiezie mnie Pan tam?“

„Bardzo dobrze,“ uśmiechnął się. „Niech żyje dobry zarobek! To jest bardzo daleko,“ powiedział złośliwie.

Na zatłoczonej praskiej ulicy, po pół minucie stania na czerwonym świetle, zapytała go: „O czym rozmawiali w aucie?“

„Jak ja to mam pamiętać? Wie pani ile ja ludzi wożę? I nawet bez namawiania dodał: „Siedzieli z tyłu obok siebie, nie słuchałem ich.“

Po długiej jeździe stanął przed brzydką starą kamienicą. „Jesteśmy na miejscu.“

Usiadła na ławce przed kamienicą i myślała. Ta suka wcale nie musi mieszkać w tym, prawie, że wspaniałym domu, ale w sporej odległości jest to jedyna kamienica. Prawdopodobnie mieszka w tej budzie i jest możliwe, że jest w niej akurat teraz i mój mąż, i postanowiła, że nie jest to dobry pomysł dla... To nie byłoby przyjemne dla nikogo. Nie chciała się przyznać do zazdrości.

Podeszła do domofonu. Dwanaście nazwisk. Dwanaście nic jej niemówiących nazwisk a możliwe, że między nimi i nazwisko jego kochanki. Co mam teraz zrobić? Potrzebuję się dowiedzieć, czy mieszka w tym bloku. Ale właściwie dlaczego? Po co właściwie przyjechałam do Pragi? Chyba dlatego, że miałam nadzieję. Tak, nadzieję. Ale teraz chcę dostać jasny dowód. Niezbity dowód zdrady, a potem się zobaczy, co dalej.

Miała szczęście, w stronę kamienicy szedł około sześćdziesięcioletni pan. Na pewno mi pomoże, upewniała się Rozalia. Przywitała go, pokazała zdjęcie i zapytała się, czy mieszka tu ta dziewczyna.

„Dlaczego chcesz to wiedzieć?“ zainteresował się

„Ten człowiek jest moim bratem, żyje z nią, a ja przyjechałam w odwiedziny. Tylko, że nie znam jej nazwiska. Wie pan, ja się z bratem pokłóciłam, nie interesowało mnie, jak ta dziewczyna się nazywa. Ale teraz chcę się pogodzić i poznać także jego dziewczynę,“ wymyśliła, to co akurat wpadło jej do głowy.

„Bílčiková“, odpowiedział mężczyzna i wszedł do domu, nawet nie pytając czy Rozalia także chce wejść.

Znowu siadła na ławce i zastanawiała się, co powinna zrobić. Znam jej nazwisko, wiem gdzie mieszka, ale nie mam pojęcia co z tym zrobić.

A potem wpadła na to, że może spróbować zadzwonić na dzwonek Bílčikovej. Ukryje się za drzewem i poczekam, aż otworzy, planowała. Ale co jeśli odpowie mi przez domofon, nie wiem co bym jej miała powiedzieć i pod jakim pozorem zmusić, aby otworzyła. Albo może też przecież zerknąć z okna, i zobaczy mnie a może mnie zobaczyć i Milan. Nie, zdecydowanie nie jest to dobry pomysł.

Siedziała na ławce i zastanawiała się, co ma zrobić. Wahala się, czy zadzwonić czy nie. Rozważała czy tego wszystkiego nie olać i nie odjechać do domu. Spróbowała zapomnieć nazwisko Bílčiková, na odrażających anonimach, na zdjęciach przed kawiarnią Gomet. Gdy siedziała już na ławeczce ponad godzinę, spostrzegła, że Bílčiková i jej mąż są na korytarzu przed wejściem. Szybko wstała i schowała się za drzewo.

Czuła się jak w jakiejś nieudanej historii szpiegowskiej, ale miała możliwość śledzenia tej dwójki, jak trzymają się za ręce i wsiadają do Fabii, która prawdopodobnie należała do kochanki męża.

Ale gdzie oni jadą? Chciała wiedzieć.

Nie zorientowała się, że Milan prawdopodobnie ma gdzieś zaparkowane swoje auto, po które jechali, dlatego, że z kawiarni wrócili taksówką.

Już nie musiała być schowana za drzewem, Fabia odjechała. Zdecydowała dojść piechotą na najbliższy przystanek autobusowy, wrócić na strzeżony parking i wrócić do domu.

Bardzo ją zaskoczyło, kiedy w domu znalazła męża siedzącego na krześle.

„Już jesteś w domu?“ zdziwiła się.

„No,“ odpowiedział. „Jak było w pracy?“ zaciekał się.

„Dobrze,“ odpowiedziała krótko, dlatego, że na żadne długie rozmowy z mężem nie miała nastroju.

„Nie dostałam listu?“ zapytała się. W skrzynce nie znalazła niebieskiej koperty, co ją trochę zaskoczyło.

Wieczorem postanowiła, że zabije męża. Mogę mu powiedzieć, że wiem o zdradzie. On ją rzuci, ale za miesiąc, albo dwa, z czasem... pojawi się inna, którą znowu będzie oszukiwał. Zabiję go. Nie chciała zabić jego kochanki, nie, tę laskę zostawię przy życiu, ale Milana chcę zabić. Normalnie go zabiję. Pozostaje tylko pytanie jak. A potem podeszła do wielkiej półki z książkami, wyjęła masę czeskich i zagranicznych kryminałów, siadła w salonie, podczas gdy mąż był w biurze i czytała. Czytała albo tylko kartkowała całą noc, podczas gdy mąż spał.

Plan może i ostatecznie nie był oryginalny, ale Rozalia Halámková była zadowolona. Postanowiła powtórzyć wycieczkę do Pragi. Ale nie chciała się znowu przyglądać kawiarni Gomet, ani kamienicy w którym mieszkała Bílčiková Milana. Miała w planach kupić broń, którą zastrzeli męża. Jeszcze nigdy nie strzelała, nawet do pąka róży, ale powiedziała sobie, że zawsze jest ten pierwszy raz. Wystarczy przejść się do lasu i postrzelać do drzewa. Ostatecznie chodzi przecież o jeden, jedyny strzał.

W sobotę miała wolne, mąż był jeszcze cały czas w domu, Rozalia powiedziała do niego: „Muszę dzisiaj wyjątkowo iść do pracy, pracujemy nad jedną umową dla centrali

w Luksemburgu, wrócę bardzo późno, więc będziesz musiał za mną bardzo tęsknić.“ uśmiechnęła się.

„Wiesz, że będę,“ odpowiedział a jego odpowiedź brzmiała szczerze, gdyby go wczoraj nie przydybała w Pradze, schowana za drzewem.

„Trzymaj się,“ i już śpieszyła się do swojego auta.

Zostawmy to, jak zdobyła broń. Miała pistolet, cena nie wydawała się jej zbyt korzystna, ale mogli zażądać jeszcze więcej, przede wszystkim dlatego, że nie było żadnych dokumentów, rzecz jasna zdobyła ją nielegalnie.

W niedzielę też powiedziała, że musi iść do pracy. Rzeczywiście tam pojechała, ale jeszcze przed tym zatrzymała się na stacji benzynowej kupiła sobie kawę w puszce. Z pustą puszką poszła do opuszczonego lasku i stwierdziła, że strzelanie nieźle jej idzie.

„Teraz już wystarczy tylko czekać na okazję,“ powiedziała do dębu, a nie na darmo mówi się do dębu, dąb był milczący.

Dobra okazja objawiła się w poniedziałek, mąż już znowu pojechał w podróż służbową. Rozalia mu nie wierzyła, ale już ją to nie obchodziło. Jeszcze kilka dni temu do głowy by jej nie przyszło zabić Milana, ale teraz była już opętana tą myślą.

W skrzynce znowu niebieska koperta. Rozerwała ją i przejrzała się, co anonim pisał tym razem. W liście było napisane, czy Rozalia już się dowiedziała, jak nazywa się kochanka jej męża.

Przyjechał we wtorek rano i powiedział, że jest zmęczony, więc cały dzień spędził w łóżku. Prawie powiedziała coś uszczypliwego, ale ostatecznie ugryzła się w język i poszła do pracy.

Z pracy przyszła o tej samej godzinie co zwykle, popatrzyła do skrzynki na listy, nie znalazła niebieskiej koperty. Mąż nie spał, patrzył się na telewizję i bardzo go zaskoczyło, gdy zobaczył pistolet, który trzymała jego żona Rozalia w ręce, gotowa do strzału.

„Co to za żarty?“ zapytał się, całą sytuację brał zdecydowanie z humorem.

„Żadne żarty,“ powiedziała Rozalia. Muszę strzelić, tylko jeden jedyny raz wystrzelić, potem zadzwonić na policję, że po przyjeździe z pracy znalazłam martwego męża. Sprawcy może odeszli dopiero przed chwilą, szalenie się boję, niech już przyjadą. Ale muszę strzelić, muszę.

„Więc o co chodzi?“ zdziwił się.

Rozalia wystrzeliła.

Trafiła w głowę. Skutek wyglądał paskudnie.

Potem sięgnęła po słuchawkę telefonu. Choć nigdy nie zajmowała się aktorstwem, nawet nigdy nic nie recytowała, ale i tak udało się jej być dość historyczną. Panowie obiecali, że przyjadą jak najszybciej.

Z rękawiczkami na dłoniach otwierała wszystkie szuflady, wyrzucała papiery, a potem schowała pistolet w pokoju dla gości pod łóżkiem. Oczywiście to tylko prowizoryczne sprzątanie, była przygotowana, że broń jak najszybciej znajdzie inne, dużo bezpieczniejsze miejsce, ale już usłyszała dźwięk policyjnych syren. Chyba przyjeżdża wóz patrolowy, pomyślała. Muszę zachować zimną krew, nie mogę powiedzieć nic nieodpowiedniego. Właśnie wróciłam z pracy do domu i znalazłam martwego męża. O jego kochance oczywiście nie będę wspominać, czegoś takiego nie mogę zrobić. Ani o listach w niebieskich kopertach im nic nie powiem. Zabrzęczał dzwonek. Popatrzyła do okna. Przed domem stał radiowóz.

Od zabójstwa Milana Halámka upłynęło dziesięć dni. Policyjni detektywi szukali, szukali, ale bez skutku.

Bílčiková wyszła z czerwonej Fabii, którą zaparkowała przed brneńskim blokiem. Otworzyła sobie, wyjechała windą na trzecie piętro, podeszła do jednego mieszkania i zadzwoniła. Otworzyła jej około 25-letnia dziewczyna.

„Cześć,“ objęły się i Bílčiková zamknęła za sobą drzwi.

„Jak spadek?“ zainteresowała się.
„No, wszystko będzie wkrótce w porządku, kochanie.“
„Ale dziedziczysz przecież tylko połowę, no nie?“ dopytywała się dziewczyna
„Tak, ale jeśli udowodnią morderstwo, dostanę cały spadek po Milanie,“
poinformowała.
„Poczekaj, ale co byś zrobiła, gdyby Rozalia zastrzeliła i mnie?“
„Nie zastrzeliłaby,“ powiedziała Ivana. A jeżeli tak, byłabym bez kochanki, ale byłaby
większa szansa, że policji uda się udowodnić morderstwo Rozalii, więc nie musiałabym się
zadowolić tylko połową spadku, ale miałabym cały. Ale i tak jest dobrze, mam połowę
spadku,
i mam Markétę Bílčkovą zastanowiła się i przeszła do innego tematu: „Miałam napisać do
spółdzielni mieszkaniowej, że przeprowadzam się do Francji. Przecież obiecałyśmy sobie, że
kupimy sobie willę gdzieś na Riwierze,“ uśmiechała się Ivana Halámková.
„Dobrze, ale bez pośpiechu,“ powiedziała Bílčková.
„Jasne, ale jak najszybciej napiszę list.“
A potem rzeczywiście usiadła przy maszynie do pisania, żeby napisać do spółdzielni
mieszkaniowej, że jej mieszkanie jest na sprzedaż. List włożyła do niebieskiej koperty.

Tłumaczenie/Prevod: Piotr Szalaśny

KOMENTARZE TRANSLATORSKIE PREVAJALSKI KOMENTARJI

**PROZA CZESKA
ČEŠKA PROZA**

Juan Zamora

**Tłumacze
Prevajalci**

Joanna Brodniewicz

Marta Grubka

Zuzanna Rusnok

Piotr Szafaśny

Ewa Wieder

Hanna Witkowska

Do przetłumaczenia przypadł mi sam początek opowiadania „Zielona Małpa” Juana Zamory. Tekst ten jest ciekawy (oczywiście poza przyjemnością z samego czytania) także od strony językowej. Napisany młodzieżowym żargonem/slangiem. Poza rozważaniem problemu związanego ze spolszczaniem (bądź nie) imion, zastanawiałem się także nad nazwą lokalu, w którym toczy się akcja opowiadania (oryg. *Zelená gorila*). Nazwę tę jednak postanowiłem przełożyć jako „Zielona Małpa”, choć taka nazwa knajpy nie brzmi zbyt zachęcająco. Zresztą może tak ma być, bo miejsce to jest specyficzne. Problem miałem też ze słowem *pajzl*, głównie dlatego, że istnieje bardzo wiele synonimów mogących określać takie miejsce: czy to „knajpa”, „speluna”, „mordownia”, „żulernia”, „bar”, „karczma”, „lokal”, czy może i mało już używany „szynk”? „Speluna” wydała mi się najbardziej odpowiednia – to często używane słowo, mające nacechowanie pejoratywne, ale nie aż takie jak „mordownia” czy „żulernia”. Słowo *nedopalky* – oczywiście istnieje w języku polskim – to „niedopałki”, ale dużo częściej używa się „pet”, mimo że „pet” równocześnie może kojarzyć się z plastikową butelką. Wydaje mi się jednak, że jest dużo bardziej odpowiednie do kontekstu społeczno-kulturowego, w którym rozgrywa się akcja. W zdaniu, w którym mowa o pewnej zielonej roślinie odurzającej – w oryginale określanej słowem *marihuana* – poważnie zastanawiałem się nad tym, czy nie zmienić tej nazwy na „trawę”, „zioło”, „ziółko”, „maryśka”, „marysia” tudzież „zielsko” (słowa częściej występujące w slangu młodzieżowym). Jednak postanowiłem zachować tu wierność oryginałowi.

Na koniec podzielię się jeszcze pewnym spostrzeżeniem dotyczącym różnic kulturowych. W Republice Czeskiej w większości lokali do stolika podchodzi kelner lub barman i pyta, co chcemy zamówić. Autor tekstu zaznacza wyjątkowość Zielonej Małpy poprzez to, że należy w niej podejść do baru i zamówić sobie piwo – samemu (!). W Polsce jest to normalne (jedynie w restauracjach kelner podchodzi do stolika). Nie miałem jednak dobrego pomysłu, w jaki sposób przetłumaczyć tekst tak, by polski odbiorca dokładnie wiedział o co chodzi. Myślę, że i tak osoby, które kiedykolwiek były w Republice Czeskiej, zauważą tę drobną acz znaczącą kwestię.

We fragmencie opowiadania „Kochankowie na jedną noc” także napotkałem na kilka problemów translatorskich. Ponownie należało się zastanowić nad nazwami własnymi i imionami. Klasyczne pytanie – spolszczać czy nie spolszczać? Zostawiać oryginalne znaki diakrytyczne czy nie? Jak tak przetłumaczyć, by treść była zrozumiała dla polskiego odbiorcy, a równocześnie zachować styl oryginału. Pytań rzecz jasna było dużo więcej, odniosę się tu do niektórych kwestii. Nie jestem zwolennikiem spolszczania. Wolę, by *Jarda* został *Jardą* a *Petra* – *Petrą*. Problem wystąpił także przy nazwie stacji telewizyjnej, na szczęście autor zaznaczył, że jest to stacja muzyczna. Co do nazwy ulicy... jak wyglądałaby ulica „Żeliwskiego” w Pradze? W zasadzie całkiem nieźle, to nie razi, ale bądź co bądź jednak gdyby ktoś szukał (sic!) na mapie miasta stołecznego przystanku, o którym mowa w tekście to znajdzie jedynie *Želivského*. Zastanawiać by mogło tłumaczenie zwrotu *Petry Oukej*. Wyraz wprawdzie zapożyczony z języka angielskiego, ale najczęściej w Polsce występujący w formie „ok”, „okej”, ostatecznie także „ołkej”. Dwa pierwsze w ogóle nie pasowały, rozważałem więc „ołkej”. Zdecydowałem się pozostawić oryginalne *oukej*, ponieważ uważam, że jest całkowicie zrozumiałe dla polskiego odbiorcy a litera „u” może świadczyć tutaj, że słowa tego używa osoba stosunkowo młoda. Mam nadzieję, że wersję finalną tłumaczenia można czytać z przyjemnością oraz, że jest jak najbliższa oryginałowi.

Tłumaczyłem także opowiadanie Juana Zamory *Dopisy z modré obálky*. Tekst ten napisany jest mniej potocznym językiem, dzięki temu nie nastęcza aż takich trudności jak np.

Zelená gorila niemniej jednak, rzecz jasna znalazły się w nim fragmenty, o których warto wspomnieć. Na przykład tytuł książki Karla Čapka, gdzie było trzeba odnaleźć najpopularniejsze polskie tłumaczenie. Ponieważ jest to opowiadanie – kryminał, nie spolszczałem nazwisk bohaterów, sądzę, iż dorosłemu człowiekowi czeskie litery nie przeszkadzają a nawet jeśli, to na pewno nie psują mu przyjemności, którą czerpie z czytania. Stosunkowo prosty język oraz wartkość akcji tworzą z tego opowiadania naprawdę bardzo miłą lekturą do której chętnie się wraca.

Zuzanna Rusnok

Uniwersytet Wrocławski

Przetłumaczyłam jeden ze środkowych fragmentów „Zielonej małpy”. Najwięcej trudności sprawiło (i wiele dyskusji wywołało) znalezienie odpowiedniego odpowiednika nazwy dla tego miejsca (oryg. *Zelená gorila*). Czy przetłumaczyć ją dosłownie jako „Zielony Goryl”, czy zachować rodzaj gramatyczny i zrobić z goryla „małpę”? A może nazwać lokal „całkiem dziko”, czyli „Zielona Goryla”?

Kolejnym problemem były różnice w realiach – nie mamy w polskiej kulturze odpowiednika kogoś, kogo w języku czeskim określa się mianem *hospodského*. Zmuszona byłam zastąpić to słowo wyrazem „barman”, czyli tak jak nazwa się osoba podająca piwo w lokalach. Analogicznie problemy pojawiły się ze słowami *hospoda*, *desítka* i kilka innymi zwrotami związanymi z siedzeniem czy też „posiedzeniem” przy piwie. Czeski *pervitín* też nie jest tym samym, co polska „amfetamina”. (Perwityna jest mocniejszym narkotykiem, różni się działaniem i jest bardziej uzależniająca. Jest odpowiednikiem metaamfetaminy, która jednak nie jest w Polsce tak popularna.) Założyłam jednak, że standardowy odbiorca niezbyt interesuje się biochemią i postanowiłam przetłumaczyć *perník* jako „amfetaminę”.

Przetłumaczyłam też fragment „Kochankowie na jedną noc”. To tłumaczenie było dla mnie wyjątkowo ciekawe, ponieważ we wrześniu tego roku, odwiedzając autora opowiadania, miałam okazję podczas zwiedzania Pragi na własne oczy zobaczyć knajpkę czy też kawiarenkę połączoną z kioskiem z gazetami, stanowiącą wzór dla tej w opowiadaniu. To umożliwiło mi spojrzenie na opowiadanie z perspektywy autora i było oczywiście ciekawym przeżyciem.

Marta Grubka

Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej

Autor skonstruował opowiadanie „Zielony Goryl” lekko, a akcja toczy się wartko. Dlatego właśnie (jak również z powodu ciekawej tematyki) proces tłumaczenia był dla mnie niezwykle przyjemny. Nie oznacza to jednak, że był procesem łatwym – w tekście czytało bowiem wiele pułapek. Znamienne, że już przetłumaczenie samego tytułu dawało wiele możliwości; oryginalna *Zelená gorila* to „Zielony Goryl”, „Zielony Małpizson”, a może należy pozostać przy rodzaju żeńskim i stworzyć „Zieloną Małpę”? Wspólnie zdecydowaliśmy, że najlepszy, wyjściem będzie właśnie to ostatnie. Sporym wyzwaniem okazało się również słowo *perníkář* – z pewnych powodów trzeba było znaleźć dla niego odpowiednik, który uczyni je zrozumiałym również dla Polaków. Samo słowo *perník* oznacza „pervitin”, który jednak jest popularny raczej w Czechach i na Słowacji, przez co tłumaczenie „pervitiniarz” mogłoby zmusić Czytelnika do sięgnięcia po słownik. „Amfiarz”, „feciarcz”,

„amfetaminista”, a może po prostu zwyczajnie – „ćpun”? Drugi z wariantów wydał mi się odpowiedni z tego powodu, że w moim odczuciu jest najczęściej używany w języku potocznym. Używając go uniknęłam kojarzącego się z terminologią medyczną „amfetaministy” jak również zbyt ogólnikowego „ćpuna”. Poza tym trzeba było przetłumaczyć całość w taki sposób, aby rejestr był odpowiedni do tego, którego używa zwykle młodzież. Stąd – „fajka”, „pety”, „joint”, „skręcanie”, „walenie w żyłę”.

Także praca nad tłumaczeniem fragmentu opowiadania „Kochankowie na jedną noc” bardzo mi się podobała. W udziale przypadła mi część końcowa, stanowiąca przełomowy dla tej historii moment. Tłumaczenie nie nastęczało mi zbyt wielu problemów. Musiałam dowiedzieć się, jak przetłumaczyć tytuły wymienionych w opowiadaniu książek – *Potichu* i *Záhada na zámku Styles*; okazało się, że dzieło Agathy Christie ma polski tytuł, więc problem sam się rozwiązał. Co się tyczy książki Rudiša, zdecydowałam się na pozostanie przy oryginalnym tytule. Zaciekał mnie także fragment *žes mi ji nakonec vyfouknul*, który przetłumaczyłam jako „sprzątnąłeś mi ją sprzed nosa”. Wydało mi się to lepszym rozwiązaniem, niż zwyczajne „ukradłeś mi ją”. W moim odczuciu tłumaczenie, które wybrałam jest bardziej nacechowane emocjonalnie, przez co lepiej oddaje odczucia książkowej Petry. Inne wyrażenie: *neměl nejmenší tušení* w moim przekładzie brzmi: „nie miał bladego pojęcia”, ponieważ dosłowne tłumaczenie „nie miał najmniejszego pojęcia” nie brzmi, moim zdaniem, naturalnie.

Joanna Brodniewicz

Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu

Tłumaczony fragment tekstu pochodzi z opowiadania młodego czeskiego pisarza, Juana Zamory, „Zielona mała”. Autor używa zarówno wyrazów potocznych, ekspresywnych, jak i stosuje styl wysoki. Zaznacza kursywą wyrazy mające dla niego znaczenie, co zostało uszanowane w przekładzie. Zachowałam również czeskie realia, m.in. pozostawiłam dyskotekę w *Karlovkách*, czyli praską dyskotekę *Karlovy lázně*, a słowo *hosпода* przetłumaczyłam jako „gospoda”, choć w polskim kontekście lepsze byłyby określenia: „knajpa” czy „pub”. Zrezygnowałam jedynie z podania nazwy stacji telewizyjnej i nazwy programu informacyjnego (stacja *Nová*, *Televizní noviny*). W niektórych fragmentach tekstu ze względów stylistycznych pomijałam w tłumaczeniu czasowniki, w innych je dodawałam, zachowując kontekst zdania. W innych miejscach, by nie powtarzać tych samych czasowników, zastępowałam je innymi, np. *zjistit* przetłumaczyłam jako „ustalić” i „dowiedzieć się”.

Pewną trudność sprawiło mi znalezienie polskiego odpowiednika słowa *perníkář*, które oznacza człowieka zażywającego pervitin – pochodną amfetaminy. Zdecydowałam się użyć dwóch słów: „amfiarz” i „ćpun”. Wyraz *čornout* pochodzący z dialektu romskiego przełożyłam jako „zwędzić”. Autor użył dwóch określeń na słowo „plecak”: *batoh* i potocznie: *ruksak*. Nie udało mi się znaleźć polskiego odpowiednika słowa potocznego, więc dwukrotnie użyłam słowa „plecak”. Dylemat stanowiło dla mnie przełożenie czasownika w 2 os. l. mn. *nejuknem se*. Spośród: „nie zerknijemy”, „nie kuknijemy” i „nie luknijemy” wybrałam ten ostatni, w ostatecznej wersji przekładu pozbawiając go przeczenia, gdyż w kontekście był częścią pytania. Pod koniec przekładanego przeze mnie fragmentu autor użył neutralnego słowa *ostuda* oznaczającego „wstyd”, zdecydowałam się jednak na użycie potocznego: „siara”. Praca nad tłumaczeniem wyglądała w ten sposób, że w niektórych przypadkach zostawiłam sobie pierwotnie kilka możliwości przełożenia danego zdania, a następnie zrobiłam adiustację, wybierając warianty, które stworzyły spójną całość.

Tłumaczyłam także początek opowiadania Juana Zamory „Kochankowie na jedną noc” z wydanego w tym roku w wydawnictwie „Nava” zbioru „Morderca na jedną noc”. W opowiadaniu tym autor, podobnie jak w innych tekstach, bawi się językiem. Świadomie posługuje się słownictwem przynależącym do różnych sfer, środowisk. Sformułowania bardzo potoczne mieszają się z wysokim stylem.

Fragment ten nie przysparzał większych problemów podczas tłumaczenia. Starłam się raczej oddać sens, zachować myśl autora, oddać klimat opowiadania niż przekładać dosłownie tekst. W kilku wypadkach pomijałam niektóre słowa, ewentualnie w zamian coś dodawałam. Na przykład w zdaniu: *Dveřmi mezi lednicí s chlazenými nápoji a stojanem s denním tiskem prošel do další místnosti* opuściłam przy tłumaczeniu słowo „chłodzone”, uznając, że jest to oczywiste. Zdanie: *Z reproduktorů vyhrávající Rádio 1, stoly a židle, které měly lepší časy už dávno za sebou, mladá číšnice s načerveno obarvenými vlasy* przetłumaczyłam następująco: „Z głośników leciała Jedyńka, stoły i krzesła dawno miały najlepsze czasy za sobą, kręciła się młoda kelnerka z pofarbowanymi na czerwono włosami”, w kolejnym opuszczając już słowo „kelnerka”. Natomiast przekładając: *Slečna, která vešla do místnosti, se sem zato hodila náramně*, opuściłam sformułowanie „do pomieszczenia”, akcentując fakt, że dziewczyna (w oryginale: panna) weszła w tym konkretnym momencie. Zdanie *Byla v tom jakási zvědavost, touha mít přehled, ale trochu snad i poznamenání množstvím přečtených detektivek* dawało kilka możliwości doboru odpowiedniego słownictwa. Ostatecznie przełożyłam je jako: „Była w tym jakaś ciekawość, pragnienie, by mieć wszystko na oku, a trochę wynikało to z tony przeczytanych kryminałów”. Podobną przyjemność w poszukiwaniu najbardziej odpowiednich dla tekstu sformułowań dawał opis wyglądu dziewczyny: *Drobná, černovláska, conversky, pyramidový pásek, okolo krku oranžové korále, krásně ladící se světle modrým tričkem*. Oddałam go w następujący sposób: „Była mniej więcej w jego wieku, dwudziestka piątka. Drobna brunetka, konwersy, pasek z ćwiekami, wokół szyi pomarańczowe korale dobrze dobrane do jasnoniebieskiego T-shirtu”.

Pewnych wątpliwości przysporzył mi ostatni akapit tłumaczenia. Podałam polską wersję tytułu pierwszej książki Agaty Christie, lecz autor pozostawił mnie w niepewności, czy pisząc *Královna zločinu* ma na myśli autorkę, czy jeden z tytułów jej dzieł. Po przejrzaniu wykazu tytułów powieści i opowiadań najbardziej znanej autorki kryminałów uznałam, że chodziło o pisarkę. I tym razem tłumaczenie tekstu, poszukiwanie odpowiednich słów było dla mnie ciekawą przygodą.

Hanna Witkowska

Uniwersytet Wrocławski

Podstawowym problemem powstającym podczas przekładu czeskiego utworu na język polski, jest wielowarstwowość czeszczyny. Owe warstwy najlepiej oddaje język mówiony, w którym mieszają się czeszczyna literacka ze slangami różnych grup społecznych i licznymi zapożyczeniami itd. Język polski pod tym względem jest bardziej jednolity, dlatego też ciężko jest oddać w przekładzie tą specyficzną cechę czeszczyny.

W tłumaczeniu noweli kryminalnej „Zielona małpa” występowały dwa główne problemy: oddanie realiów oraz zachowanie w przekładzie wspomnianej wielowarstwowości czeskiego języka. Zapoznanie czytelnika z czeskimi realiami można osiągnąć poprzez wplatanie w tekst krótkich sformułowań, zawierających wyjaśnienie. Znacznie więcej trudności przysparzało zachowanie oryginalnego języka. Najczęściej (niestety) proces tłumaczenia odbywał się według schematu: potoczną, niegramatyczną czeszczynę oddawano

poprzez literacką polszczyznę z elementami potocznymi. Wstawki te pozwalały, choć trochę, rekompensować straty powstałe z powodu odmiennej budowy obu języków.

W tekście „Kochankowie na jedną noc” musiałam się zmierzyć się z podobnymi problemami (oddanie realiów czeskiej Pragi i przeniesienie specyficznego praskiego slangu). Rozwiązanie pierwszego problemu było stosunkowo łatwe, ponieważ Praga jest najlepiej znanym wśród Polaków miastem. Dlatego też wystarczyło wyraźnie zaznaczenie miejsca akcji. Drugi problem był o wiele trudniejszy. Często się zdarza, że polski przekład w stosunku do czeskiego oryginału jest bardziej „wygładzony”. Jest to oczywista strata, którą tłumacze starają się oddać w innych miejscach tekstu, tak, aby klimat utworu został zachowany.

Ewa Wieder

Fragment opowiadania „Zielona małpa”, który przypadł mi w udziale do przetłumaczenia jest krótki, aczkolwiek ważny, bowiem zawiera pointę tegoż opowiadania. Najtrudniej było zatem wpasować się w sposób tłumaczenia jaki przyjęli moi poprzednicy, aby zachować strukturę całości. Nie jestem pewna, czy mi się to udało. Sam tekst, napisany prostym, nieskomplikowanym językiem, paradoksalnie, sprawił mi kłopot i zmusił do ograniczeń w swobodnym posługiwaniu się bogactwem języka polskiego. Dochowanie wierności oryginałowi, co jest obowiązkiem tłumacza, w tym przypadku przychodziło mi z trudem.

AUTORZY SŁOWEŃSCY

SLOVENSKI AVTORJI

Dušan Merc

Urodzony w roku 1952 w Lublanie, ukończył studia z literaturoznawstwa porównawczego. Pisarz i eseista. Choć publikować zaczął stosunkowo późno, jego dojrzała praca twórcza okazała się bardzo płodna, wydał m.in. następujące powieści: *Galilejev lesteneč* (1995), *Sarkofag* (1997), *Slepi potnik* (1999), *Potažba* (2001), *Čista ženska* (2002), *Jakobova molitev* (2003) i *Potopljeni zvon* (2004), *Šesta knjiga sanj* (2006), *Dantejeva smrt* (2007). Chociaż bliższe są mu dłuższe formy prozatorskie, do jego dorobku można zaliczyć trzy zbiory krótkich opowiadań: *Golo mesto* (2003), *Pega v očesu* (2004), *Akacijev drevored* (2006) i *Ne dotikaj se me. Roman o ljubezni* (2010). W roku 2009 ukazał się, jak dotąd jedyny, zbiór esejów *Resničnostna predstava in utopija (pedagoški eseji)*. Sześciokrotnie nominowany do nagrody Kresnik, trzykrotnie nominowany do nagrody Fundacji Prešerna, tłumaczony m.in. na język niemiecki (*Galilejev lesteneč*). Od piętnastu lat pracuje jako dyrektor Szkoły Podstawowej Prule. Mieszka w Lublanie.

Matej Krajnc

Urodzony w roku 1975, słoweński pisarz, tłumacz, muzyk i publicysta, debiutował w roku 1988. Jest autorem 20 tomików poezji, 8 powieści, kilkunastu zbiorów opowiadań, a także członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Słoweńskich oraz Stowarzyszenia Tłumaczy Słoweńskich. Tłumaczy poezję i prozę z języków: angielskiego, niemieckiego, chorwackiego, francuskiego, włoskiego (m.in. A. Pope, L. Cohen, T. Waits, J. Keats, W. Blake, E. Jelinek). Autor monografii na temat muzyki Elvise Presleya, Johnny'ego Casha i zespołu The Beatles. Pisze teksty piosenek i śpiewa, a od 2009 roku zamieszcza swoje utwory na portalu muzycznym Myspace.com. Mieszka i tworzy między Celjem a Lublaną.

Lucija Stupica

Urodzona w roku 1971, słoweńska poetka i architektka wnętrz. Autorka zbiorów wierszy *Čelo na soncu* (2001), *Vetrolov* (2004), *Otok, mesto in drugi* (2008). Członkini Słoweńskiego Stowarzyszenia Pisarzy (Društva slovenskih pisateljev), prezes Stowarzyszenia Kulturalno-Artystycznego „Pranger”, które organizuje festiwal literatów, krytyków i tłumaczy poezji „Pranger”. Autorka i współautorka performansów. Tłumaczona na m.in. szwedzki, angielski, macedoński, chorwacki, polski, niemiecki, hiszpański. W roku 2002 otrzymała nagrodę „Zlata ptica”. Mieszka w Lublanie.

AUTORZY CZESCY ČEŠKI AVTORJI

Bogdan Trojak

Urodzony 23.03.1975 w Czeskim Cieszynie, poeta czesko-polski, publicysta i tłumacz. Ukończył Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, absolwent dziennikarstwa na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. W roku 1993 zainicjował polsko-czeską grupę poetycką „PaRaNoJa”, a w roku 1995 wraz z Wojciechem Kučerou założył Wendryńskie Towarzystwo Literacko-Estetyczne „WELES” (Wendryňská Literárně-Estetická Společnost), wydające czasopismo literackie pod tym samym tytułem. Współpracował z redakcją czasopisma „Host”, był redaktorem magazynu kulturalnego „Neon” i czasopisma „Lumír” wydawanego internetowo. Dotychczas wydał: tomik Kuním štětcem (1996), Pan Twardowski (1998), za który otrzymał nagrodę Jiřího Ortena, zbiory wierszy i baśni Jezernice, Větrné mlýny (2001), Strýc Kaich se žení. Memorabilie a komorní horory (2004) – książka nagrodzona odznaczeniem „Magnesia Litera”, Kumštkaabinet, (2005), zbiór opowiadań Brněnské metro (2007). Ostatnio zajmuje się także uprawą winorośli i produkcją wina.

Renata Putzlacher

Poetka, autorka opowiadań, tłumaczka, publicystka, autorka tekstów piosenek, adaptacji teatralnych i sztuk. Tłumaczy z języka czeskiego i słowackiego, przede wszystkim poezję, dramaty i teksty pieśni. Wraz z Jaromírem Nohavicą jest współzałożycielką kawiarni poetyckiej „AVION” oraz polsko-czeskiego stowarzyszenia artystycznego Spolek-Towarzystwo „AVION”, którego prezeską jest od lutego 2000 roku. Należy do Gminy Pisarzy Czeskich i Zrzeszenia Literatów Polskich w Czechach. Jest laureatką nagród w konkursach poetyckich w Polsce i w Czechach, otrzymała m. in. „Nagrodę Srebrnych Spinek” (1994; Konsul Generalny RP w Ostrawie – za przekłady), Nagrodę przewodniczącego jury w Konkursie Literackim im. Georga Trakla (1994), Nagrodę Literacką im. Marka Jodłowskiego (1996), wyróżnienie w ramach Nagrody Literackiej im. Kościelskich (2002). Wydała zbiory wierszy: *Próba identyfikacji* (1992), *Kompleks Ewy* (1992), *Oczekiwanie* (1992), *Ziemia albo-albo* (1993), *Małgorzata poszukuje Mistrza* (1996), *Pomiędzy* (2001), *Mezi řádky* (2006), płyty piosenek poetyckich *Lamus* (2000) i *Divertimento cieszyńskie* (2004). Jest także autorką licznych przekładów literatury polskiej i czeskiej. Więcej informacji na stronie: www.putzlacher.net

Juan Zamora

Na wstępie należy zaznaczyć, że Juan Zamora to nie pseudonim, ale prawdziwe imię i nazwisko autora. Urodził się w styczniu 1989 roku w Pradze, gdzie mieszka i studiuje bohemistykę na Uniwersytecie Karola. Czytelnikom po raz pierwszy przedstawił się w roku 2004 na łamach czasopisma „Jedním dechem”, poświęconego opowiadaniom kryminalnym. Rok później opublikował w antologii *Nevěry II* już niekryminalne opowiadanie *Není Adam jako Adam*, a w internetowej rozgłośni radiowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Republiki Czeskiej – Rádio Vnitro – ukazały się w wersji audio jego trzy krótkie opowiadania kryminalne (kronika kryminalna). W roku 2006 otrzymał nagrodę przyznawaną przez organizację Czeskie Stowarzyszenie Sherlocka Holmesa za opowiadania pt. *Dopisy z modré obálky* i *Žofka*. Juan Zamora publikuje na stronach internetowych Centrum Powieści Kryminalnej www.detektivky.com recenzje, teksty o autorach powieści kryminalnych itd., jest członkiem Stowarzyszenia Agathy Christie i czeskiej sekcji AIEP – Międzynarodowego Stowarzyszenia Autorów Literatury Kryminalnej i Sensacyjnej. W roku 2007 ukazał się samodzielny debiut książkowy autora – powieść kryminalna *Případ rozhádaných spolužáků*. Od tamtej pory wydał trzy kolejne zbiory opowiadań: *Zločin v zemi pyramid* (2008), *Tři panáky pro Evženku* (2009), *Vrah na jednu noc* (2010), *Příliš snadná vražda* (2010) Więcej informacji na stronie: www.juanzamora.ic.cz

TŁUMACZE Z JĘZYKA SŁOWEŃSKIEGO PREVAJALCI IZ SLOVENŠČINE

Martyna Twardy

Urodzona w 1985 roku w Bielsku-Białej. Licencjat i studentka pierwszego roku studiów podyplomowych filologii słoweńskiej na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Interesuje się literaturą europejską, szczególnie rumuńską, niemiecką oraz słowiańską, najbardziej jednak fascynują ją film. VII Ogólnopolskie Warsztaty Translatorskie były jej drugą przygodą z tłumaczeniami „na poważnie”. W ubiegłym roku tłumaczyła wiersze Mety Kušar, „hobbistycznie” tłumaczy też z angielskiego (np. napisy do filmów). W 2005 i 2006 roku zdobyła drugie miejsce w konkursie literackim „Młoda Krew”, organizowanym przez bielskie stowarzyszenie „Uwaga Kultura”.

Jacek Lenkiewicz

Urodzony w 1985 roku. Studiuje filologię rosyjską i chorwacką na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z językiem słoweńskim zaczął zapoznawać się na lektoracie na drugim roku i od tego czasu z zapałem poznaje kulturę i literaturę słoweńską. Szczególne zainteresowania: historia języków słowiańskich, zwłaszcza słoweńskiego, chorwackiego i rosyjskiego, ich wzajemne wpływy oraz procesy, które wpłynęły na ukształtowanie się ich obecnej formy literackiej. Obecnie tłumaczenia traktuje jako hobby, choć w przyszłości planuje poświęcić się im w większym stopniu.

Bartosz Sowa

Urodzony w 1983 roku w Mikołowie, pochodzi z Tychów. Absolwent politologii na Uniwersytecie Śląskim, aktualnie studiuje słowenistykę na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Karierę tłumacza rozpoczął jako tłumacz tekstów technicznych z języka angielskiego, teraz tłumaczy ze słoweńskiego. Obecnie na stypendium LLP Erasmus na Uniwersytecie w Lublanie.

Alicja Wiśniewska

Urodzona w 1986 roku w Gdyni. Absolwentka 5-letnich studiów magisterskich w Katedrze Sławistyki Uniwersytetu Gdańskiego, serbistka. Miłośniczka Bohumila Hrabala i Czarnogóry. Jej zainteresowania naukowe koncentrują się wokół starych tekstów: licencjat nt. XII-wiecznego cyrylicznego manuskryptu serbskiej redakcji języka cerkiewnosłowiańskiego, praca magisterska nt. chorwacko-głagolickiego starodruku z 1530 roku.

Jakub Kupracz

Urodzony 1988 w Olsztynie. Pochodzi z małej warmińskiej wsi o nazwie Rogiedle, studiuje i pracuje w Gdańsku. Nie miałby pojęcia o istnieniu języka słoweńskiego, gdyby w liceum nie uczestniczył w Olimpiadzie Języka Łacińskiego. Studiuje sławistykę na Uniwersytecie Gdańskim i pracuje jako wolontariusz w magazynie studenckim „płyn POD PRĄD”. Tłumaczy z języka słoweńskiego i serbskiego.

Tomasz Łukaszewicz

Absolwent slawistyki Uniwersytetu Gdańskiego, słuchacz Filologicznego Studium Doktoranckiego Uniwersytetu Gdańskiego. Przełożył z języka słoweńskiego zbiór opowiadań Aleša Čara *Made in Slovenia* oraz powieść Gorana Vojnovicia *Czefurzy raus!*. Książki te zostały wydane w Polsce odpowiednio w 2008 i 2010 roku. Wkrótce ukażą się przetłumaczone przez niego: powieść Vinka Möderndorfera *Miłości Sinobrodego* oraz zbiór opowiadań Andreja Blatnika *Przecież rozumiesz?*. Jest redaktorem dwujęzycznego portalu internetowego www.czar-slovenii.pl, poświęconego Słowenii, jej kulturze, literaturze i języku.

TŁUMACZE Z JĘZYKA CZESKIEGO PREVAJALCI IZ ČEŠČINE

Wanda Wojciechowska

Urodzona w 1965 roku, zaoczna studentka V roku filologii słowiańskiej na ATH i słuchaczka podyplomowych Gender Studies na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po raz czwarty uczestniczyła w Warsztatach Translatorskich, ma też w dorobku własne publikacje poetyckie.

Hanna Witkowska

Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego na kierunku filologia czeska. Dotychczas tłumaczyła teksty o charakterze technicznym, prawniczym i medycznym.

Joanna Brodniewicz

Polonistka, studentka bohemistyki, interesuje ją problematyka związana z wielokulturowością, mniejszościami narodowymi, pograniczem.

Zuzanna Rusnok

Studentka II roku filologii czeskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Pochodzi z Czeskiego Cieszyna. Interesuje się dialektologią. Ostatnio niezmiernie zabiegana. Jej ulubiona samogłoska to „u”.

Marta Grubka

Studentka III roku slawistyki na Akademii Techniczno-Humanistycznej. Kończy także studia dziennikarskie. Lubi filmy Tima Burtona i dobrą muzykę. W kuchni czuje się jak ryba w wodzie, często gotuje dla znajomych. Gdy chce się gdzieś zaszyć znajduje azyl w górach, najlepiej w chatce studenckiej na Lasku. Jest pasjonatką szczurów. Straszna gaduła.

Ewa Wieder

Absolwentka filologii czeskiej Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, wielokrotna uczestniczka Warsztatów Translatorskich, obecnie na stałe współpracuje jako tłumacz z Miejską i Powiatową Biblioteką w Raciborzu oraz Biblioteką Petra Bezruče w Opawie.

Piotr Szałaśny

Niezmiernie zagoniony student IV roku na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej na kierunku filologia słowiańska – język czeski.

Raczkujący redaktor, miłośnik piwa, gier komputerowych, hodowca szczurów, imprezowicz, trabanciarz i turysta górski.

Szymon Brandys

Absolwent studiów licencjackich Wydziału Polonistyki UJ, student III roku filologii czeskiej i II roku MU filologii polskiej na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej.

Przewodniczący Studenckiego Koła Naukowego Slawistów. Chórzysta, optymista, gitarzysta.

Agnieszka Baran

Absolwentka filologii czeskiej (ATH) i europeistyki (UJ), pracownik Akademii Techniczno-Humanistycznej, tłumaczka z języka czeskiego i słowackiego. Obecnie doktorantka na kierunku teoria i historia literatur narodowych na Uniwersytecie w Ostrawie. Oprócz przekładu literackiego interesuje się czeską literaturą i plastyką XX wieku.

ESEJ
ESEJ

Renata Putzlacher

Renata Putzlacher *Dreszcz czytelnicy, dreszcz translatorski*

Gdy organizatorzy VII edycji Ogólnopolskich Warsztatów Translatorskich, organizowanych rokrocznie przez Studenckie Koło Naukowe Słowistów Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, zwrócili się do mnie z propozycją wzięcia udziału w tejże imprezie w roli ekspertki-mentora studentów, od razu wiedziałam, że chciałabym zająć się tłumaczeniami wierszy Bogdana Trojaka. Zgodnie z hasłem tegorocznej edycji przeżywałam bowiem często „dreszcz czytelnicy” w trakcie lektury utworów poetyckich i prozatorskich tego autora, pisanych (z małymi wyjątkami) w języku czeskim, a także „dreszcz translatorski”, kiedy próbowałam się zmierzyć z tą poezją jako tłumaczka.³ Okazało się też, że w podobny sposób reagują polscy czytelnicy:

*Bogdan Trojak, czeski poeta młodego pokolenia pisze w sposób dzisiaj niespotykany. /.../ Poezja Trojaka ujęła mnie wspomnianym wcześniej, silnym przywiązaniem, a właściwie powrotem, do tradycji literackiej. W dodatku, poezja zrytmizowana kusila i była wyzwaniem, aby zmierzyć się z jej przekładem.*⁴

Dla studentów Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej ważny może być również fakt, że Bogdan Trojak, który lubi nawiązania do tradycji, często podkreśla, że urodził się na terenie dawnego Księstwa Cieszyńskiego (jak wiadomo Bielsko kiedyś do niego należało). Wioska Wędrynia, w której poeta spędził dzieciństwo i młodość, leży nad rzeką Olzą, w kotlinie rozdzielającej Beskid Śląski i Beskid Śląsko-Morawski, podczas gdy Bielsko-Biała leży nad rzeką Białą u stóp Beskidu Małego i Beskidu Śląskiego. Podobne tradycje i *genius loci*, a jednocześnie dwa kraje, Polska i Czechy.

Bogdan Trojak urodził się w 1975 roku w Czeskim Cieszynie i tu uczęszczał do Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania. Dlaczego więc pisze się o nim jako o „pocieje polsko-czeskim”⁵, a krytycy uważają go za jednego z najbardziej utalentowanych młodych czeskich poetów? Dlaczego zbiorek Trojaka, uhonorowany w 1998 roku prestiżową czeską Nagrodą im. Jiřího Ortena, nosi polski tytuł „Pan Twardowski”? I dlaczego poeta bywa postrzegany przez przyjaciół jako „do Brna zběhlý Slezan z Těšínského knížectví”?⁶ Żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania, warto przedstawić miejsce, w którym Trojak stawiał pierwsze kroki jako poeta i środowisko literackie, które opisał później w swym słynnym eseju, zatytułowanym „Genius loci Śląska”.⁷

Zdaniem niektórych krytyków Bogdan Trojak jest Zaolzianinem, przedstawicielem mniejszości polskiej w Czechach, inni uważają go za jednego z najbardziej utalentowanych młodych czeskich poetów. Prawda jak zwykle leży gdzieś pośrodku, poza politycznymi i generacyjnymi podziałami, które coraz mniej dotyczą przedstawicieli najmłodszej generacji twórców. Jakich? Zaolziańskich? Na dobrą sprawę nie można zaliczyć do tej generacji dziś już trzydziestopięcioletniego Bogdana Trojaka, który zadebiutował w 1993 roku w almanachu polskiej gimnazjalnej grupy twórczej „PaRaNoJa” w Czeskim Cieszynie. (Żeby rozwiązać wątpliwości: *paranoja* w nazwie grupy artystycznej nie oznacza stanów psychicznych

³ Moje tłumaczenie wiersza „Otto Lilienthal” poeta zamieścił w swoim czeskim wyborze wierszy – Trojak, Bogdan, *Kumštkaabinet*. Host, Brno 2005, s. 109 – 115.

⁴ Trojak, Bogdan, *Poezja bez odpowiednika? Tłumaczenie i komentarz*: Agnieszka Lamers. „Bez Porównania” – czasopismo komparatystyczne, nr 4 – lato 2006, <http://www.bez-porownania.spine.pl/index.php?tresc=04119>.

⁵ http://cs.wikipedia.org/wiki/Bogdan_Trojak

⁶ „Ślązak, który zbiegł ze Śląska Cieszyńskiego do Brna” – patrz rozmowa Ivana Motýla z Bogdanem Trojakiem, *Vino je lepší než minerálka*, Týden 2005, nr 24, s. 31.

⁷ <http://www.ipetrov.cz/dokument.py?idd=D00000000000000247>

młodzieży twórczej, skazanej na Zaolziu. To po prostu skrót nieco za długiej nazwy grupy: „Parafia Raczej Normalnych Ja“.)

W tym samym czasie w środowisku pisarzy zaolziańskich zachodziły ważne zmiany, po roku 1989 rozpadły się dotychczasowe struktury polityczne i kulturalne, z jednej strony ograniczające twórców, z drugiej strony wspierające ich działalność pod względem organizacyjno-finansowym. O tych sprawach mówi redaktor wydanej przed dwudziestu laty w Katowicach antologii „Z biegiem Olzy”⁸, katowicki poeta Tadeusz Kijonka:

*Przyjmijmy, że na Zaolziu żyło wówczas 60 tysięcy Polaków... Czy było gdzieś miasto w Polsce tej skali, które mogło się wykazać tak liczną grupą czynnych pisarzy, ludzi pióra, którzy mają w dorobku książki? Był to swoisty fenomen, zjawisko wynikające ze specyfiki zaolziańskiej. Mamy tu przy tym do czynienia z mozaiką osób, zjawisk i środowisk. I oto nagle coś się zaczyna dziać niepokojącego, seria przedwczesnych zgonów. Oto chłop jak dąb, Władysław Młynek, ledwo po sześćdziesiątce, nagle umiera. A pamiętajmy, że jako czołowy działacz PZKO należał do liderów zaolziańskich Polaków. Wkrótce odchodzą Gustaw Sajdok, Adam Wiesław Berger, Wilhelm Przeczek, niedawno Jan Pyszko, wcześniej Anna Filipek... Jednocześnie zanikł dopływ nowych talentów – a przecież zawsze było tak, że środowisko to stale poszerzało się o nowe nazwiska. A dzieje się to akurat w czasie, kiedy otwartą się granice, kiedy możliwości wypowiedzi są większe, bo nie ma już cenzury. Pojawia się więc pytanie – jakie są przyczyny natury kulturowej, politycznej, że nagle to środowisko zaczyna obumierać? Czy status zaolziańskiego poety, dawniej wysoki, którego miarę przez długie lata wyznaczali Henryk Jasiczek i Paweł Kubisz, już nie frapuje?*⁹

Nazwiska tych pisarzy przywoła w 1998 roku w swoim eseju młody poeta Bogdan Trojak, który od samego początku zdaje sobie sprawę ze swego rozdwojenia:

*Kubisz, Jasiczek, Przeczek. Ta jména se podobají malým větrným mlýnům s lopatkami z tenkého plechu, kterých najdete v Beskydech bezpočet. Tito básníci vnímají věčnou rozpolcenost své domoviny. Jsem jiný než Polák, liším se také od Čecha. Kdo jsem? Když bude nejhůř, na čí stranu se postaví rytíři z Čantoryje?*¹⁰

Grono zasłużonych pisarzy założyło w latach dziewięćdziesiątych nową organizację, Zrzeszenie Literatów Polskich w Czechosłowacji (później w Republice Czeskiej), jednak spory wewnętrzne i nieuregulowane animozje dotyczące wydarzeń po roku 1968, doprowadziły do rozłamu wewnątrz jednolitej na pozór organizacji. Nieuwikłani politycznie młodzi pisarze byli z kolei w kilku przypadkach związani ze starszą generacją więzami pokrewieństwa, co również nie sprzyjało obiektywizmowi.

W tej sytuacji pewnym zaskoczeniem był zbiorowy debiut uczniów Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie (oraz jego orłowskiej filii), którzy w roku 1993 wydali (dzięki wsparciu Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Zrzeszenia Literatów Polskich w Czechach) szczupły almanach

⁸ *Z biegiem Olzy*. Antologia polskiej poezji zaolziańskiej. Wybór i opracowanie: Tadeusz Kijonka. Śląski Fundusz Literacki, Katowice 1990. Opublikowano w niej wiersze takich twórców jak Henryk Jasiczek, Gustaw Przeczek, Paweł Kubisz, Wiesław Adam Berger, Władysław Młynek, Anna Filipek, Piotr Horzyk, Stanisław Jedzok, Władysław Sikora, Janusz Klimsza, Franciszek Nastulczyk, Gabriel Palowski, Wilhelm Przeczek, Lucyna Przeczek-Waszakowa, Renata Putzlacher, Jan Pyszko, Gustaw Sajdok, Jacek Sikora, Tadeusz Wantuła, Jan Daniel Zolich, Kazimierz Kaszper – a więc czynnych było w tym czasie około dwudziestu poetów na Zaolziu.

⁹ Czy zagrożona przyszłość...? O sytuacji literatury zaolziańskiej. Śląsk, nr 1/2010.

<http://www.alfa.com.pl/slask/201001/s58.htm>

¹⁰ <http://www.ipetrov.cz/dokument.py?idd=D00000000000000247>

poetycki, zatytułowany „Łaski bez“. Szczególną uwagę zwracały w nim wiersze – beztroskie rymowane manifesty ówczesnego przywódcy gimnazjalnej grupy twórczej „PaRaNoJa“, Bogdana Trojaka, publikującego pod pseudonimem Gizbern. Jego przekorne *curriculum vitae* nie świadczy już o konieczności „podejmowania najtrudniejszych decyzji artystycznych“. Oto mały fragment: *lubi uroki wsi i zupę pomidorową, czyta bajki między wierszami, delectuje się sielankami i rymowanymi ludowymi*. A jaki jest stosunek ówczesnego zbuntowanego siedemnastoletniego poety do dorobku wyżej wymienionych generacji pisarskich? Czytamy: *W tym czasie przebiega na rynku w gospodzie / Spóźnione spotkanie poetów cum młodzieżą. / Skupszczyzna miejscowych dojrzałych pisarzy / Poleca młodzieży, by pisać jak starzy: / Poeto, masz zeszyt głębokich swych myśli? / To wyślij do gazet, do radia też wyślij! / Choć moda na Bosha, Miłosza, Jarosza / Nie wrzucaj swych myśli głęboko do kosza* (Wiersz wyndryński). I tak też się stało – w roku 1994 Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wydało następny almanach, zatytułowany „Budka psa Burka“. Skromniutki brulionik był zaskakujący – w kontekście dotychczasowych tradycji wydawania literatury polskiej na Zaolziu – przez sam fakt, że był to almanach czesko-polski. Mieścił się jednak znakomicie w nowym nurcie literackich spotkań bez granic, jakie miały miejsce w czeskiej części Śląska po roku 1990.

O tych ważnych zmianach mówi poeta i krytyk Kazimierz Kaszper:

*Młodzi wstępujący w życie literackie są co najmniej dwujęzyczni, a co ważniejsze, na pierwszym miejscu stają się czeskojęzyczni a dopiero potem polskojęzyczni. Przed laty wyciągnąłem z tego wniosek: jesteśmy świadkami zaniku literatury zaolziańskiej, która pisana po czesku nie ma sensu. I to jest prawdziwy problem: nawet jeżeli ona, czy on napiszą wiersz po polsku, lecz dają własny, lustrzany, własnoręcznie dokonany przekład, to ja widzę, że ta czeska wersja jest o wiele lepsza.*¹¹

Jaskółką wydawniczą i jednocześnie przyjacielskim wyciągnięciem ręki w stronę polskich kolegów po piórze był wydany w 1994 roku pierwszy numer literackiego pisma braci Motylów „Modrý květ“ („Niebieski kwiat“). Beztrosko redagowany przez braci Petra i Ivana Motylów we Frýdku-Místku, z początku nieregularnie wydawany w ilości kilkudziesięciu sztuk „Modrý květ“ powoli stawał się swoistym czesko-polskim, później również słowackim, brulionem generacyjnym. Swoje wiersze w języku polskim publikowali tu przede wszystkim przedstawiciele generacji „Spotkania“¹², manifestujący swoją niezgodę na zamknięcie w rezerwacie zwanym Zaolziem, a więc Jacek Sikora, Janusz Klimsza, Renata Putzlacher i Franciszek Natulczyk, dołączył jednak do nich śmiało również nestor Władysław Sikora, a następnie Kazimierz Kaszper. Środowisko złażnione spotkań zaczęło organizować wspólne „Harendy literackie“ w Ostrawie i w Czeskim Cieszynie, a następnie spotkania czeskich i polskich poetów nad Olzą, zatytułowane „Kamień czy słowo“.

Wreszcie w numerze 7 pisma „Modrý květ“ pojawiły się w 1995 roku wiersze Bogdana Trojaka... w języku czeskim. Redaktorzy wyjaśnili ten fakt w charakterystyczny dla tego pisma sposób:

W czasie weekendów spędzanych w rodzinnej Wędryni Bogdan Trojak posługuje się językiem polskim. Natomiast język czeski opanował stuprocentowo – i jak przystało na

¹¹ Czy zagrożona przyszłość...? O sytuacji literatury zaolziańskiej. Śląsk, nr 1/2010. <http://www.alfa.com.pl/slask/201001/s58.htm>

¹² W wydanym w 1985 roku w Ostrawie „Spotkaniu“, antologii poezji i prozy, spotkali się pisarze po trzydziestce z raczkującymi dopiero debiutantami, z których wykrystalizowała się w kilka lat później generacja indywidualistów, rezygnująca z manifestów i wystąpień grupowych. Z tego pokolenia, generacyjnie bliskiego polskiemu „brulionowcom“, aktywni są do dziś przede wszystkim poeci: Lucyna Przeczek-Waszkowa, Renata Putzlacher, Franciszek Natulczyk i Jacek Sikora.

intelektualistę, nawet z czeską zaciągą, przez co bywalcy cieszyńskich i trzynieckich knajp bardzo często patrzają na niego spode łba (zwłaszcza, gdy jest pogrążony w lekturze... poezji).

Trojak pojawił się w 1995 roku na czesko-polskich spotkaniach poetyckich na zamku Hukvaldy. Był już wtedy studentem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Masaryka w Brnie i poetą próbującym zmierzyć się z językiem czeskim, ze znakomitym zresztą skutkiem, czego dowodem był kolejny, tym razem czeski almanach „Utržená mince“ („Utargowana moneta“), w którym z dawnej „PaRaNoI” ostali się tylko publikujący liderzy: Bogdan Trojak, jego siostra Jolanta i czeski poeta Vojtěch Kučera. Pamiętam tamte spotkania na zamku Hukvaldy bardzo intensywnie: jesień, stare mury, wiewiórki skaczące po dachach i młodych poetów dyskutujących w tej magicznej scenerii do późnej nocy. W tym gronie i w wielonarodowościowych klimatach rodziły się załóżki przyszłych polsko-czeskich stowarzyszeń artystycznych: WELESU i AVIONU, które powstały na terenie Śląska Cieszyńskiego w 1996 roku.¹³

W 1996 roku wiersze Trojaka pojawiły się w praskim almanachu poetyckim „Přetržená nit” („Przerwana nić”) i młody poeta zaprezentował się w prestiżowej praskiej kawiarni poetyckiej „Viola”. W tym samym roku brneńskie wydawnictwo HOST wydało jego debiutancki tomik, zatytułowany „Kuním štětcem“ („Pędzłem kuny”) i jednocześnie założone przez Trojaka i jego przyjaciół nowe pismo literackie „Weles” przejęło pałeczkę z rąk redaktorów pisma „Modrý květ”. Pismo to, jako kwartalnik, pojawia się na czeskim rynku do dziś.

W tamtym okresie fenomen Śląska i jego *genius loci* coraz bardziej interesował (i niepokoił) czeskich i morawskich artystów. Świadczy o tym m.in. fakt, że w 1998 roku, w trakcie „IV Spotkania Poetów” na urokliwym zamku Bítov raz po raz wracano do eseju Bogdana Trojaka, zatytułowanego „Genius loci Śląska”. Jego autor w piękny, poetycki sposób przedstawił w nim swoją ziemię rodzinną i jej twórców oraz z młodzieńczą przekorą polemizował z gettem, w jakim starsze pokolenie chciałoby zamknąć młodszą, ciekawą świata i ludzi innych narodowości, generację. Esej ten powstał jednak nie tylko z potrzeby samookreślenia się, ale również z potrzeby uświadomienia śląskiej specyfiki morawskim przyjaciołom.¹⁴ Fakt, że organizatorzy zwrócili się do wówczas 23-letniego wędryńskiego poety i redaktora pisma „Weles” z prośbą o podjęcie tego tematu, był sam przez się wielkim wyróżnieniem, bowiem drugim referującym był Ludvík Kundera, nestor morawskich poetów i tłumaczy, który zresztą nie omieszkiał pochwalić młodego autora czeskiego zbioru poezji zatytułowanego „Pan Twardowski”. *Bardzo mnie cieszą dokonania najmłodszej generacji poetów, która jawi mi się jako najciekawsza – powiedział kunsztacki pisarz. – Mam na myśli zwłaszcza Śląską Szkołę Poezji, skupioną wokół „Welesu”.*¹⁵ W dwa miesiące później, w listopadzie 1998 roku, Bogdan Trojak, absolwent Gimnazjum z polskim językiem

¹³ Prezesem wędryńskiego WELESU został Bogdan Trojak, a prezeską cieszyńskiego AVIONU Renata Putzlacher.

¹⁴ Dla Morawian i Czechów poeci Putzlacher i Trojak przygotowali nieco później również spektakl „Genius loci (Geniusz loce?) Slezska – instruktážní hudebně-poetická revue”, zaprezentowany przez aktorów cieszyńskich w Brnie i Pradze. Premiera w języku polskim, czeskim, w gwarze śląskiej i w jidisz miała miejsce w brneńskim Teatrze „Husa na provázku”. Popremierowa biesiada, w której wzięli udział również brneńscy Polacy i studenci, rozbrzmiewała kilkoma językami i do złudzenia przypominała śląską wieżę Babel, przedstawioną wcześniej na scenie. Również praski występ w magicznym Teatrze „Na zábradlí” przerósł najśmielsze oczekiwania organizatorów i wykonawców, obawiających się trochę reakcji praskich teatromanów. Długie brawa i kilkakrotne bisy sprawiły, że wieczór przekształcił się w śląskie biesiadowanie przy akompaniamencie pełnej werwy kapeli „Kamraci”. Spektakl ten w nowej, poszerzonej wersji zaprezentowano dnia 11 listopada 2001 roku na dużej scenie teatru „Těšínské divadlo” w Czeskim Cieszynie.

¹⁵ Trojak, Bogdan, *Osamocení internetu uprostřed přírody*. Týdeník Rozhlas 2001, č. 50. www.radioservis-as.cz/archiv01/5001/50titul.htm, s. 3, (06-09-28).

nauczania w Czeskim Cieszynie, był już laureatem jednej z najbardziej prestiżowych czeskich nagród literackich, Nagrody Ortana.

Po studiach na Wydziale Prawa Uniwersytetu Masaryka w Brnie, studiach dziennikarskich w Ołomuńcu i okresie kilkuletniej współpracy z brneńskim wydawnictwem HOST, która zaowocowała wydaniem dwu tomików poetyckich i współredagowanej z Renatą Putzlacher antologii polskiej poezji współczesnej *Bílé propasti (Białe przepaści, 1997)*, Bogdan ruszył własną drogą.

W wywiadzie dla dziennika „Mladá fronta Dnes” (25.08.1999) zapytano go, dlaczego tak wielu ludzi związanych z życiem kulturalnym Brna pochodzi z północnych Moraw i ze Śląska. *Ludzie muszą zmieniać miejsca – powiedział Bogdan. – W Wędryni lub Cieszynie nie ma uczelni wyższych, z kolei Ostrawa proponuje kierunki techniczne. Jako humanista musiałem więc wybierać między Pragą a Brnem. I tu, prawdopodobnie z tęsknoty, zaczęliśmy z poetą Vojtą Kučerą opiewać swój rodzinny Śląsk. Dystans sprawił, że zaczęliśmy pisać coś na kształt poetyckiej topografii naszego kraju, który dla większości ludzi jest zupełnie apocryfny.* Poniższa wypowiedź Bogdana, określająca mentalność śląskich twórców dotyczy w pewnym sensie również naszego poety, który zawsze podkreśla swoje pochodzenie i przynależność do języka polskiego, a jednak, wbrew zaolziańskim mitom, odważył się przełamać stereotyp i zaczął z powodzeniem pisać po czesku: *Tutejszych autorów cechuje surowość wypowiedzi i w doborze środków wyrazu. Znajduję ją w poezji Víta Slávy i innych współczesnych autorów śląskich. Ludzie stąd są jak barany, potrafią podążać za swym celem. I czasami rzeczywiście udaje im się przebić głową mur.*

Na pewno udało mu się przebić ów mur i zgodnie z postulatami Pawła Kubisza „wyrwać się z zahukanych opłotków cieszyńskiej wsi”. Swoją pozycję na czeskim rynku literackim Trojak ugruntował wydanymi w następnych latach zbiorami *Jezernice (Jeziornica, 2001)*, *Strýc Kaich se žení (Wujek Kaich żeni się, 2004)* – ta książka uhonorowana została kolejną prestiżową nagrodą „Magnesia Litera” w 2005 roku. W wyborze wierszy zatytułowanym *Kumštíkabinet (2005)* Bogdan Trojak zamieścił też utwór *Otto Lilienthal* w dwu wersjach językowych, czeskiej i polskiej. (Tłumaczenie tego utworu zamieszczam poniżej). W piątej edycji czesko-polskiego konkursu poetyckiego „O Nagrodę Skrzydła Ikar” (2004) wiersz ten zdobył II nagrodę. W 2007 roku Trojak wydał też zbiór satyrycznych opowiadań pt. *Brněnské metro (Brneńskie metro)*. Warto dodać, że w morawskiej metropolii póki co metra nie ma.

Bogdan Trojak „zabawny szaman i oczarowany mag”, jak nazywa go krytyk Jan Štolba w posłowie do wyboru jego wierszy¹⁶, osiadł w morawskich Borzeticach, gdzie od kilku lat uprawia winorośl, produkuje wino i wraz z żoną Lenką przygotowuje interesujące programy poetycko-muzyczne, połączone z degustacją własnych win i serów. O tym etapie jego życia pisze Józef Zarek:

W przypadku Trojaka morawskość stała się nieco inaczej naturalnym kontekstem jego twórczości: tam studiował, tam znajdował wzory literackie i partnerów do dyskusji o poezji, tam odkrywał bliskie sobie archetypalne ślady w myśleniu i codziennych zajęciach, bowiem poezja – jak to formułował w eseju V Bruncvíkově kotli – „ač eterická, by měla vždy vyrůstat ze syrové hroudy”. Stąd ostatecznie wybrał bardziej wiejskie i pierwotne Morawy. Tym bardziej, iż miał świadomość, że zaolziańscy poeci piszący po polsku lub gwarą „nie są zbyt czytani, ani w Polsce, ani na czeskich ziemiach”.¹⁷

¹⁶ Trojak, Bogdan, *Kumštíkabinet*. Host, Brno 2005, posłowie, s. 171 – 182.

¹⁷ Zarek, Józef, Cieszyn – Brno. *O dwu punktach odniesienia młodszych polskich autorów z Zaolzia*. In: Madecki, Roman, Štěpán, Ludvík, *Poláci v Brně a na jižní Moravě*. Sborník příspěvků z mezinárodní konference v Brně, 2006, s. 107-115, 2008.

Nasuwa się więc pytanie, czy Bogdana Trojaka należy brać pod uwagę – jak zasugerowałam na wstępie – w rozważaniach dotyczących kondycji poety mniejszości polskiej w Czechach, zwłaszcza gdy niektórzy patrioci nie mogą mu zapomnieć tego, że pisze w języku czeskim. Gdyby jednak przyjrzeć się z bliska problematyce poruszanej przez niego we wszystkich jego zbiorach, rzuca się w oczy jego zanurzenie w regionie, z którego pochodzi, jego nieustanny powrót do korzeni i próby stworzenia nowoczesnej śląskiej mitologii. Gdyby posłużyć się modną obecnie terminologią, można by zaryzykować twierdzenie, że Trojak jest „dobrym zaolziańskim towarem eksportowym”, bowiem przez sam fakt, że nie wypiera się swoich polskich korzeni, zwraca uwagę na to, że literatura polska powstaje na tym skrawku ziemi od dziesiątków lat, a on jest jej naturalnym kontynuatorem. W jednym z ostatnich wywiadów poeta tak mówi o swoim stosunku do języka polskiego:

Jestem Polakiem i zawsze to wszędzie podkreślam. Zacząłem pisać po czesku i nadal piszę, bo ocknąłem się w czeskim środowisku. Siedzę przez cały czas na Morawach w czeskim kontekście, ale Kocham język polski i polską poezję. Dlatego uważam, że gdybym mieszkał w Polsce albo na Zaolziu, pisałbym po polsku. Niedawno byłem w Drohobyczu na festiwalu Brunona Schulza, gdzie spotkałem się z Januszem Klimszą. I tam to stwierdziłem.¹⁸

Fakt, że pokolenie Trojaka, a także pokolenie najmłodszych pisarzy zaolziańskich lepiej obecnie wyraża swoje odczucia w języku czeskim, jest już polem do popisu dla socjologów i badaczy przemian narodowościowych zachodzących na Zaolziu. Warto jednak dodać – tu znów dochodzi do głosu ów „dreszcz czytelnicy, dreszcz translatorski” – że Bogdan Trojak jest również tłumaczem poezji polskiej na język czeski.

Bogdan Trojak

OTTO LILIENTHAL

*Pamięci pierwszego lotnika Otto Lilienthala i wszystkich pilotów
z lotniska Dolny Beneszów*

Dolina lilii, wonny raj
Lilienthal, biały Lilienthal
li li li li laj

Szeptałem w knajpie patrząc w dal,
a wódkę chciałem chlusnąć w twarz
ponurym smutkom mego życia,
co wodzą mnie po świniobicjach.

Lilienthal, biały Lilienthal,
szepcę w tej knajpie pod Hulczynem.
Wpatrzony w brudną wykładzinę
czytam, kto stał tu albo mocno grzał.

Ja nie posunę krzesła ani o centymetr,

¹⁸ *W winie jest i poezja, i proza.* Rozmowa Jacka Sikory z Bogdanem Trojakiem. „Głos Ludu 2010”, nr 122.

konsumujący dzisiaj jestem klient.
Tu w sen zapadnę, w rojenia chłopięce
o miękkim trzmiela dotyku na ręce
i kobiecości do pierwszego tchu.

Dolina lilii, wonny świat,
Boże! Wypełnij serce me gorące
sprężonym tchnieniem, niewypitym ponczem –
po zamiataczach hangarów to ślad.

Za knajpą błonia. Stąd aż do Berlina.
Patrzę pijany na zmarznięte pole,
kruszonkę śniegu moczem chamsko solę –
i wszystko płynie do Odry, tam w linach,
w ich mleczu cuchnąć będę jakiś czas.

Lilienthal, biały Lilienthal!
Wołam do pól i śniegów jeszcze raz,
serce na strzępy rwie bezkresna dal.

Niebieski szwadron – wędrujący mróz
ciągnie polami do odległych Prus.
Zrani cię. Utknie w piersi jak odłamek,
który dziurawi dętki zmordowanych
cyklistów śmierci, którzy wracając na bani
w stożkach kretowisk łądują nosami.

Lilienthal, biały Lilienthal!

Leżę, nade mną skrzypią skrzydła grozy
niczym szybowiec upleciony z łozy,
z witek wierzbowych w królestwie wodnika.
Moja maluczkosc leży w ziemię wbita,
grzbiet jak skorupa twarda trylobita,
przez słomkę do płuc powietrze przenika.

Ja się podniosę,
bo dzieciństwo moje
kwili gdzieś cicho, że śmierci się boi
i w mroku czaszki jakieś głosy nucą,
że siłę swą użyczyć mogą kucom –
to dzięki nim się kręci Ringelspiel.

Dopijam grzańca, kalejdoskop chwil
dobiega końca. Lampa już nie świeci.
Lecz cud się zdarzył – nagle w jednej z sal
znów siedzę, obok Otto Lilienthal
i jego Agnes z dziećmi,
tak delikatni jak skrzydełka jętki.

Siedzimy milcząc. Czas powoli leci.
Przelotny uśmiech, ona nos pudruje
i choć na twarzy jej rumieniec pała,
ja się mężowi Agnes przypatruję –
tę twarz tak pięknie śmierć przypudrowała:

na jego nosie błyszczy złoty pył,
jego ostatni lot – na parę chwil
zanurzyć zdążył głowę
wprost w pole hen ...
liliowe.

Dolina lilii, wonny raj
Lilienthal, biały Lilienthal
li li li li laj

tłumaczenie: Renata Putzlacher

